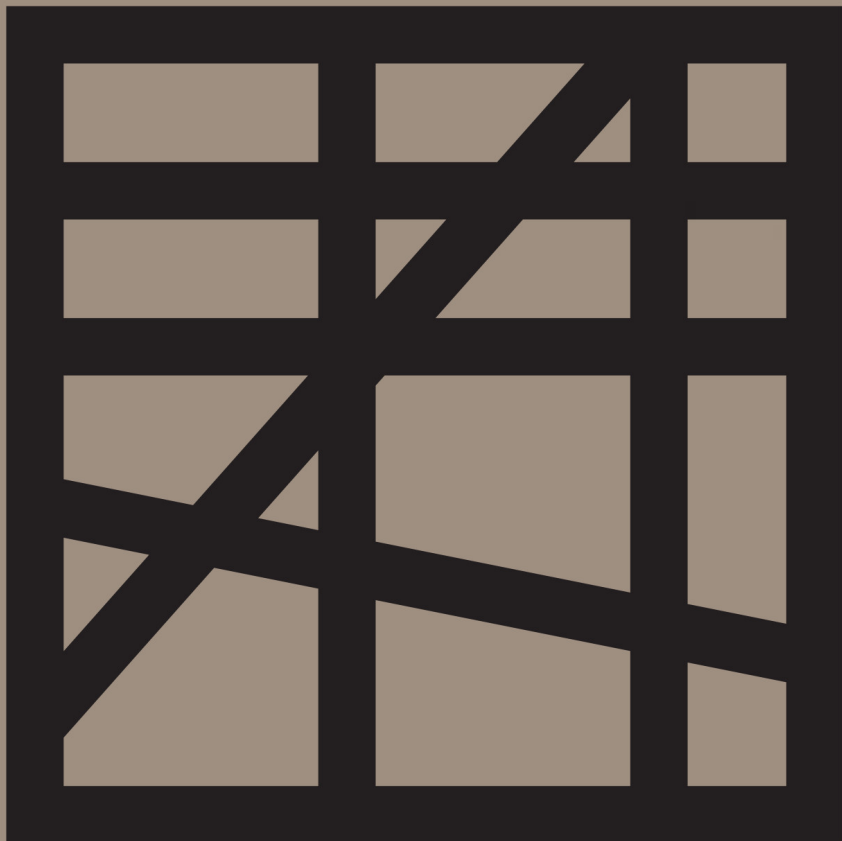


**KULTURA
LIBERALNA**

Pękające granice, rosnące mury

**KRYZYS EUROPEJSKIEGO
PORZĄDKU**

**POD REDAKCJĄ
KACPRA SZULECKIEGO**



PĘKAJĄCE GRANICE, ROSNĄCE MURY
Kryzys europejskiego porządku

5

PĘKAJĄCE GRANICE, ROSNĄCE MURY
Kryzys europejskiego porządku

Pod redakcją Kacpra Szuleckiego
Wstęp Jarosław Kuisz

Biblioteka Kultury Liberalnej
Warszawa 2016

Wydawca: Fundacja Kultura Liberalna
Redaktor prowadzący: Kacper Szulecki
Redakcja: Kacper Szulecki, Piotr Kieżun, Łukasz Pawłowski

Korekta: Ewa Nosarzewska
Skład i łamanie: Ewa Masalska
Projekt graficzny: Edgar Bąk
Druk i oprawa: Toruńskie Zakłady Graficzne ZAPOLEX

Copyright © 2016 by Fundacja Kultura Liberalna

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, Allianz Kulturstiftung oraz S. Fischer Stiftung.

Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftungen: Allianz Kulturstiftung, Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit und S. Fischer Stiftung.



Allianz
Kulturstiftung
... for Europe



S . F I S C H E R
S T I F T U N G

ISBN 978-83-940356-5-5

SPIS TREŚCI

WSTĘP

Jarosław Kuisz

Europejskie kryzysy – system naczyń połączonych 7

Kacper Szulecki

W stronę geopolityki liberalnej 11

CZĘŚĆ I PO KRYMIE. EUROPA, UKRAINA, ROSJA

Robert Cooper

Dwie drogi do bezpieczeństwa 49

Łukasz Jasina

Ukraina – początek końca światowego ładu? 55

Rozmowa z Richardem Pipesem

Ukraina jest jak Meksyk 59

Rozmowa z Adamem Garfinklem

Steryty gruzu wokół Rosji 67

Rozmowa z Fiodorem Łukianowem

Zachód przecenia Putina 77

Zapis seminarium

Kres starego porządku. Czy są nadzieje na nowy? 89

CZĘŚĆ 2 BLISKI WSCHÓD – CZY TO NASZA WINA?

Rozmowa z Michaeliem Walzerem

Potrzebujemy globalnej policji 115

Rozmowa z Eugeniuszem Smolarem

USA nie jest już gwarantem wszelkiego bezpieczeństwa 127

Asle Toje	
Czego Rosja szuka w Syrii?	137
Katarzyna Górak-Sosnowska	
Syryjskie psy ogrodnika	143
Zapis drugiego panelu konferencji	
Europa, uchodźcy i światowy porządek	147
CZĘŚĆ III EUROPEJSKIE KRYZYSY – CO DALEJ?	
Rozmowa z Johnem Grayem	
Niestety można być racjonalnym i antyliberalnym	161
Rozmowa z Robertem Cooperem	
Pięć kryzysów Europy	177
Ulrike Guérot	
Czy poststrukturalistyczny słownik już się zużył?	187
Jarosław Hrycak	
Paradoks europejskich kryzysów	193
Jarosław Pietras	
Opieszałość czy konsolidacja przez kryzys?	199
Zapis pierwszego panelu konferencji	
Jak sterować europejskim statkiem w czasie globalnego sztormu?	207
Nota edytorska	225

WSTĘP

JAROSŁAW KUISZ

Europejskie kryzysy – system naczyń połączonych

Nastroje Europejczyków są minorowe. Ćwierć wieku po fali demokratycznych przemian, która miała połączyć wschodnią i zachodnią część Starego Kontynentu, nie widać śladu dawnego entuzjazmu. Liderzy polityczni przestali domagać się „więcej Europy”, ba, mieszkańcy Wielkiej Brytanii rozważają opuszczenie Unii. Gdy Bośnia i Hercegowina złożyła w Brukseli wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej, szefowa unijnej dyplomacji, Federica Mogherini, wypowiedziała znaczące słowa: „To mocne przesłanie, że projekt integracji europejskiej wciąż jest atrakcyjny. Czasem potrzebujemy kogoś z zewnątrz, aby nam o tym przypomnieć”.

Warto pamiętać, że dopiero co rewolucja Euromajdanu miała przynieść „europeizację” Ukrainy w duchu wolności i demokracji. 21 listopada 2013 r. z powodu odsunięcia w czasie przez prezydenta Wiktora Janukowycza podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską odbyła się pierwsza demonstracja. Marzenia o przyłączeniu się do wspólnej europejskiej rodziny paradoksalnie stały się początkiem najpotężniejszego kryzysu międzynarodowego od zakończenia zimnej wojny. 20 lutego 2014 r.

w Kijowie zginęło 75 osób, a kilkaset innych odniosło rany. Następnie w konflikt włączyła się Rosja. Prezydent Władimir Putin nie zawahał się naruszyć fundamentalnych zasad porządku międzynarodowego. Odłożono na bok respektowanie granic państwowych, pokojowe rozstrzyganie sporów, wreszcie poszanowanie praw człowieka. W wyniku wojny w Donbasie zginęło kilka tysięcy osób. Unia Europejska, do której aspirowali Ukraińcy, niechętnie przegląda się w kryzysie na Wschodzie. A przecież to nie jedyny kryzys, z którym w ostatnim czasie muszą zmagać się państwa Starego Kontynentu.

Z okazji niedawnej 40. rocznicy podpisania aktu końcowego konferencji w Helsinkach – fundamentu porządku europejskiego, który wspomagał pokojowe przemiany w naszej części świata – chcielibyśmy zastanowić się nad filarami naszej wolności i bezpieczeństwa. Bezdyskusyjnie zwolennicy liberalnej demokracji muszą krytycznie spojrzeć na dokonujące się przemiany polityczne, w drugiej dekadzie XXI w. potrzebujemy diagnozy wynikającej z refleksji nad doświadczeniami zarówno Wschodu, jak i Zachodu. Warto zastanowić się nad przyszłością praw człowieka, które w warunkach pokoju i dobrobytu uległy trywializacji, a o których wadze przypominają nam także mieszkańcy Ukrainy.

Temu ma służyć niniejsza publikacja, będąca zasadniczo pokłosiem konferencji „Pękające granice, rosnące mury. Europejczycy wobec kryzysu ukraińskiego”, w której wzięli udział politycy, naukowcy, dyplomaci, intelektualiści i dziennikarze, między innymi z Ukrainy, Niemiec, USA, Francji, Norwegii, Wielkiej Brytanii i oczywiście z Polski. Konferencja odbyła się 8 września 2015 r. w Sali Kameralnej Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana w Warszawie,

a przygotowana została przez „Kulturę Liberalną” we współpracy z Fundacją Współpracy Polsko-Niemieckiej, Allianz Kulturstiftung oraz Fischer Stiftung. Partnerem wydarzenia był Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie. Patronat honorowy nad wydarzeniem objęła Prezydent m. st. Warszawy, Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Wśród gości znaleźli się intelektualiści tej miary, co Robert Cooper (Komisja Europejska), Adam Garfinkle („The American Interest”), Josef Joffe („Die Zeit”), Sylvie Kauffmann („Le Monde”), Viola von Cramon (Związek 90/Zieloni), Katja Gorczyńska („Kyiv Post”), Ulrike Guérot (European Democracy Lab), Jarosław Hrycak (Ukraiński Uniwersytet Katolicki), Roman Kuźniar (Uniwersytet Warszawski), Jarosław Pietras (Rada Unii Europejskiej), Adam Daniel Rotfeld (Uniwersytet Warszawski), Aleksander Smolar (Fundacja im. Stefana Batorego) czy Asle Toje (Norweski Instytut Noblowski).

Książkę otwiera esej Kacpra Szuleckiego o tym, czy możliwa jest oparta na doświadczeniach walki o wolność w Europie Wschodniej geopolityka liberalna na miarę XXI w. W pierwszej części umieszczono wypowiedzi ekspertów na temat przemian sytuacji międzynarodowej od czasu wybuchu konfliktu na Ukrainie. Część druga poświęcona jest problemowi, który kompletnie zaskoczył mieszkańców UE, a mianowicie bezpośredniemu wpływowi sytuacji na Bliskim Wschodzie na podstawy porządku europejskiego. Sprawa zredukowana do tzw. problemu uchodźców w istocie ma o wiele głębszy wymiar. W sposób paradoksalny pokazuje ona, że problem wojny domowej w Syrii wiąże się również z konfliktem na Ukrainie. W części trzeciej zastanawiamy się nad drogami wyjścia z obecnej serii kryzysów.

Pozytywne scenariusze powinny być także opracowywane w naszej części kontynentu. I jakkolwiek daleko byśmy nie byli od zażegnania fali obecnych problemów, nic nie zwalnia nas z wysiłku na rzecz ich przewyciężenia. Niniejsza książka „Kultury Liberalnej” ma być przyczynkiem do realizacji tego wspólnego celu.

KACPER SZULECKI

W stronę geopolityki liberalnej

Dlaczego tak popularne stało się w Europie myślenie „geopolityczne”? Dlaczego jest to groźna tendencja i jak się jej przeciwstawić? W obliczu rozpadu europejskiego systemu opartego na Akcie Końcowym KBWE i widma nowej zimnej wojny warto powrócić do zapomnianej spuścizny środkowoeuropejskich dysydentów, którzy w latach 80. XX w. dokonali błyskotliwej krytyki geopolitycznego myślenia. Ich heretyckie, nieortodoksyjne podejście do spraw międzynarodowych można by dziś nazwać „geopolityką liberalną”.

PRZESTRZENIE IDEI, IDEE PRZESTRZENI

Kiedy w 1989 r. w przeciągu paru miesięcy zawałił się w Europie jałtański porządek, a to, co dotychczas wydawało się niemożliwe, stało się realne, przed politykami stanęło zadanie sformułowania nowych wizji europejskiego ładu. Po tym niekwestionowanym triumfie ducha nad materią, idei nad drutem kolczastym, wolności nad autorytaryzmem, powrót do utartych schematów myślenia o polityce międzynarodowej w kategoriach Realizmu był chyba najmniej spodziewanym scenariuszem. Jako teoria

polityki międzynarodowej Realizm wywodzi się z myśli Thomasa Hobbesa oraz Niccola Machiavellego i uznaje prymat siły oraz egoizmu w relacjach między państwami i narodami¹. Mało tego, jak wskazują liczni komentatorzy, w dyskursie politycznym po upadku ZSRR rozpanoszyła się jego najbardziej „twardogłowa” forma, czyli Geopolityka klasyczna. Latami marginalizowana jako fałszywa i ideologicznie obca w krajach realnego socjalizmu, na Zachodzie zaś po 1945 r. (słusznie) kojarzona z międzywojennym myśleniem totalitarnym, zwłaszcza nazistowskim, po upadku muru berlińskiego stała się nową religią wielu analityków.

Jak zauważa Stefano Guzzini, redaktor zbioru dotyczącego tego zagadkowego ideowego zwrotu, tendencja ta jest nadal widoczna nie tylko w tzw. Europie Wschodniej, ale także na Zachodzie – we Włoszech czy Niemczech². Według Guzziniego, choć wszystkie przewidywania wskazywały na to, że po 1989 r. sposób postrzegania systemu międzynarodowego przez jego uczestników będzie ewoluował od zimnowojennej rywalizacji (kojarzonej z koncepcjami Johna Locke’a) w stronę nowej, bardziej demokratycznej i pokojowej kultury „kantowskiej”, to równocześnie zaczął on dla części państw przybierać

- ¹ Celowo rozróżniam wielką literą realizm polityczny od Realizmu jako teorii stosunków międzynarodowych. Podobnie geopolitykę jako myślenie o polityce (i władzy) w kategoriach przestrzennych odróżniam od Geopolityki – czyli „klasycznej geopolityki” wywodzącej się od autorów takich jak Rudolf Kjellén, Friedrich Ratzel, Alfred Thayer Mahan, Halford Mackinder czy (później) Zbigniew Brzeziński.
- ² S. Guzzini (red.), „The Return of Geopolitics in Europe? Social mechanisms and Foreign Policy Identity Crises”, Cambridge University Press, Cambridge 2012.

kształt agresywnej kultury „hobbesowskiej”. Za ten proces Guzzini wini właśnie renesans Geopolityki, która, „jeśli potraktować ją serio”, postrzegając pewne kategorie kulturowe i geograficzne, jakby były stałe, niezmiennie i rzeczywiste (essentialisation), tworzy środowisko międzynarodowe podobne hobbesowskiemu³. Trudno zaś o drugi kraj, w którym Geopolityka zyskałaby tak ważny status, jak w Polsce.

OKULARY LITWINOWA, OKULARY GOMUŁKI

Obserwując większość debat o roli Polski w polityce międzynarodowej, można dojść do wniosku, że mityczny praprzodek Polaków, Lech, znalazł gniazdo białego orła w wyjątkowo pechowym miejscu. Chcemy myśleć, że żyjemy w Europie Środkowej. To pojęcie trudno zdefiniować pozytywnie. Umiejscawiamy siebie raczej w stosunku do Innych. Nie żyjemy na Zachodzie, ale też i nie na Wschodzie. W przestrzeni między „mocarstwem zachodnim” – Niemcami – a „mocarstwem wschodnim” – Rosją.

W Polsce bardzo lubimy też nadużywać słowa „geopolityka”, posługiwać się nim jak wytrychem do objawionej prawdy o polityce międzynarodowej. Często przymiotnik „geopolityczny” jest używany po prostu jako synonim przymiotnika „międzynarodowy”. Robi tak wielu dziennikarzy, ale też liczni specjaliści do spraw międzynarodowych, np. Przemysław Żurawski vel Grajewski, który definiując geopolitykę jako „działania w obronie swych podstawowych interesów [...] [i] pozycji na europejskiej i światowej scenie politycznej oraz wzajemnych relacji”, utożsamia ją ze stosunkami międzynarodowymi w ogóle, a do tego

³ *Ibidem*, s. 5.

nadaje im nieuchronny posmak Realizmu⁴. Tym samym Geopolityka staje się wyższym stopniem wtajemniczenia, pozwalającym okiełznać chaos polityki, a Realizm – jedynym prawomocnym jej ujęciem. W tak ograniczonej debacie opinii niszowego amerykańskiego think tanku Stratfor albo ukształtowanego w czasach zimnej wojny Zbigniewa Brzezińskiego wybrzmiewają z niespotykaną gdzie indziej siłą.

Geopolityka nie jest więc w Polsce rozumiana jako „spojrzenie na politykę w kategoriach przestrzennych” (tym właśnie jest naprawdę), ale raczej jako niemal ścisła nauka o tym, jak geografia rzekomo determinuje politykę. Jacek Czaputowicz zauważył, że w polskiej nauce i dyskusie publicznym Geopolityka zastępuje wręcz całość teorii polityki międzynarodowej⁵. Istnieją dwa sposoby myślenia w kategoriach tak rozumianej Geopolityki: pierwszy jest ściśle związany z geografią, drugi – z kulturowym determinizmem. Wiele je łączy, nie są ze sobą sprzeczne i często jeden wzmacnia drugi. Ten pierwszy każe nam wierzyć, że fizyczna przestrzeń nieuchronnie kształtuje relacje między ludźmi oraz między narodami i państwami, czyniąc z nich albo rywali, albo nieistotne tło (bo tylko rywale mają znaczenie w Realistycznej optyce). Ten drugi, znany choćby z wizji „Twierdzy Europa”, oblężonej przez muzułmańskich uchodźców albo stojącej naprzeciw nieokreślonego geograficznie, ale wyraźnie „obcego” Orientu, przypisuje

⁴ P. Żurawski vel Grajewski, „Geopolityka I Rzeczypospolitej” [w:] *idem*, „Geopolityka–siła–wola. Rzeczypospolitej zmagania z losem”, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2010, s. 19.

⁵ J. Czaputowicz, „Theory or practice? The state of international relations in Poland”, „European Political Science”, nr 11, 2012, s. 196–212.

państwow, narodom, grupom i jednostkom niezbywalne cechy kulturowe (albo wręcz, jak chcieliby Samuel Huntington i Feliks Koneczny – cywilizacyjne). Oba podejścia ograniczają pole politycznego wyboru. Oba oparte są na uproszczeniach, stereotypach i przypisują abstrakcyjnym kategoriom cechy realnie istniejących, namacalnych bytów. Do przykładów tego myślenia i jego krytyki jeszcze wrócimy. Jak wygląda ta dominująca w Polsce „wyobraźnia geopolityczna” i skąd się wzięła?

Myślenie w kategoriach geopolitycznego determinizmu jest rozpowszechniane przez instytucje oświaty. W szkołach opowiada się dzieciom historię o odwiecznej walce z zachodnim i wschodnim mocarstwem oraz uczy się je, że walka jest nieuchronna, ponieważ jest ona uwarunkowana albo geografią, albo różnicami kulturowymi. Przeświadczenie o nieuchronności konfliktu jest, być może, dodatkowo potęgowane przez zawężony program nauczania historii. W polskich szkołach czasu na lekcjach historii starcza jedynie na to, by opowiedzieć o rozbiorach i zaborach, nigdy jednak na głębszą analizę historii XX w. – z wyjątkiem może idealnie wpisujących się w „myślenie Geopolityką” dziejów II wojny światowej. Wskutek tego nasza wyobraźnia geopolityczna jest bardzo ograniczona, czarno-biała i przesiąknięta XIX-wieczną logiką i ideologią. Niemcy są więc zawsze jak wyjęci z „Roty”, bo polska myśl narodowa, która każe nam widzieć w państwie Polan bezpośredni początek współczesnej Rzeczypospolitej, obsadza też zawsze geopolitycznych Innych według ponadczasowego klucza. Mówię tu o myśli narodowej, a nie o nacjonalizmie (i nie o endecji), ponieważ myśl narodowa nie ogranicza się bynajmniej do narodowców czy szerszej – prawicy. Jej elementy dominują

też w wielu debatach odbywających się w centrum i na lewicy. Takie są po prostu nasze wzory myślenia o świecie zbudowanym z narodów i państw, nasz „zdrowy rozsądek” odziedziczony po poprzednikach. Włodzimierz Anioł, politolog odległy od nacjonalizmu, dał temu wyraz w opracowanym przez Petera Katzensteina w latach 90. zbiorze esejów o „nowej Mitteleuropie”, pisząc, że „od ponad millenium” Niemcy (a jakże!) zajmują specjalne miejsce w relacjach Polski z Zachodem. Wszyscy znamy tę historię i sami mniej lub bardziej świadomie łączymy w jedno „odwieczny niemiecki *Drang nach Osten*”, „inwazję Krzyżaków”, rozbiory, na których „skorzystały Prusy”, okrucieństwa II wojny i Holokaust⁶. Fascynujące, że w tej teleologicznej czy lepiej – „prezentyistycznej” opowieści cała historia Polski i Niemiec nieuchronnie prowadzi do Adolfa Hitlera lub się do niego odwołuje.

Czy w ogóle można szukać bezpośredniego połączenia tak między Marchią Brandenburską i RFN, jak między państwem Piastów i Rzeczpospolitą Polską? Czy opowieści nie zaburza to, że królowie Polski – August Mocny i jego syn August III oraz ich saska ojczyzna, przystań polskich emigrantów i miejsce powstania III części „Dziadów” Mickiewicza – są tak samo niemieckie jak Ulrich von Jungingen i Josef Goebbels. „Tak samo” – to znaczy równoprawnie, choć sama kategoria „niemieckości” okazuje się z natury niestabilna, zmienna i pełna sprzecznych treści.

Niuans jest jednak wrogiem Geopolityki. W czarno-białym świecie między Rosją a Niemcami konserwatywny

⁶ W. Anioł, T.A. Byrnes i E.A. Iankova, „Poland. Returning to Europe” [w:] P. Katzenstein (red.) „Mitteleuropa. Between Europe and Germany”, Berghan Books, Oxford 1997.

polski polityk może niemieckim deputowanym do Euro-parlamentu wytykać zbrodnie III Rzeszy, a nawet (czemu nie?) przywiązane do maszyn oblężniczych dzieci podczas oblężenia Głogowa w 1109 r. W wizji świata, gdzie „Niemcom” przypisane są jasne geopolityczne role i kulturowe charakterystyki, były liberalny polityk może wołać „ratujcie mnie, biją mnie Niemcy!” w czasie utarczki z załogą Lufthansy, bo przywołanie tych geopolitycznych symboli ma jasne konsekwencje (a niemieckość małżonki tegoż polityka jest właśnie przykładem wrogiego i zbędnego niuansu).

Drugim elementem tych odwiecznych geopolitycznych kleszczy jest Rosja⁷, którą, jak zauważył w jednym z tekstów Jarosław Kuisz, nawiązując do słów Juliusza Miroszewskiego, oglądamy przez „okulary Litwinowa”. Sowiecki dyplomata „patrzył na Polskę tak, jak Polacy patrzą na Rosję – z pozycji historycznego uwarunkowania”⁸. Z jednej strony, gdy patrzymy na Wschód, mamy na nosie druciane okulary Maksima Litwinowa, z drugiej – patrząc na Niemcy, grube plastikowe okulary Władysława Gomułki⁹. Łączy je jedno – zakrzywiają rzeczywistość, można przez nie

⁷ Metafora zaczerpnięta z tytułu książki Jiříego Trávníčka, „W kleszczach dziejów – Europa środkowa jako pojęcie i problem”: J. Trávníček (red.), „V kleštích dějin. Střední Evropa jako pojem a problem”, Host, Brno 2009.

⁸ J. Kuisz, „Okulary Litwinowa i Polish soft power, czyli o kryzysie na Wschodzie (na początku 2015 roku)” [w:] Ł. Jasina (red.), „Syci Polacy patrzą na Ukrainę”, Fundacja Kultura Liberalna, Warszawa 2015.

⁹ To oczywiście wiąże się z przenikaniem myśli narodowej i nacjonalizmu do ideologii, propagandy i wreszcie dominującego sposobu myślenia PZPR. Por. M. Zaremba, „Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm, Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce”, Trio/ISP PAN, Warszawa 2005.

zobaczyć dużo mniej niż bez nich, pozostawiają znaczną część rzeczywistości poza polem widzenia. To właśnie klątwa Geopolityki, którą w Polsce przyjmujemy za podstawowe podejście w polityce międzynarodowej.

Żeby przewietrzyć trochę tę duszną celę, w której zamknęła nas opacznie rozumiana geopolityka, musimy zastanowić się nad jej krytyczną alternatywą – „geopolityką liberalną”. Czym jest liberalizm w polityce międzynarodowej? Pomijając tradycję teoretyczną o tej samej nazwie, liberalizm to po pierwsze akcent położony na wolność – wolność jednostki w ramach państwa i wobec państwa. Jeśli dążymy do wolności w społeczeństwie, dlaczego mielibyśmy tego dążenia nie przenieść w sferę polityki międzynarodowej? To wszystko ma swoje logiczne konsekwencje wyrażające się w pewnych gestach i postawach, na które trzeba się decydować, obserwując i komentując rzeczywistość międzynarodową. Stanowisko, które nazywam „geopolityką liberalną”, nie jest bynajmniej nowym pomysłem. To raczej próba odkurzenia pewnego intelektualnego projektu, który z różnych powodów przepadł na przełomie lat 80. i 90. XX w.

NIEZAMKNIĘTY ROZDZIAŁ LAT 80.

Timothy Garton Ash napisał kiedyś, że nigdzie ludzie nie wierzą w idee tak bardzo, jak w Europie Środkowej, i nigdzie idee nie mają takiej mocy sprawczej. Ale taką Europę Środkową trzeba było sobie najpierw wymyślić i nazwać. Rezultatem tego wymyślania, odbywającego się pod pretekstem rozważań, był projekt geopolityczny, który (jak każdy projekt geopolityczny) miał w sobie dwa pierwiastki – łączący i dzielący. Na przełomie lat 80. i 90. XX w., w czasie wielkiego europejskiego i globalnego

politycznego przesilenia, środkowoeuropejscy dysydenci mieli idealistyczny, ale właśnie dzięki temu solidny program reformy systemu międzynarodowego. Była to swoista „heretycka geopolityka”, wizja układu sił pisana przez teoretycznie „bezsilnych”¹⁰. Jak ten projekt się tworzył, jak został wypaczony, dlaczego w ofierze złożono rosyjską inteligencję i co z tego pozostaje do dziś aktualne i użyteczne?

Fascynujące jest odkrywanie tych momentów historycznych, w których różni ludzie w różnych miejscach zaczynają myśleć podobnie i mieć podobne pomysły. W połowie lat 80. XX w. w państwach bloku wschodniego grupy działaczy opozycji demokratycznej zaczęły, z początku niezależnie od siebie, analizować nową, wcześniej zaniebawaną przez dysydentów polityczną sferę – stosunki międzynarodowe. Bezpośrednim impulsem do podjęcia tego tematu było pojawienie się w Europie Zachodniej na początku lat 80. masowego ruchu pokojowego. Ta ogromna i amorficzna masa społecznego protestu zrzeszała w sobie najrozmaitsze organizacje: skrajną lewicę, zielonych, socjalistów czy wreszcie chrześcijańskie stowarzyszenia pokojowe. Jednak ostrze jej krytyki skierowane było bardziej w NATO niż w zbrojenia sowieckie, a sam ruch powstał w wyniku rosnącego poczucia obywatelskiej bezsilności w państwach demokratycznych, nie zaś łamania praw człowieka na Wschodzie. Jego członków przezywano w naszej części Europy „pacyfistami”, a ruch stał się pupilkiem reżimowej propagandy i solą

¹⁰ Szerzej na temat historycznego tła tego projektu: K. Szulecki, „Heretical geopolitics of Central Europe. Dissidents intellectuals and an alternative European order”, „Geoforum”, nr 65, 2015, s. 25–36.

w oku opozycji. Nic więc dziwnego, że potrzeba nawiązania dialogu między niezależnymi inicjatywami po obu stronach żelaznej kurtyny nie przekładała się przez długi czas na autentyczną wymianę zdań. Brakowało wspólnego języka i brakowało platformy dyskusji, która mogłaby stać się miejscem wymiany idei. Ta sytuacja skłoniła opozycję demokratyczną do zajęcia się sprawami polityki na poziomie międzynarodowym. Aby unaocznić ruchowi pokojowemu wagę „sprawy Europy Wschodniej”, trzeba było mówić językiem zrozumiałym zarówno dla zachodnich, niezależnych elit, jak i dla szerszej publiczności. Żeby jednak przekonać choć część grup zrzeszonych w ruchu do swoich racji, trzeba było najpierw zakwestionować ich ocenę sytuacji międzynarodowej, obalić teorię zimnej wojny, na której była zbudowana, wreszcie – podważyć i odwrócić całą „wyobraźnię geopolityczną” ufundowaną na porządku jałtańskim.

Uznani i sławni już dysydenci niekoniecznie czuli się swobodnie w nowej dla siebie tematyce. Dlatego w dialog włączyli się także mniej znani oraz młodszy działacze i intelektualiści. Choć dziś pozostaje to niemal całkowicie poza dominującą narracją środkowoeuropejskiej opozycji demokratycznej, ich nazwiska i nazwy ich grup stały się pod koniec lat 80. rozpoznawalne w szerokich kręgach zachodniej opinii publicznej, a dla środowisk alternatywnych na Zachodzie byli wręcz autorytetami. Bohaterowie tamtego procesu to między innymi Jaroslav Šabata i Jiří Dienstbier z czechosłowackiej Karty 77, polskie środowiska skupione wokół drugoobiegowych pism „KOS”, „Czas Przyszły” i „Vacat”, w szeregach których były takie osoby jak wspomniany tu już Czaputowicz i wielu innych wnoszących w tamtym czasie powiew świeżości

autorów, jak np. Konstanty Gebert (vel Dawid Warszawski) i Piotr Ikonowicz (vel Igor Lewy), wreszcie powstałe w latach 80. i odrywające niebagatelną rolę, a dziś już niemal zapomniane wschodnioeuropejskie inicjatywy pokojowe: węgierski Dialog, czeskosłowackie Niezależne Stowarzyszenie Pokojowe i największy w bloku polski Ruch Wolność i Pokój.

Z powszechnie rozpoznawalnych dysydentów wśród uczestników ponadnarodowego dialogu na temat pokoju znajdziemy Jacka Kuronia i Václava Havla, a przede wszystkim György'ego Konrádza. Ten ostatni zasłynął przede wszystkim książkowym esejem „Antypolityka”, który dziś – nieco zapomniany – odczytywany jest raczej przez pryzmat rzeczywistej praktyki politycznej ruchów dysydenckich albo mylony z Havlovskim tekstem o „polityce apolitycznej”. W rzeczywistości był to zbiór rozważań na temat natury systemu jałtańskiego. Teksty Kuronia i Havla na tematy geopolityczne przeszły bez echa w ówczesnej polskiej debacie, a historiografii opozycji ich odnotowanie zajęło ponad dwadzieścia lat¹¹. Nie jest to może aż tak dziwne w przypadku tego pierwszego. Czytając dziś wypowiedzi Kuronia na temat ruchu pokojowego (zarówno tego zachodniego, jak i polskiego, który dopiero miałyby powstać), można odnieść wrażenie, że rozumowanie

¹¹ Listu otwartego Kuronia do zachodnich ruchów pokojowych oraz jego apelu „Jałta – i co teraz?” próżno szukać w wydanym kilka lat temu obszernym zbiorze jego tekstów. Z kolei świetny i niezmiernie ważny esej Havla „Anatomia pewnej powściągliwości” („Anatomie jedné zdrženlivosti”), skierowany do ruchu pokojowego, dopiero w ostatnim czasie doczekał się pierwszego polskiego wydania (w tłumaczeniu Andrzeja S. Jagodzińskiego jako „Anatomia powściągliwości jednej ze stron” [w:] V. Havel, „Zmieniać świat. Eseje polityczne”, Agora, Warszawa 2012).

w kategoriach systemu międzynarodowego było dla niego zbyt abstrakcyjne i może sprzeczne z naturą „wiecznego działacza”, skupionego na pojedynczym człowieku. Choć siła jego moralnych apeli jest niezaprzeczalna, nie starczyło jej już na nowatorski projekt pozytywny. Kuroń miał jednak świetny kontakt z młodszymi od siebie nie-raz o trzydzieści lat aktywistami. Był im też bliski przez swoją bezkompromisową niechęć do wojska jako instytucji totalitarnej. Antymilitaryzm bowiem, dużo bardziej niż „pacyfizm”, stanowił fundament wschodnioeuropejskich inicjatyw pokojowych. Niezaprzeczalnie już samo nazwisko Kurońa uwiarygadniało całe środowisko. Podobnie Havel wziął na siebie raczej funkcję rzecznika niż ideologa. Jego esej „Anatomia pewnej powściągliwości” to perswazyjnie i literacko sprawne omówienie fundamentalnego dla dysydenckiej geopolityki dokumentu – wydanego w 1985 r. przez Kartę 77 „Apelu praskiego”.

NA PRZEKÓR JAŁCIE

„Apel praski” („Pražská výzva”) stanowił swego rodzaju rewolucję¹². Nigdy wcześniej równie ważna grupa wschodnioeuropejskich dysydentów nie wypowiedziała się tak jednoznacznie i spójnie na temat kwestii pokoju, rozbrojenia i stosunków między politycznymi blokami. Do tamtego czasu podobne dokumenty albo powtarzały to, co zachodni „pacyfiści” sami mówili lub chcieli ze Wschodu usłyszeć (tak pisali wschodnioniemieccy opozycjoniści), albo besztwały ruch pokojowy za „naiwność” i niewystarczające zainteresowanie cierpieniami narodów podległych rządów totalitarnym (w tym celowali zwłaszcza Polacy).

¹² „Pražská výzva”, „Informace o Charte”, nr 8 (1985).

„Apel praski” nie tylko nikogo nie besztął, ale wręcz inspirował. Był śmiały i wizjonerski do tego stopnia, że programowy tekst zachodniego ruchu pokojowego, „Apel na rzecz Europejskiego Rozbrojenia Nuklearnego (END)”, brzmiał przy nim niezwykle zachowawczo. Zachodni dokument, deklarujący dążenie do „Europy wolnej od broni jądrowej od Portugalii po Polskę”, przyjmował bowiem podświadomie zimnowojenną optykę. Mówił o strachu, który równomiernie dotyczy „obu połówek Europy” i nawoływał (dość zastanawiająco), by działacze niezależni byli „lojalni nie wobec swoich bloków, ale wobec siebie nawzajem” (jakby to pierwsze było dla jakiegokolwiek wschodnioeuropejskiego opozycjonisty pociągające)¹³.

Choć język i postulaty ruchu pokojowego brzmiały radykalnie, były takie jedynie wtedy, gdy się je ujmowało w ramach porządku jałtańskiego. „Apel Praski” był pierwszą propozycją całościowej reformy systemu, tym silniejszą w swej wymowie, że pochodzącą od „bezsilnych” i prześladowanych wschodnioeuropejskich dysydentów. Zapoczątkowana w nim myśl geopolityczna była na wskroś „heretycka”. Sprzeciwiała się ona zarówno propozycjom starej lewicy (np. ugodowego niemieckiego SPD, brnącego w oficjalne zbliżenie poprzez Ostpolitik), jak i nowej lewicy (choćby ówczesnych Zielonych). W „Apelu...” postulowano rozwiązania zarówno takie, którym konserwatyści przyklaskiwali (wyraźny akcent na prawa człowieka w Europie Wschodniej i na komunistyczny totalitaryzm), jak i takie, które były dla nich kompletnie nie do pomyślenia

¹³ Cytaty z „Appeal for European Nuclear Disarmament (END)” [w:] G. Ó Tuathail, S. Dalby i P. Routledge (red.), „The Geopolitics Reader”, Routledge, London 1998, s. 95–96.

(zjednoczenie Niemiec jako warunek autentycznego pokoju w Europie, zaproponowany po raz pierwszy w tego rodzaju deklaracji). Z dzisiejszej perspektywy trudno wyobrazić sobie rewolucyjność tego ostatniego postulatu, łamiącego jałtańskie tabu, nie w smak ani komunistom, ani prawicowym Realistom i propagatorom Geopolityki. „Apel...” był więc przeniesieniem antypolitycznej logiki dysydenctyzmu na poziom międzynarodowy. I wywołał wstrząs.

Jego postulaty były częściowo zdeterminowane tamtym, odległym już momentem historycznym. Niezwykle ważne jednak było heretyckie myślenie poza schematami. Autorzy „Apelu...” – głównym był Jaroslav Šabata, jeden z czołowych rzeczników Karty – postulowali konieczność rozwiązania obu bloków wojskowych (NATO i Układu Warszawskiego), a w zamian za to oparcie nowego systemu na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). Wbrew wielu swoim kolegom, wbrew politycznym emigrantom i wbrew sporej części zachodniego ruchu pokojowego mieli dość wyobraźni, by docenić rolę procesu helsińskiego. Proponowali jednak zrównoważenie „odgórnej współpracy” obywatelskim ruchem „oddolnych Helsinek”. Oznaczało to współpracę na rzecz praw człowieka ruchów niezależnych z całej Europy. I to właśnie liberalna idea praw człowieka stanowiła ideowy trzon tego programu, choć jego autorzy (Šabata, Dienstbier, Jiří Hájek) mieli lewicowy rodowód (a uznawany za lidera obozu liberałów w Karcie 77 Havel grał tu jedynie drugoplanową rolę).

Ostatnim elementem owej dysydenckiej, heretyckiej geopolityki była definitywna zmiana zimnowojennej wyobraźni. Do tego celu posłużył kulturowy projekt Europy Środkowej, ożywiony niecałe dwa lata wcześniej przez

powieściopisarza Milana Kunderę¹⁴. W projekcie środkowo-europejskim spotkało się wszystko to, co jest przedmiotem niniejszego eseju – krytyczna myśl geopolityczna, liberalizm polityczny i świadomość roli kultury w kształtowaniu wyobraźni geopolitycznej.

EUROPA ŚRODKOWA – REGION WIELKIEJ HEREZJI

Przyzwyczajiliśmy się myśleć i dyskutować o Europie Środkowej w kategoriach tożsamości. Gdzie leży Europa Środkowa? Co to znaczy mieć środkowo-europejski charakter? Nie można jednak zapominać, że Europa Środkowa to przede wszystkim geopolityczny projekt, choć jego autorami byli nie tyle wojskowi stratedzy czy naukowcy, co artyści oraz intelektualiści. Podstawowym celem Kundery, który przywoływał tę nazwę, oraz tych, którzy dążyli do jej geograficznego zakorzenienia, było przełamanie zimnowojennej geopolitycznej binarności. Aby rozbić wzmocniony betonem i drutem kolczastym obraz Europy podzielonej na dwie części, trzeba było wprowadzić trzeci element. Niuans koloru w czarno-białym, danym z góry obrazie. Coś pomiędzy.

Jednak, jak każdy geopolityczny projekt, także projekt Europy Środkowej miał w sobie moc rozgraniczania i łączenia. Z jednej strony chodziło o integrację państw znajdujących się pomiędzy ZSRR a żelazną kurtyną, z drugiej o stosunek do Rosji. Kunderowska Europa Środkowa, rozumiana zgodnie z tytułem jego słynnego eseju jako „Zachód porwany”, ustawiona była wyraźnie przeciw Rosji. Dla czeskiego pisarza, podobnie jak dla Węgry Mihály’ego Vajdy,

¹⁴ M. Kundera, „«Un occident kidnappé» ou la tragédie de l'Europe centrale”, „Le Débat”, 5 n°27, 1983, s. 3–23. (Polska wersja tego tekstu ukazała się w nr 5 „Zeszytów Literackich” z 1984 r. pod tytułem „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej”).

Europa Środkowa przynależała do Zachodu. W naturalny sposób dążyła więc do integracji z nim i jednocześnie odcinała się od wszystkiego, co wschodnie. Ów gest był więc jedynie przesunięciem ustalonej w oświeceniu granicy Europy Wschodniej – tego bliższego orientalnego Innego, jak pisał Larry Wolff, nieco bardziej na wschód¹⁵. Taki obraz Europy Środkowej był też w gruncie rzeczy zgodny z obrazem Europy „od Portugalii do Polski”, jaki malował zachodni ruch pokojowy – wyrzucając zarówno ZSRR, jak i USA poza ramy europejskiego systemu. „Europa centralna”, jak zauważał ówczesny duński działacz pokojowy, a dziś wybitny teoretyk bezpieczeństwa, Ole Wæver, miała być „centralna dla Europy”, jednak Kundera i jego naśladowcy podkreślali, że region ten został „porwany”, przeniesiony poza Europę i przyłączony do obszaru kontrolowanego przez „Azjatycką Rosję”¹⁶. Ten sposób myślenia i ta metafora będą potem niesłychanie ważne w dyskursie „powrotu do Europy”, który stanie się refrenem polityki zagranicznej państw Grupy Wyszehradzkiej przez całe niemal lata 90.

Aby dobrze zrozumieć różnicę między dwiema wizjami „środka” Europy, wypada cofnąć się o dwie dekady i przyrzeć się innemu geopolitycznemu projektowi, który także z czasem uległ wypaczeniu. Powtarzane jak mantra trzy litery ULB – Ukraina, Litwa, Białoruś – od początku lat 90. miały być drogowskazem dla polskiej polityki zagranicznej. A jednak dyskurs i praktyka polskiej dyplomacji była raczej zaprzeczeniem czy rozwodnieniem, a nie spełnieniem wizji

¹⁵ L. Wolff, „Inventing Eastern Europe. The Map of Civilization on the Mind of the Enlightenment”, Stanford 1994.

¹⁶ Por. O. Wæver, „Conflicts of Vision: Visions of Conflict” [w:] O. Wæver, P. Lemaitre i E. Tromer (red.) „European Polyphony. Perspectives Beyond East-West Confrontation”, St. Martin’s Press, New York 1989.

Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia. Realizowana w postzimnowojennym paradygmacie, przypominała bardziej politykę jagiellońską i federalistyczny projekt Józefa Piłsudskiego (a więc stwarzanie buforu oddzielającego Polskę od Rosji) niż to, co mieli na myśli twórcy z paryskiej „Kultury”. Różnicę między podszytą imperializmem wizją jagiellońsko-piłsudczykowską a innowacją ULB doskonale wychwycił Timothy Snyder, wskazując też na ahistoryczny sposób, w jaki Polacy przez pryzmat współczesnego nacjonalizmu interpretują dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów¹⁷. I choć, co trafnie zauważa Paweł Kowal, w polskiej polityce wschodniej po 1989 r. dużo jest „zaklinania Giedroyciem”¹⁸, tak naprawdę sedno idei ULB pozostawało raczej niezauważone. Wielu pravicowych publicystów i analityków, włączając w to wspomnianych Kowala i Żurawskiego vel Grajewskiego, starało się utożsamić program „Kultury” z ich własną wizją jagiellońską i dowodzić na tej podstawie, że w polityce wschodniej istnieje jako by mniej lub bardziej świadomy ponadpartyjny konsensus.

Już w 1962 r. Mieroszewski pisał: „tradycyjną polską koncepcję «przedmurza» osłaniającego Zachód przed Wschodem trzeba porzucić i zastąpić koncepcją «pomostu»”¹⁹.

¹⁷ T. Snyder, „The Reconstruction of Nations. Poland, Ukraine, Lithuania, Belarus, 1569–1999”, Yale University Press, New Haven 2003, wyd. polskie: „Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999”, przeł. Magda Pietrzak-Merta, Pogranicze, Sejny 2007.

¹⁸ P. Kowal, „Wielki powrót geopolityki i wschodnia idea Lecha Kaczyńskiego” [w:] J. Kłoczkowski (red.), „Polska w grze międzynarodowej. Geopolityka i sprawy wewnętrzne”, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2010, s. 44.

¹⁹ J. Mieroszewski, „Na ruinach «przedmurza»”, „Kultura”, nr 5, 1962.

Owa „środkowość” Kunderowskiej Mitteleuropy w koncepcji Mieroszewskiego skupia się właśnie w Polsce. Ale wymowa pism i nastawienie publicysty „Kultury” jest zupełnie inne, bliższe wizji autorów „Apelu praskiego”. Czechosłowaccy dysydenci postulowali bowiem otwarcie na Rosję i wciąganie jej z całą mocą do Europy, nie zaś wykluczanie poza nawias. Nieżyjący już Jaroslav Šabata wspominał mi, że nie mógł w tej sprawie zgodzić się z Adamem Michnikiem, który nie widział dla Rosji miejsca w Europie. Szerokim echem odbiła się także na Zachodzie polemika słowackiego filozofa Milana Šimečka z Kunderą i Vajdą. Šimečka zgadzał się z tym, że wolność jest podstawową europejską wartością. Nie godził się jednak na to, by stawiając ją jako ideał, do którego dąży Europa, wykluczać z tych dążeń Rosję na podstawie jej rzeczywistej, aktualnej polityki. „Europa postawiona obok Rosji – pisał – i z nią porównana nie wydaje się westalką. Nie odbiera to Europie ani odrobinę wkładu w rozwój wartości jaką jest wolność, nawet jeśli w doświadczeniu wolności zawrzeć często sprzeczne elementy europejskiego rozwoju, którego «rosyjska cywilizacja» jest także składnikiem”. Šimečka nie godził się na uczynienie z Rosji „odmiennej cywilizacji”, pytając, czy Europa (w tym Europa Środkowa) naprawdę może sobie pozwolić na ciągłe trzymanie tak wykreowanego przeciwnika na dystans²⁰.

Paradoksalne jest to, że polscy, ale też czescy i węgierscy opozycjoniści, zafascynowani przecież swego czasu rosyjską kulturą i moralną odwagą tamtejszych dysydentów,

²⁰ M. Šimečka, „Which Way Back to Europe? (A Reply to Mihaly Vajda)” [w:] G. Schöpflin, N. Wood (red.), „In Search of Central Europe”, Barnes & Noble Books, Totowa, NJ, s. 176–182.

tak łatwo byli w stanie zastąpić refleksję stereotypem. Podobnie opisując swą ojczyznę w „Rodzinnej Europie”, Czesław Miłosz, choć z czasem zaczął używać określenia „Europa Środka”, nazywał ją „Wschodnią”. W konsekwencji za wschodnimi granicami Polski i Litwy sytuował już Azję. Widać u niego wyraźnie odmienne podejścia do Rosji jako państwa (jakby „cywilizacji”) i Rosjan jako przedstawicieli całkiem mu bliskiej kultury²¹. O niewykluczenie Rosji z Europy, w tym symbolicznym, choć jak teraz już rozumiemy, także geopolitycznym wymiarze, apelował do Kundery rosyjski dysydent Lew Kopielew, a z Miłoszem polemizował jego przyjaciel Josif Brodski. To paradoks ciążyący na geopolitycznej wyobraźni licznych byłych dysydentów. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że taka interpretacja Europy Środkowej – jak się okazało w latach 90., ponętna i zwycięska – nie była ani jedyną, ani nawet tą najbardziej powszechną w oryginalnym dysydenckim projekcie. Oczywiście Związek Radziecki nie był państwem nawet w minimalnym stopniu demokratycznym, ale też, powiedzmy to wyraźnie, nie były nimi jego państwa satelickie. Możliwość „wymyślenia” demokratycznej Polski i Czechosłowacji wymagała w tamtym czasie wyobraźni niemal tak wybujałej, jak wymyślenie demokratycznej Rosji. Ale bycie idealistą nie jest jednoznaczne z byciem fantastą. Miroszewski, już w latach 60. projektujący świat po upadku ZSRR, także rozumiał trudność tego ćwiczenia wyobraźni – jednak z niego nie rezygnował. „Musimy się stać drożdżami przyspieszającymi proces przemian w Rosji”, pisał, mając na myśli jej „uzachodnienie” i zmianę jej imperialnej roli,

²¹ Mówi o tym otwarcie w rozdziale „Rosja”, zob. Cz. Miłosz, „Rodzinną Europą”, Biblioteka Polityki, Warszawa 2008.

nie zaś tylko rozsądzenie jej od środka w myśl polskiej tradycji prometeizmu.

Mieroszewskim, Šabata, Giedroyciem, Šimečką i innymi podobnie myślącymi kierowała przy tym zupełnie odmienna logika. Wroga nie da się ostatecznie pokonać, nie da się nigdy dostatecznie przed nim zabezpieczyć. Bezpieczeństwo jest względne i płynne. Aby doprowadzić do faktycznego pokoju, trzeba spojrzeć nań w sposób całościowy. Po pierwsze, pokój jest niepodzielny i nie ma pokoju bez wolności. Pokój między państwami jest najistotniejszy, ale brak wojny nie wystarcza, jeśli w tym samym czasie w części Europy brak pokoju wewnętrznego, kiedy to rządy autorytarne są w stanie wojny ze swoimi społeczeństwami. Raz jeszcze zatem kluczowa okazuje się sprawa praw człowieka. Po drugie, prawdziwy pokój międzynarodowy możliwy jest nie wtedy, gdy sąsiadujące ze sobą państwa zbroją się i szykują do wojny, a tylko wtedy, gdy w ogóle usuniemy kategorię wroga i zbudujemy relacje opierające się nie na odstraszeniu, ale na wzajemnym zaufaniu. Aby tego dokonać, znów wracając do poziomu wewnątrzpaństwowego, potrzebna jest demokratyzacja. Dysydenci (do czasu) wierzyli, że demokratyczne stosunki wewnętrzne mogą i powinny mieć odbicie na poziomie międzynarodowym. Przyjmowali także hipotezę „demokratycznego pokoju”, zakorzenioną w filozofii Immanuela Kanta, a więc wiarę, że państwa demokratyczne tworzą wspólnotę wolności i nie toczą między sobą wojen. Tu także szli wbrew twierdzeniu popularnemu wśród zachodnich postępowców, podążających raczej za Leninem i sugerujących, że ustrój wewnętrzny nie ma znaczenia, a kapitalizm rodzi imperializm. Wielką przeszkodą dla przenikania się myśli

wschodnich „dysydentów” i zachodnich „pacyfistów” była nieprzystawalność i niekompletność obrazów świata. Tam gdzie zachodni ruch pokojowy widział kapitalizm i niekapitalistyczną alternatywę, dysydenci widzieli raczej demokrację i autorytaryzm. Być może dlatego konstruktywny dialog mogły rozpocząć jedynie lewicowe i liberalne kręgi opozycji, mając za partnerów liberalne i chrześcijańskie (a więc względnie „prawicowe”) grupy w ruchu pokojowym.

Rok 1989 przyniósł rewolucyjną zmianę, a wraz z nią – nieoczekiwaną okazję wprowadzenia w życie heretyckiego projektu reorganizacji Europy. Na przełomie dekad pojęcie „Europy Środkowej” było już solidnie zakorzenione w świadomości zachodnich elit i społeczeństw, a objęcie przez dawnych dysydentów czołowych stanowisk w swoich krajach dało realną szansę na realizację celów²². Nigdy jednak do tego nie doszło. Już w 1993 r. Havel, który zaraz po objęciu urzędu wprowadził amerykański Kongres w zakłopotanie sugestią o potrzebie likwidacji zarówno Układu Warszawskiego, jak i NATO, zaczął coraz wyraźniej mówić o Pakcie Północnoatlantyckim jako o jedynym gwarancie bezpieczeństwa i pokoju.

Idealizm w polityce międzynarodowej łatwo mylony jest z naiwnością. Havel przekonał się o tym w zderzeniu ze światowym politycznym establishmentem. To jednak błędny sąd. Są sytuacje, kiedy to właśnie obstawanie przy wartościach, które okazują się dalekowzroczone,

²² Np.: w Czechosłowacji Havel został prezydentem, Dienstbier – ministrem spraw zagranicznych, Šabata – pokierował parlamentarną komisją spraw zagranicznych, zaś propagujący „heretycka geopolitykę” wśród zachodniej opinii publicznej Jan Kavan najpierw został szefem MSZ, a następnie przewodniczącym Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

a nie przy krótkoterminowych interesach, jest koniec końców właściwe.

HEREZJA PO KRYMIE I DONBASIE?

Co z tego historycznego doświadczenia może dziś być dla nas użyteczne? W obliczu ciągłych napięć w stosunkach z Rosją, zwłaszcza w kontekście budowy instalacji amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Europie Środkowej, historia do pewnego stopnia zatoczyła koło. Na pierwszy rzut oka okoliczności są podobne jak w latach 80. Znowó mówimy o zimnej wojnie i raketach, jednak kontekst polityczny jest wyraźnie odmienny. Od ćwierć wieku Unia Europejska jest awangardą tego, co Robert Cooper nazywa „światem postmodernistycznym” – kantowską wyspą demokratycznego pokoju, gdzie suwerenność narodowa przestaje być najwyższą wartością, a zastępują ją współpraca i otwartość międzyspołecznych relacji²³. Jednocześnie na Kremlu zasiada nie gotowy do odrzucenia szalonej spirali zbrojeń Michaił Gorbaczow, a reprezentujący „modernistyczny” świat w jego najgorszym wydaniu Władimir Putin. Mimo to zarówno sama postawa geopolitycznego krytycyzmu, jak i bardziej konkretne cele nie straciły ważności.

Może wbrew prostym ocenom zimna wojna nigdy się tak naprawdę nie skończyła? To stwierdzenie jest dziś chyba mniej kontrowersyjne niż jeszcze kilka lat temu, jednak nie tak oczywiste powinno być jego uzasadnienie. Choć po agresji Rosji najpierw na Gruzję w 2008 r., potem aneksji Krymu i „hybrydowej” inwazji na Ukrainę w roku 2014 takie słowa mogą być odrzucane jako

²³ R. Cooper, „The Breaking of Nations. Order and Chaos in the Twenty-first Century”, Atlantic Monthly Press, New York 2003.

nieuleczalna rusofilia, zimna wojna pozostała niezakończona z powodu zachowania państw zachodnich. Nie jest to próba wstawiania się za putinowską Rosją, ani nawet krytyka rozszerzenia NATO z punktu widzenia Realizmu à la John Mearsheimer²⁴. Obie te linie argumentacji uważam za chybione i groźne. Pierwsza nie rozumie natury putinowskiego autorytaryzmu, druga całkowicie ignoruje fakt suwerenności i wolę narodów takich, jak naród ukraiński. Chodzi o co innego – o triumfalizm zachodnich i środkowoeuropejskich elit po 1989 r., który – zgodnie z przewidywaniami zarówno części dysydentów, jak i ruchu pokojowego – jest wyrazem przekonania, że koniec zimnej wojny i upadek ZSRR nie był wyzwoleniem Europy, ale zwycięstwem NATO (przynajmniej w rozumieniu jego przywódców). Kiedy jest zwycięzca, jest i przegrany, a to rodzi resentyment. W dodatku przesunięcie granicy Zachodu z linii Łaby na linię Bugu nie zlikwidowało relacji my–oni, zmieniło tylko skład obu tych zbiorów. W tym rozumieniu Putin nie jest więc diaboliczną przyczyną wszystkich aktualnych problemów europejskiego bezpieczeństwa, ale raczej skutkiem niekonsekwencji i braku długoterminowej, pozytywnej strategii wciągania Rosji do Europy, o której mówił między innymi Šabata.

Dziś agresywny cynizm Moskwy jest widoczny gołym okiem, a łamanie przez Rosję prawa międzynarodowego nie da się zakwestionować. Niestety moralna wyższość, którą w latach 80. przypisywali sobie (i słusznie) środkowoeuropejscy dysydenci, ulotniła się wraz z poparciem

²⁴ J.J. Mearsheimer, „Why the Ukraine Crisis Is the West’s Fault. The Liberal Delusions That Provoked Putin”, „Foreign Affairs”, September/October 2014.

dla bardzo dalekich od nieskazitelności działań Zachodu w Jugosławii w 1999 r. czy w Iraku w roku 2003. Rosyjska dyplomacja lubi o tym przypominać i niestety ma sporo racji, a wielu spośród byłych dysydentów, jak Havel czy Michnik (a także piszący te słowa) – ma powody do wstydu.

W lutym 2010 r. ówczesny polski minister spraw zagranicznych, Radosław Sikorski, wywołał niemałą burzę, mówiąc, że „w procesie rozszerzenia NATO nie należy z góry wykluczać Rosji”, której ewentualne wstąpienie „mogłoby przynieść stabilność i bezpieczeństwo regionom, gdzie dotychczas nie było ani jednego, ani drugiego”. Choć Sikorski w latach 80. był bardzo odległy od dysydenckich heretyków, w tym przypadku doszedł w gruncie rzeczy do jedyne go słusznego wniosku – zgodnie z sugestią Šimečki. Dwa miesiące później katastrofa smoleńska i rola Rosji w nabierającej rozmachu wojnie polsko-polskiej uczyniły pomysł Sikorskiego jeszcze bardziej kontrowersyjnym, a wydarzenia 2014 r. przesunęły go całkowicie poza nawias wyobraźności.

Dziś o konieczności zbliżenia z Rosją wciąż mówi wiele środowisk – niewielu z nich jednak można przyznać rację. Niczym zdarta płyta brzmiały głosy niemieckich socjaldemokratów, którzy wciąż uważają, że polityka Willy’ego Brandta z lat 70. jest jedynie słuszną, a Rosja jest w zasadzie jedynym istotnym bytem politycznym na Wschodzie. Choć nie akceptują oni charakteru reżimu Putina, wciąż wierzą w teorię rozwoju, wedle której współpraca ekonomiczna buduje zaufanie i dobrobyt, a one prowadzą do wzrostu bezpieczeństwa i powolnej demokratyzacji. Być może. Niestety w długim terminie i ponad głowami mniejszych. To właśnie z tego myślenia wynikł projekt pierwszego gazociągu Nord Stream – współzależność

i wielopoziomowa współpraca ekonomiczna miałyby uczynić konflikt Rosji z Zachodem zbyt kosztownym. Choć trudno odmówić temu podejściu sensowności z perspektywy „starej Unii”, widać wyraźnie, że koszty tej polityki spadają na państwa dawnego ZSRR i na społeczeństwo rosyjskie, bo także upominanie się o prawa człowieka w Rosji staje się zbyt kosztowne. Inną kategorią polityków nawołujących do „deeskalacji” konfliktu jest skrajna lewica i konserwatywna prawica z Viktorem Orbánem włącznie. Tu motywacja jest inna. Nie chodzi o to, żeby Rosję zmieniać, ale raczej, by powielać jej model władzy i wzorować się na jej sposobie prowadzenia polityki zagranicznej, postrzeganych jako wyjątkowo skuteczne.

Oba te podejścia są sprzeczne z postawą liberalną, która nawet jeśli operuje na poziomie geopolitycznej abstrakcji, zawsze musi za punkt odniesienia brać jednostkę i prawa człowieka, a zatem musi kłaść akcent na miejsca, które powyższe strategie zbywają milczeniem – na przestrzeń „pomiędzy” (np. Ukrainę) i na wolnościowe aspiracje Rosjan. Nawiązujące do (wspólnej) dysydenckiej tradycji podkreślanie różnicy między Rosją a kleptokratycznym reżimem Putina to absolutne minimum „oddolnego” elementu geopolitycznej herezji. Chodzi o nieodwracanie się plecami od Rosjan oraz stałą gotowość do dialogu i pomocy wszystkim niezależnym ośrodkom wewnątrz Rosji i wśród rosyjskiej emigracji. Te działania, tak ważne w czasie zimnej wojny dla opozycji wschodnioeuropejskiej, są jednak dziś bardzo trudne, bo Władimir Władimirowicz bardzo skrupulatnie odrobił historyczną lekcję dotyczącą „siły bezsilnych” i konieczności ich szybkiego „rozbijania”. Rozumie to jednak także Paweł Kowal, który nawiązania do ULB stara się oczyścić ze szkodliwego

nalotu antyrosyjskości, czyli „apriorycznej niechęci do kultury i społeczeństwa Rosji”, co – jak zauważa – w „żadnym razie nie może być kluczem do zrozumienia tego stanowiska”²⁵.

Trudniejsze są relacje polityczne i gospodarcze na poziomie państwowym. Jeśli potraktować poważnie heretycką geopolitykę dysydentów, polityka Europy wobec Rosji musi być polityką szeroko otwartych drzwi, w których jednak stoi gospodarz, grzecznie, lecz stanowczo zwracający uwagę, że w takim stanie, w jakim teraz znajduje się to państwo, rosyjscy politycy mogą zapomnieć o przekroczeniu progu. To dość trudna postawa w dyplomacji, ale Unia Europejska jako laboratorium „świata postmodernistycznego” wymaga ekstrawagancji. Nie można jednak powielać już popełnionych błędów. Drzwi muszą być otwarte, a sama powieszona na nich karta „witamy” nie wystarczy. Tak od lat traktowano Turcję, judząc odległą wizją akcesji i trzymając na dystans. W efekcie Unia doczekała się nad Bosforem reżimu Recepa Erdoğan, będącego niemal kopią putinowskiej Rosji.

Konieczne jest jednak zrozumienie, że odwracanie się od Rosjan, rezygnacja z dialogu (szczególnie tego poza oficjalnymi kanałami) prowadzi do lustrzanego odwrócenia się Rosjan od Europy. Widać to także w omawianym przez Guzziniego powrocie do Geopolityki, który w Rosji odbywa się z siłą i na skalę nie mniejszą niż w Polsce, a w naszych mediach najjaskrawiej kojarzony jest z nazwiskiem Aleksandra Dugina. Problemem z Geopolityką – tak w Rosji, jak i w Polsce – jest jej charakter „samospełniającego się proroctwa”. Kiedy bowiem

²⁵ P. Kowal, *op. cit.*, s. 43.

dojdzie do zespolenia wyobraźni geopolitycznej i myślenia o bezpieczeństwie narodowym (a te idą ze sobą w parze, szczególnie w Polsce) i zaczną wpływać one na politykę zagraniczną, będą mieć także „wpływ na interakcje dyplomatyczne, bezpośrednio i pośrednio. Te interakcje będą bowiem stopniowo coraz bardziej interpretowane w konkretnym świetle [...] To z kolei znowu wpłynie na ich zachowanie”²⁶. Mówiąc prościej, kiedy za pomocą stereotypów i skrótów myślowych tworzymy sobie skrzywiony obraz świata, zaczynamy interpretować działania innych zgodnie z własnymi oczekiwaniami. W ten sposób np. każda krytyka ze strony Niemiec czy każdy niemal gest Rosji zostają wpisane w historyczny ciąg geopolitycznego zła, a nasza odpowiedź, zgodna z tą interpretacją, wywoła reakcję jeszcze bliższą stereotypowym oczekiwaniom. Daleko nie szukając, wspomniany już Radosław Sikorski jako minister obrony w 2006 r. porównywał projekt pierwszego Nord Streamu do paktu Ribbentrop–Mołotow. Choć dziesięć lat później widzimy, że było to określenie mocno na wyrost, zadziałał tu mechanizm „politycznej neurozy” opisaney przez Mieroszewskiego: „Polacy wychowywani są od pokoleń w schemacie geopolitycznym rosyjsko-niemieckim. Nasz kraj leży pomiędzy Rosją a Niemcami – w konsekwencji wszelkie porozumienie pomiędzy tymi potężnymi sąsiadami wróży dla nas katastrofę”²⁷.

Powiedzmy sobie szczerze – nasz wpływ na politykę sąsiadów jest ograniczony. Wiara we własną moc sprawczą

²⁶ S. Guzzini, *op. cit.*, s. 272.

²⁷ J. Mieroszewski, „Polityczne neurozy”, Wydawnictwo, Warszawa 1984, s. 8.

jest tu ułudą i hipokryzją. Ostrze geopolitycznej krytyki musimy zatem kierować na własne, demokratyczne władze, parlamenty i media. Aby wyrwać się z tego zakłętego kręgu, trzy czwarte pracy musi być wykonane na lokalnym podwórku – a podtrzymywanie kontaktów i budowanie zaufania z Innymi to jedynie ostatnia ćwiartka.

ZDERZENIE CYWILIZACJI I POMYLENIE POJĘĆ – KULTUROWE OBLICZE POLSKIEJ GEOPOLITYKI

Już w 1967 r. Juliusz Mieroszewski napisał: „wykazujemy neurotyczny stosunek zarówno do Wschodu, jak i do Zachodu. Szeroko wśród Polaków rozpowszechniona nienawiść do Rosji jako symbolu Wschodu – uniemożliwia nam zrozumienie Zachodu. Jedną z zasadniczych cech człowieka Zachodu jest brak nienawiści do Wschodu. Naszych pisarzy i polityków gardzących Rosją i Wschodem – cechuje nieodmiennie całkowite niezrozumienie psychiki i polityki Zachodu. Nie może być inaczej, ponieważ nienawiść do Wschodu jest cechą... wschodnią”²⁸. Komentarz tyleż aktualny, co zaskakująco kulturowo-deterministyczny w swojej wymowie niech posłuży za wstęp do kilku uwag o kulturowym wymiarze Geopolityki w Polsce.

W Polsce kulturowe odmiany Geopolityki są nie mniej popularne niż te geograficzne, a powtarzana wciąż jak mantra teza Huntingtona o „zderzeniu cywilizacji” (refren wielu debat, także wśród liberałów), wspierana jest dodatkowo rodzimą konserwatywną tradycją Konecznego. Choć różnią się w szczegółach, obie grzeszą esencjonalizmem – traktowaniem wymyślonych kategorii

²⁸ *Ibidem*, s. 7.

kulturowych, jakby były one realnie istniejącymi i dającymi się jasno rozgraniczyć bytami. Antidotum na to zaraźliwe uproszczenie jest propozycja antropologa Rogera Brubakera, który udowadnia, że nawet w najbardziej etnicznie spolaryzowanych miejscach możliwe jest myślenie o „etniczności bez grup” – a tym bardziej bez „cywilizacji” i „kultur”²⁹. Brubaker twierdzi, że jesteśmy tradycyjnie przyzwyczajani do mówienia i myślenia o grupach jako „aktorach zbiorowych”, a o przemocy etnicznej (czy międzynarodowej) jako o zderzeniu dających się jasno oddzielić zbiorów. W rzeczywistości istnienia i działania tak rozumianych grup nie da się zaobserwować – nawet w tak rzekomo spolaryzowanych miejscach jak rumuński Siedmiogród, gdzie Brubaker wiele lat prowadził badania. Choć etniczność, narodowość czy rasa są społecznymi kategoriami o dużej mocy, jednostki identyfikują się z nimi w różnym stopniu i dopiero polityczna interpretacja mobilizuje takie kategorie dla wyraźnie instrumentalnych, politycznych celów. Podobnie jest z cywilizacjami – które są znacznie bardziej sztucznym i wydumanym konstruktem.

To jak głęboko zakorzenione są w naszej debacie publicznej schematy kulturowej Geopolityki, czy po prostu rasizmu, pokazał jednak dopiero przyływ „politycznego islamu” i fundamentalistycznego terroryzmu po 11 września 2001 r., a ostatnio – kryzys migracyjny i wojna w Syrii. Jeśli kulawa dyplomacja w naszych stosunkach z Rosją i Niemcami nieuchronnie prowadzi do samospełniających się przepowiedni geopolitycznych mędrców, to

²⁹ R. Brubaker, *„Ethnicity without Groups”*, Harvard University Press, Cambridge 2004.

teza o „zderzeniu cywilizacji” jest powielana na co dzień przez tysiące palących się do walki z „islamizacją Europy” internautów.

Polityka wschodnia Polski, zwłaszcza ta w wykonaniu Lecha Kaczyńskiego, była oskarżana o antyrosyjskość i trudno dziś osądzić, gdzie przebiegała granica między intencjami prezydenta a „szumem” całego obozu prawicowych publicystów, który mu kibicował i w którym zatwardziały rusofobów nie brakuje. W dominującym sposobie patrzenia na Rosję oba oblicza Geopolityki – geograficzne i kulturowe – zlały się w jedno. Geograficzne uwarunkowanie „Wschodniego Imperium” zmieszane zostało z kulturowym przeznaczeniem „Nowego Bizancjum”. Dlatego wielu sceptyków (lubiących nazywać siebie realistami) podważa możliwość zmian politycznych w Rosji. Demokracja liberalna ma być rzekomo mentalnie obca „rosyjskiej cywilizacji”. Polityka wschodnia oparta na tradycji jagiellońskiej i propagowana przez prawicowych publicystów nie jest, jak już powiedzieliśmy, tożsama z projektem ULB, a z dysydencką geopolityczną herezją ma jeszcze mniej wspólnego. Choć Kowal słusznie nazywa politykę Lecha Kaczyńskiego „romantyczną”, jego próba zawłaszczania myśli Mieroszewskiego i Giedroycia jest tu już pomyleniem pojęć. Mieroszewski wyraźnie wskazywał na równoprawność aspiracji wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej i szkodliwość utrzymywania obrazu wyższości polskiej kultury – czy to w formie otwarcie imperialnej, czy Polski jako *primus inter pares* w ukochanym jagiellońskim projekcie geopolitycznym prawicy – „Międzymorzu”. Myślenie „jagiellońskie” jest jednak nieodwracalnie tą megalomanią skażone. Gdy Andrzej Nowak mówi o Ukrainie i historycznej roli polskiej

kultury w regionie, Ukrainę doby pomarańczowej rewolucji nazywa „obszarem dawnej Rzeczypospolitej”³⁰. Jest to naturalna kontynuacja tradycji prometejskiej doby międzywojnia, według której (choć w oryginalnej koncepcji tak nie było) to Polska stawiała się niosącym cywilizacyjny ogień narodom Wschodu Prometeuszem, wypełniając „szczególną rolę na Wschodzie [i widząc] konieczność stworzenia sobie warunków, aby kierować w znacznym stopniu przebiegiem zjawisk”³¹.

Jednocześnie antyrosyjski charakter tej nowej polityki jagiellońskiej jest trudny do zignorowania. W ujęciu Żurawskiego vel Grajewskiego polska „tradycja geopolityczna” to przedmurze i granica cywilizacji, jak u Konecznego³². Łączy się to z (wynikającym z pochwały egoistycznej polityki) przeświadczeniem o wyższości własnej racji i własnej kultury – nie przypadkiem u Konecznego „cywilizacja łaćńska”, której czołowym reprezentantem ma być katolicka, endecka Polska, otoczona jest całą masą wymyślanych na poczekaniu cywilizacji poślednich, które zawsze są w jakiś sposób ułomne (np. „bizantyńska” [sic!] cywilizacja protestanckich Niemiec czy „turańska” cywilizacja azjatyckiej Rosji).

Choć wrogiem w tym projekcie jagiellońskim jest obca cywilizacyjnie i autorytarna Rosja, nie przeszkadzało to, jak podkreśla Paweł Kowal, „romantykowi” Kaczyńskiemu szukać wymierzonych w Rosję sojuszy z autorytarnymi

³⁰ A. Nowak, „Europa Wschodnia – polskie pytania o Europę i jej Wschód (po 10 kwietnia 2010 roku)” [w:] J. Kłoczowski, *op. cit.*, s. 21.

³¹ S. Mikulicz, „Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej”, Książka i Wiedza, Warszawa 1971, s. 70.

³² P. Żurawski vel Grajewski, *op. cit.*, s. 23.

reżimami Azerbejdżanu, Turkmenistanu i Kazachstanu³³. Ta kapitulacja z kluczowej dla dysydenckiej geopolityki zasady prymatu praw człowieka z punktu widzenia liberalnego obserwatora podważa cały konserwatywny neoprometeizm. Żurawski vel Grajewski widział wraz z odejściem rządu Jarosława Kaczyńskiego w 2007 r. „kres idei jagiellońskiej” i nastanie „epoki saskiej”, reprezentowanej przez dyplomację Radosława Sikorskiego³⁴. Niestety wizji tej „saskiej” polityki nie definiuje, a szkoda, bo biorąc pod uwagę głębię zaangażowania Sikorskiego w polityczne procesy na Ukrainie na początku 2014 r., przy równoczesnym wzroście znaczenia polskiego punktu widzenia w Zachodniej Europie, mogłaby to być interesująca (choć też nie pozbawiona wad) koncepcja.

W STRONĘ GEOPOLITYKI (KULTUROWO-) LIBERALNEJ

Jaka zatem powinna być owa alternatywna geopolityka liberalna? Podkreślmy raz jeszcze – tak samo jak Geopolityka (klasyczna) jest ona sposobem patrzenia i analizowania polityki międzynarodowej, a nie instrukcją obsługi państwa. Jej fundamentem jest nie konkretny program, ale pewna postawa. Cele niezależnej, krytycznej inteligencji mogą ulegać zmianie, ale jej rola jest niezmienna.

Musi być „krytyczna”, to znaczy przede wszystkim oparta na myśleniu poza schematami, i „wbrew”. Na kwestionowaniu i ciągłym zadawaniu niewygodnych pytań. Taka geopolityczna wyobraźnia byłaby w stanie podważać zastane prawdy i ortodoksje. Tylko w ten sposób możemy

³³ P. Kowal, *op. cit.*, s. 50.

³⁴ P. Żurawski vel Grajewski, „«Kres idei jagiellońskiej», czyli początek «epoki saskiej»” [w:] *idem, op. cit.*, s. 23.

wyrwać się z zaklętego kręgu samospełniającego się pro-
roctwa Geopolityki. Te prawdy, prawa i „naturalny”, a za-
tem niepodlegający dyskusji „stan rzeczy” mają korzenie
w narodowym dyskursie publicznym. Geopolityczna al-
ternatywa musi być budowana u podstaw, zmagając się
przy tym z wciąż solidnie zakorzenionym w Polsce mi-
litarno-martyrologicznym patriotyzmem, który wielkość
oddania społeczeństwu widzi w wojnie raczej niż w po-
koju. Rzucenie wyzwania temu militarystycznemu mitowi,
który w rozważaniach nad polityką międzynarodową
przyznaje pierwszeństwo logice wojennej i zatrzuwa wy-
obraźnię większości, wymaga przemiany na poziomie kul-
tury. Świadomość roli kultury w budowaniu nastawienia
społeczeństw do relacji międzynarodowych czyni ową
geopolityczną alternatywę „kulturową”. Przekraczająca
granice bloków militarnych koalicja niezależnych ruchów
społecznych z lat 80. także rozumiała, że dyplomacja jest
jedynie odbiciem wewnętrznej polityki, że „interesy na-
rodowe” nie istnieją obiektywnie, a jedynie są konstru-
owane w oparciu o kulturowe fundamenty. Jak pokazali
Kundera, Miłosz, Giedroyc – zmieniać interpretacje kul-
turowe, to zmieniać nastawienia polityczne. Krytyczna
postawa wiąże się również z umiejętnością przyglądania
się problemom nie tylko ze swojej własnej pozycji, ale
także oczyma Innego.

Dlatego też ważnym polem działania jest pamięć i dys-
kusja o historii Polski i regionu, a najważniejszym przeciw-
nikiem geopolityki liberalnej na polu kulturowym staje się
prawicowy program „polityki historycznej”, rozumianej
zgodnie z intencjami propagatorów tego pojęcia, takimi
jak Andrzej Nowak, Marek A. Cichocki czy Jan Żaryn, jako
instrumentalna i poddana interesom państwa ingerencja

w historiografię, mająca na celu zamknięcie krytycznej dyskusji nad przeszłością i zastąpienie jej silną, pozytywną, ale selektywną narracją. Polityka historyczna to nic innego, jak przełożenie Geopolityki na dyskusję historyczną, a także na popkulturę. Jak pisze w swoim podsumowaniu sporu o polską politykę historyczną Rafał Stobiecki, jej zwolennicy nie dostrzegają często sztuczności i instrumentalności swoich działań, traktując je jako wynikające z „naturalnego stanu rzeczy”³⁵. Krytyczna i kulturowo zorientowana geopolityka liberalna musi w zderzeniu z takim sztucznie „naturalizowanym” sposobem myślenia dążyć do ciągłego „otwierania przestrzeni opinii” (używając określenia Pierre’a Bourdieu) i podważania zastanych ortodoksyjnych stanowisk w poszukiwaniu prawdy, która niekoniecznie jest łatwa. Bez tej krytycznej kontry, polityka historyczna doprowadzić może historiografię do karykaturalnego stanu, słusznie wyśmianego przez Erica Hobsbawma, w którym „historycy są dla nacjonalizmu tym, czym hodowcy maku z Pakistanu dla heroinistów – dostarczają na rynek niezbędny surowiec”³⁶.

Dalej, alternatywna geopolityka musi być „zaangażowana”, czyli świadomie dążąca do pewnych politycznych celów. Ich podstawę wyznaczają koncepcje praw człowieka. Geopolityczna alternatywa jest właśnie dlatego

³⁵ R. Stobiecki, „Historians Facing Politics of History. The Case of Poland” [w:] M. Kopeček, „Past in the Making. Historical Revisionism in Central Europe after 1989”, CEU Press, Budapest 2008, s. 181.

³⁶ Choć sam Hobsbawm jako zadeklarowany marksista nie raz przęgał swoją historyczną analizę do ideologicznego wozu. Cyt. za: E. Hobsbawm, „Ethnicity and Nationalism in Europe Today” [w:] G. Balakrishnan (red.), „Mapping the Nation”, Verso, London 2012, s. 255.

„liberalna”. W tej części Europy rozumiemy naprawdę dobrze siłę idei praw człowieka oraz niekompletność życia w warunkach ograniczenia społecznej wolności. Trzeba przyznać większości wywodzących się z opozycji demokratycznej polityków środkowoeuropejskich, że przynajmniej na poziomie deklaracji, pozostają stale przywiązani do idei wynikających z tego doświadczenia. Do tego stopnia, że dziś wielu młodych, lewicowo zorientowanych zachodnich Europejczyków nie może znieść przemówień Angeli Merkel i Joachima Gaucka, a do dawnych dysydentów odnosi się z pewnym politowaniem. Ta odmiennność historycznych doświadczeń, a co za tym idzie odmiennosc zbiorowej pamięci i w jakimś sensie systemów wartości, nie powinna być jednak źródłem kompleksu, a przeciwnie – skarbem, z którego warto czerpać. Nawet jeśli przypominając o nierozzerwalności pokoju i wolności, dla niektórych uszu brzmi się jak zdarta płyta. W transformacyjnej rzeczywistości lat 90. zagubiły się budujące na dysydenckim doświadczeniu idee, takie jak nowodemokracja (*novodemokracie*) Jaroslava Šabaty, która miała czerpać z dwóch głównych nurtów dojrzałej europejskiej polityki: socjaldemokracji i chadecji, nałożonych na liberalną podstawę praw człowieka. Była zatem projektem „centrowego konsensusu”. Nawet czescy lewicowcy czerpią z tej myśli bardzo wybiórczo. Niestety spora część nowej europejskiej lewicy (po obu stronach dawnej żelaznej kurtyny) powieliła stary błąd „ekonomicznego redukcjonizmu”. W swoich programach i manifestach skupia się na krytyce kapitalizmu i demokracji parlamentarnej, traktując sprawy wolności i praw człowieka albo jako anachroniczne, albo drugoplanowe. Wzbierająca fala oddolnych ruchów demokratyzacji Europy – w typie hiszpańskiego

Podemos albo niedawno powołanego ruchu Democracy in Europe (DIEM25) – nie wychodzi poza postulaty demokratycznej partycypacji i nie sugeruje, że także „inna geopolityka jest możliwa”.

Oczywistą konsekwencją zaangażowanego charakteru tego alternatywnego podejścia do geopolityki jest postawa „idealistyczna”. Nie należy jej mylić z naiwnością, co podkreśla Timothy Snyder, opisując idealistyczny realizm Mieroszewskiego i jego ostateczną rację³⁷. Smutne i męczące wydają mi się typowe polskie debaty o polityce międzynarodowej, toczone tak w telewizji, jak i na wydziałach nauk politycznych. Smutne i przerażające wręcz, że wyrachowanie uchodzi w nich za mądrość, podstęp za inteligencję, a cynizm nazywany jest realizmem. Wszystko to zakotwiczone jest w „zdrowym rozsądku”. Ów klub makiawelistów aż prosi się o konfrontację z odrobiną intelektualnego chuligaństwa.

W powojennej Europie powstały dwa ruchy, które serio podważyły logikę świata wielkiej polityki. Byli to niemieccy Zieloni oraz środkowoeuropejscy antypolityczni dysydenci. Oba ruchy, choć nieraz bardzo odległe ideowo (pierwszy z dominantą lewicową, drugi – liberalną), były niemal bliźniacze w swej postawie. Mimo iż nie udało im się przewrócić zastanego porządku do góry nogami, sama podjęta przez nich próba pokazuje, że warto wносить idealizm na salony niczym błoto na butach i dawać się owemu idealizmowi rozpanoszyć. A nuż w końcu stanie się zaraźliwy, a nuż stanie się oczywisty. Albo niech przynajmniej będzie realną alternatywą. Dziś Zieloni na niemieckiej scenie są partią liberalną – i prawdopodobnie

³⁷ T. Snyder, *op. cit.*, s. 221.

najbardziej widocznymi kontynuatorami heretyckiej tradycji „oddolnych Helsinek”, o czym świadczy ich nieprzejednana postawa w sprawie inwazji Rosji na Ukrainę (i status *persona non grata* nadany z tego powodu przez Federację Rosyjską europosłance Zielonych Rebece Harms).

Nie chodzi tu o dawanie konkretnej recepty, ale o upromoczenie pewnej niezbędnej postawy. To co nazwałem geopolityką liberalną, charakteryzującą się krytycznością, politycznym zaangażowaniem i idealizmem, jest historycznie i filozoficznie zakorzenioną perspektywą, której bardzo brakuje w polskiej debacie na temat polityki zagranicznej. Oczywiście łatwiej tę postawę przyjmować niezależnym intelektualistom niż politykom i dyplomatom. Ale względna łatwość zewnętrznej krytyki bynajmniej jej nie dyskredytuje. Przeciwnie. Kto zdaje sobie sprawę, że polityka zagraniczna tworzona jest w oparciu o dostępne w debacie idee i dyskursy, rozumie, jak ważny jest ich pluralizm. Alternatywna, kulturowo-liberalna geopolityczna perspektywa to konieczność. Geopolityka jako fetysz, tak jak najczęściej jest dziś postrzegana w Polsce, wiedzie nas bowiem w ślepy zaułek.

KACPER SZULECKI

politolog i socjolog, adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo, członek redakcji „Kultury Liberalnej”. Współtworzy Environmental Studies and Policy Research Institute we Wrocławiu.

CZĘŚĆ I

PO KRYMIE. EUROPA, UKRAINA, ROSJA

ROBERT COOPER

Dwie drogi do bezpieczeństwa

Są dwa sposoby na zapewnienie bezpieczeństwa państwowego. Tradycyjnie zapewnia je siła i odpowiednie położenie geograficzne. Ale jest też inny sposób, w jaki państwa zapewniają sobie bezpieczeństwo – poprzez dobre relacje ze swoimi sąsiadami.

Niedawno obchodziliśmy 40. rocznicę porozumień helsińskich, które podpisano w 1975 r. Od tego momentu minęły już ponad cztery dekady – a wyobraźmy sobie, jak wyglądał świat 40 lat przed Helsinkami, w 1935 r. Oczywiście świat w latach 1935–1975 był zupełnie inny od tego, w którym żyjemy obecnie. I pomimo rozmaitych kryzysów, którym musimy dziś stawiać czoła, myślę, że żyjemy dziś na lepszym świecie, mimo że świat z 1975 r. był zdecydowanie lepszy od tego z 1935. Kiedy pojawiają się problemy, przebieg zdarzeń bywa zazwyczaj bardzo dramatyczny, a kiedy wszystko idzie ku lepszemu, sytuacja rozwija się powoli – ludzie rozwiązują poszczególne problemy krok po kroku.

Gdy myślę o 1935 r., w głowie pojawia się obraz wojny domowej w Hiszpanii i cytat z książki „W hołdzie

Katalonii” George’a Orwella, w której opisuje on swoje wojenne doświadczenia. Pod koniec pisze o swoim powrocie do domu:

„A później Anglia – południowa Anglia, chyba najbardziej wypielęgowany zakątek świata. [...] trudno uwierzyć, że gdzieś coś się dzieje. Trzęsienie ziemi w Japonii, głód w Chinach, rewolucja w Meksyku? Nie martw się, butelka mleka będzie stała jutro rano na progu, «New Statesman» wyjdzie w piątek. [...] Anglia spała głębokim snem. Czasami ogarnia mnie lęk, że nie ockniemy się z tego snu, że wyrwie nas z niego dopiero huk bomb”.

Być może nie jesteśmy dziś w aż tak złej sytuacji, ale muszę przyznać, że już dawno nie byłem tak bardzo zaniepokojony tym, co się dzieje na świecie. Sytuacja wydaje się o wiele bardziej nieprzewidywalna niż do tej pory – i mam tu na myśli przede wszystkim kwestie bezpieczeństwa europejskiego. Ten problem ponownie przywołuje na myśl Helsinki i fundamentalne kwestie dotyczące bezpieczeństwa.

Są dwa sposoby na zapewnienie bezpieczeństwa państwowego. Tradycyjnie zapewnia je siła i odpowiednie położenie geograficzne, kiedy to dysponuje się potężną armią i granicami, które łatwo obronić ze strategicznego punktu widzenia, gdy najbliższe nam terytoria są czymś w rodzaju „kordonu sanitarnego”. Przez stulecia takie właśnie było podejście Rosji do kwestii bezpieczeństwa i w pewnym sensie jest to oczywiste, ponieważ w swojej historii Rosja była kilkakrotnie najeżdżana i można zrozumieć, że Rosjanie na swojej ogromnej równinie chcą bronić się właśnie w tą metodą, wykorzystując swoich sąsiadów jako tarczę. Ale to nie jest jedyny sposób na osiągnięcie bezpieczeństwa.

Inny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa państwu nie opiera się na sile, lecz na dobrych relacjach politycznych ze swoimi sąsiadami. Wielka Brytania graniczy z krajem, z którym prowadziliśmy wojny przez około 1000 lat. Jeszcze w XIX w. na naszych monetach był wybijany napis, że nasi królowie są również królami Francji, gdyż rościliśmy sobie pretensje terytorialne do tego kraju. Francja jest państwem posiadającym broń jądrową, przez większość swoich dziejów miała dużo większą armię niż my i przynajmniej teoretycznie jest w stanie nas po prostu zniszczyć. Ale nikt w Londynie nie zaprzęta sobie głowy takim scenariuszem. To jest właśnie bezpieczeństwo osiągnięte dzięki dobrym politycznym relacjom.

Takiego bezpieczeństwa nie osiąga się przypadkiem i nie osiąga się go poprzez jednostronne działania. Takie bezpieczeństwo rozwija się kilkoma równoległymi drogami. Jedną z nich jest sojusz w ramach NATO, inną – praktyka współpracy. Porozumienia helsińskie powołały do życia Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Moim zdaniem bezpieczeństwo i współpraca są od siebie współzależne. Nie współpracujesz z kimś dlatego, że jesteś jego przyjacielem. Stajesz się czyimś przyjacielem, ponieważ z nim współpracujesz.

Być może te dwa sposoby na zapewnienie bezpieczeństwa odpowiadają różnicy pomiędzy interesami a wartościami. Może ten pierwszy typ bezpieczeństwa jest oparty na interesach, a drugi – na wspólnych wartościach, które wyrastają ze współpracy? Nie jestem pewien, czy to jest najlepszy sposób na wyjaśnienie tego problemu, ale jestem głęboko przekonany, że najbardziej stabilne bezpieczeństwo wynika z dobrych relacji politycznych między państwami, a dobre relacje polityczne wynikają z aktywnej

współpracy. Ale zanim osiągnie się ten stan, mamy do czynienia nie tyle z wspólnotą wartości, co ze wspólnotą interesów. Porozumienia helsińskie były oparte na wspólnym interesie, którym było uniknięcie III wojny światowej. Dziś ta groźba znów realnie zagląda nam w oczy.

Akt końcowy porozumień helsińskich został podpisany w 1975 r. Wcześniej doświadczyliśmy kilku ważnych kryzysów, takich jak kryzys kubański czy berliński. Myślę, że to wystraszyło opinię publiczną i pomimo tego, że USA i ZSRR nie miały ze sobą wiele wspólnego, to tym, co je łączyło, był strach przed wojną jądrową. Z tego wspólnego interesu wynikła właśnie idea wspólnego bezpieczeństwa. Kluczem do traktatu jest dziesięć zasad helsińskich, ale tak naprawdę cały dokument został oparty na jednej fundamentalnej regule – nienaruszalności terytorium państwowego. W zasadzie było to więc porozumienie terytorialne, z punktu widzenia Polski może i nie najlepsze, ale przynajmniej zapewniało stabilność. Dlatego właśnie sytuacja Krymu oraz niejawna inwazja Rosji na Ukrainę są najpoważniejszym od dłuższego czasu złamaniem zasad bezpieczeństwa – być może nawet od 1945 r.

Fundamentalną zasadą bezpieczeństwa i stabilności systemu międzynarodowego jest zasada integralności terytorialnej, nienaruszalności terytorium innych narodów. Jest ona źródłem wszystkich innych zasad. Bezpieczeństwo jest ugruntowane w prawie, a prawo chroni terytorium. Dlatego właśnie to, co wydarzyło się na Ukrainie, ma tak ogromne znaczenie. Nie powiedziałem, jaka powinna być odpowiedź na ten kryzys i nie mam takiej odpowiedzi, ale wiem, że to, co się stało, jest radykalnym zerwaniem z przeszłością, przez co dziś znajdujemy się w zupełnie nowej sytuacji. Mamy problem i nie możemy

czuć się bezpiecznie, póki go nie rozwiążemy, ale na razie jest nam do tego jeszcze bardzo daleko.

Tłum. Hubert Czyżewski

ROBERT COOPER

brytyjski dyplomata, ekspert i publicysta w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Podczas swojej wieloletniej kariery dyplomatycznej w rządzie Wielkiej Brytanii pracował m.in. w ambasadach w Tokio i Bonn, był także doradcą Tony'ego Blaira. Od 2002 r. pracował w strukturach Unii Europejskiej, najpierw w zespole Javiera Solany, potem jako specjalny doradca Catherine Ashton. Członek European Council for Foreign Relations.

ŁUKASZ JASINA

Ukraina – początek końca światowego ładu?

Kryzys polityczno-militarny na Ukrainie trwa już blisko dwa lata. I nic nie zapowiada jego rychłego końca.

Najbardziej optymistycznym scenariuszem, jaki przychodzi do głowy światowym analitykom, jest zamrożenie konfliktu, które miałyby polegać na powracających co jakiś czas starciach i utrzymaniu się w regionie stanu zawieszenia w stosunkach międzynarodowych. Oczywiście analitycy mogą nie przewidzieć trafnie dalszego rozwoju zdarzeń – tak jak nie przewidzieli i samego kryzysu.

Mimo że nie potrafimy przepowiedzieć przyszłości, wiemy, że wypadki na Ukrainie mają wpływ na to, co zdarzy się w Europie za kilka miesięcy, za rok czy za kilka lat. Jesteśmy także w stanie ocenić, jak kryzys ukraiński wpłynął na stan ducha Europy w roku 2015.

NAJWIĘKSZY KRYZYS W EUROPIE?

Rewolucja na Ukrainie, zabór Krymu i wojna w Donbasie – czy to są największe wyzwania dla europejskiego i geopolitycznego ładu? Możliwe, że jeszcze rok temu by je za takowe uznano, ale teraz na dalszy plan spycha je

działalność tzw. Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie, związane z nią zagrożenia i popełniane tam zbrodnie. Słabnie także Unia Europejska, a rzekomo dominująca w niej wartości okazują się coraz większą iluzją. Bez względu na to, czy nasz europejski świat się zawali, widzimy coraz wyraźniej, że już teraz musimy go zdefiniować na nowo. Niestety tego wciąż nie dostrzega wielu europejskich polityków. A Ukraina zupełnie schowała się za horyzont.

Tymczasem to właśnie ten kryzys, a nie wewnętrzne problemy Unii czy najazd uchodźców na europejskie brzegi, po raz pierwszy tak wyraźnie ukazał słabość Unii.

Za sprawą ukraińskiego kryzysu padł pierwszy z mitów – możliwości stworzenia wspólnej europejskiej polityki zagranicznej prowadzonej w imię europejskiej solidarności. Unia działała albo ze zbyt wielkim opóźnieniem (czego przykładem były nakładane długo po fakcie sankcje), albo też cedowała odpowiedzialność na poszczególne państwa. Czym innym są bowiem formaty genewski czy normandzki, jak nie powrotem do klasycznego paradygmatu relacji międzynarodowych, czyli „koncertu mocarstw”? Unia Europejska miała być jego zaprzeczeniem. Rok 2014 pokazał, że nie jest.

Wiele państw geograficznie oddalonych od areny konfliktu w Donbasie wykazało brak zainteresowania i zrozumienia dla problemów krajów takich jak Polska i Rosja. To wtedy upadła wewnętrzna solidarność. Bez względu na niesłuszność ówczesnych działań, tamta postawa daje obecnie polityczny pretekst tym, których nie dotyka bezpośrednio inny wielki unijny kryzys – ten związany z uchodźcami. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie, że narodowe egoizmy biorą dziś górę nad

poczuciem wspólnoty. Strach pomyśleć, co się stanie, gdy w Unii pojawią się kolejne symptomy kryzysu – zwłaszcza za kilka lat, po wyczerpaniu się funduszy strukturalnych.

UKRAINA Z PUNKTU WIDZENIA UKRAIŃCÓW

Oczywiście ostatnie dwa lata nie są całkowitą klęską Ukrainy. Mimo przelanej krwi i śmierci wielu ludzi, kraj odniósł pewne sukcesy. Zmieniły się ukraińskie społeczeństwo i media, wzrosła rozpoznawalność Ukrainy oraz Ukraińców w Europie. Podjęto kilka reformatorskich inicjatyw, jednak większość zmieniających kraj starań została zawieszona z uwagi na wojenne działania.

Ukraina we wrześniu 2015 r. to pokaleczony kraj, zaangażowany w działania wojenne w jego wschodniej części. Mimo żyrowanych przez Niemcy i Francję (bez udziału innych krajów Unii) porozumień zawartych w Mińsku, pokój w Donbasie jest fikcją. Co więcej, w stolicy Białorusi dwa najważniejsze kraje Unii Europejskiej wyraziły zgodę na faktyczne oddzielenie tego terytorium od Ukrainy. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie dotrzywały z kolei zobowiązań podjętych wobec Ukrainy w Budapeszcie w roku 1994. Uznanie zaboru Krymu *de facto* także już nastąpiło.

Perspektywa europejska jest dla Ukrainy odległa, a atlantycka praktycznie nie istnieje. Nie wiadomo, czy w tej drugiej sprawie szczyt NATO w Warszawie przyniesie jakikolwiek przełom. Biorąc jednak pod uwagę sprzeciw Niemiec wobec umieszczenia baz NATO w Polsce, założyć można z całą pewnością, że dalsze rozszerzenie Paktu także nie uzyska tam poparcia.

Przyszłość polityczna Ukrainy nie rysuje się więc w jasnych barwach. Podobnie jest zresztą i z kwestiami

ekonomicznymi. Zbyt powolne postępy reform ekonomicznych, obniżenie poziomu życia czy brak perspektyw poprawy każą zastanowić się nad możliwością kolejnego społecznego wybuchu. Demokratycznie wybrany parlament przypomina polski sejm z początku lat 90. XX w. – tyle tylko, że Polska nie miała wojny na granicy i otrzymywała spore wsparcie z Zachodu.

Upadek „projektu demokratycznej Ukrainy”, który może rychło nastąpić, okaże się kolejną kompromitacją Unii Europejskiej. Co gorsza, nic nie wskazuje na to, że uda się nam przed tym obronić.

ŁUKASZ JASINA

historyk i publicysta, szef działu wschodniego „Kultury Liberalnej”, pracownik Muzeum Historii Polski.

Z RICHARDEM PIPESEM ROZMAWIAJĄ
JAROSŁAW KUISZ I ŁUKASZ PAWŁOWSKI

Ukraina jest jak Meksyk

O rosyjskim zaangażowaniu w wojny na Ukrainie i w Syrii oraz zachodniej polityce wobec Rosji mówi amerykański historyk i były doradca prezydenta Ronalda Reagana.

Jarosław Kuisz: Podczas uroczystej sesji 70. Zgromadzenia Ogólnego ONZ, pomiędzy przemówieniami Baracka Obamy i Władimira Putina, głos zabrał Prezydent RP, Andrzej Duda. Nasze mass media poświęciły jego wystąpieniu nadzwyczajnie dużo uwagi. Czy jednak, patrząc z pańskiej perspektywy, można powiedzieć, że Polska może w ten sposób skutecznie działać w polityce zagranicznej?

Richard Pipes: Wątpię, by Polska mogła wywierać znaczący wpływ.

Jarosław Kuisz: To co pan mówi, może być dla niejednego dziennikarza w Polsce szokiem.

Konflikt toczy się pomiędzy wielkimi potęgami, przede wszystkim Stanami Zjednoczonymi i Rosją, a w pewnym stopniu także Europą jako całością. Pojedyncze europejskie państwa nie mogą jednak wiele zdziałać.

Jarosław Kuisz: Czy to znaczy, że możemy jedynie stać z boku? Przyglądać się, jak mocarstwa rozgrywają swoją partię szachów?

Polska powinna głośno ogłaszać swoje stanowisko, by w ten sposób kształtować opinię publiczną. Nie wierzę jednak, byście mogli wywrzeć bezpośredni nacisk na rosyjską i amerykańską politykę zagraniczną.

Łukasz Pawłowski: Czy wmieszanie się Rosji w syryjską wojnę jest korzystne dla państw Europy Środkowej, ponieważ odciąga uwagę Moskwy od Ukrainy, czy wręcz przeciwnie?

Nie jest korzystne dla nikogo. Rosjanie wspierają tyra-
na kontrolującego tylko niewielki obszar kraju. Baszara al-Assada należy usunąć, a Syria powinna stać się państwem demokratycznym.

Łukasz Pawłowski: A jeśli chodzi o Rosję? Niektórzy twierdzą, że decyzja Putina to było mistrzowskie zagranie, dzięki któremu przebojem wrócił na scenę globalną. Inni uważają, że to ogromne ryzyko, bo Rosja może wplątać się w kolejną kosztowną wojnę, której wygrać nie sposób.

Rosyjska opinia publiczna z zadowoleniem przyjmuje zaangażowanie się kraju w politykę międzynarodową. Rosjanie chcą, by ich państwo to była „wielika dierżawa” – wielka potęga, choć dla samego kraju nie jest to korzystne. Rosja nie jest wielką potęgą, boryka się z ogromnymi problemami wewnętrznymi, przede wszystkim natury gospodarczej. Powinna więc skupić się na polityce wewnętrznej, nie międzynarodowej. Rosyjska gospodarka jest w koszmarnej formie – głównie z powodu spadku

cen ropy naftowej oraz kursu rubla – i w niedalekiej przyszłości może się załamać.

Łukasz Pawłowski: Jak pana zdaniem rozumuje Putin? Na co liczy, angażując się w konflikt syryjski?

Chce ocalić swego sojusznika Assada, a dzięki temu stać się ponownie ważnym graczem w światowej polityce. Nie tego jednak potrzebuje Rosja.

Jarosław Kuisz: Czego zatem Rosja potrzebuje?

Gruntownych reform politycznych, zarówno gospodarczych, jak i politycznych, które doprowadziłyby do osłabienia władzy prezydenckiej, do decentralizacji i demokratyzacji.

Łukasz Pawłowski: Lecz gdybyśmy zapytali Rosjan o potrzebę takich reform, odpowiedzieliby, że już raz eksperymentowali z liberalną demokracją podczas prezydentury Borysa Jelcyna w latach 90. ubiegłego stulecia i miało to katastrofalne skutki. Wspominają ten okres jako czas upokorzenia na arenie międzynarodowej i całkowitego chaosu wewnątrz kraju. Dlatego stawiają na silne i stabilne przywództwo – nawet jeśli nie jest ono demokratyczne.

Racja. Tragedia Rosji polega na tym, że jej obywatele nie są ani wykształceni politycznie, ani zainteresowani polityką. Jeśli tak pozostanie, nie wróżę Rosji świetlanej przyszłości. Rosjanie pragną silnych przywódców, którzy robią to, co uważają za dobre dla państwa, nie zważając na opinię publiczną i procedury prawne. Zajmują się już Rosją 70 lat i wciąż mnie to boli. Chciałbym, by Rosja rozwinęła się na wzór Europy Wschodniej – przekształciła

w rządzoną zgodnie z prawem demokrację. Ale w Rosji nie ma takiej tradycji.

Łukasz Pawłowski: Jaki jest w obecnej sytuacji najlepszy, możliwy do zrealizowania scenariusz dla Rosji? Wybór prezydenta rozumiejącego, że Rosja potrzebuje kultury politycznej, której teraz nie ma. W tym celu w ciągu najbliższych 20–30 lat państwo musi wykształcić instytucje demokratyczne.

Jarosław Kuisz: Czy mógłby pan wskazać na dzisiejszej rosyjskiej scenie politycznej człowieka, który mógłby być następcą dysydentów na miarę Andrieja Sacharowa czy Andrieja Amalrika?

W Rosji działają dysydenci, nie znam jednak nikogo, kto w najbliższej przyszłości byłby w stanie zrealizować tak wielki cel, jak wspomniane postacie. Niestety większość Rosjan nie interesuje się polityką i bez żalu zrzeka się władzy na rzecz innych.

Łukasz Pawłowski: Jak ocenia pan amerykańską politykę względem Rosji w ciągu ostatnich sześciu lat, odkąd prezydentem jest Barack Obama? Jego przemówienie w siedzibie ONZ było niezwykle bojowe i ewidentnie skierowane przeciwko Putinowi. Czy oznacza ono zmianę w stosunkach amerykańsko-rosyjskich? Jeśli tak, jaka będzie to zmiana?

Zmiany zaczęły się już po aneksji Krymu i interwencji na wschodniej Ukrainie. Moim zdaniem nałożenie sankcji było słuszną decyzją. Ostatecznie mogą one zmusić Rosję do zmiany sposobu działania.

Łukasz Pawłowski: Jednak w roku 2011 w wywiadzie dla „The Wall Street Journal” pozytywnie wypowiadał się pan o polityce resetu ogłoszonej przez administrację Obamy na początku jego prezydentury.

Wtedy było to dobre posunięcie. Niestety wydarzenia potoczyły się inaczej niż zakładano. Od 2011 r. Rosja zachowuje się agresywnie względem byłych republik radzieckich i na Bliskim Wschodzie. Zmiana polityki była więc konieczna.

Łukasz Pawłowski: Jaką, pana zdaniem, rolę odgrywa NATO w konfliktach na Ukrainie i w Syrii? Przez wiele lat krytykował pan polskie starania o przyjęcie do Sojuszu, a w pewnym momencie stwierdził pan, że w ogóle należałoby go rozwiązać.

Nigdy nie opowiadałem się za rozwiązaniem NATO. Gdzie pan znalazł taką wypowiedź?

Łukasz Pawłowski: We wspomnianej rozmowie z 2011 r. powiedział pan, że „NATO powstało w odpowiedzi na zagrożenie ze strony Rosji. Zagrożenie ze strony Rosji nie istnieje, a zatem sądzę, że nadszedł czas, by zastanowić się nad jego rozwiązaniem”.

Jeśli tak powiedziałem, to żałuję, bo NATO jest potrzebne.

Łukasz Pawłowski: Jakie działania powinno podjąć w Syrii i na Ukrainie?

Na Ukrainie niewiele może zrobić, ale polityka sankcji oraz krytyka rosyjskich działań jest uzasadniona. W Syrii Rosja po prostu poniesie porażkę, ponieważ reżim Assada już się wali, a wspierając go, Moskwa popełnia błąd.

Jarosław Kuisz: Czy myśli pan, że w dłuższej perspektywie Ukraina może w ogóle pozostać niepodległym państwem?

Tak sądzę, ale radziłbym Ukraińcom, by nawet nie marzyli o wstępowaniu do NATO czy innych struktur europejskich. W kontaktach z Moskwą trzeba brać pod uwagę rosyjską mentalność. A dla Rosjan Ukraina to miejsce narodzin ich państwowości. A zatem choć Ukraina powinna być niepodległa, jednocześnie nie powinna w otwarty sposób dążyć do połączenia z Zachodem.

Jarosław Kuisz: Ale to brzmi zaskakująco, tak jakby Ukraina mogła stać się rodzajem Szwajcarii, tylko łączącej między dzisiejszym Wschodem a Zachodem... Nie, to jest niemożliwe. Z Rosją łączy ją zbyt silne więzy historyczne i terytorialne.

Jarosław Kuisz: A zatem w pełni niezależna być nie może.

Może być niezależna, ale jej relacje z Rosją można porównać do relacji pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Gdyby w latach 60., 70. czy 80. Meksyk stał się częścią bloku sowieckiego, nie zgodzilibyśmy się na to ze względu na jego położenie blisko amerykańskich granic. Ukraina jest w analogicznej sytuacji – dlatego musi postępować ostrożnie, by nie antagonizować Rosji.

Jarosław Kuisz: Czy nie lepiej byłoby zatem porównywać obecną sytuację na Ukrainie z kryzysem kubańskim z 1962 r.?

W pewnym sensie tak. Nie pozwolilibyśmy, by na Kubie, która przecież leży tuż obok Stanów Zjednoczonych,

umieszczono radzieckie pociski – to oznaczałoby wojnę. Rosja zachowałaby się podobnie, gdyby chodziło o Ukrainę.

Łukasz Pawłowski: Z tego samego powodu był pan przeciwny wstępowaniu Polski do NATO – uważał pan, że to może rozsierdzić Rosję. Czy obecnie zmienił pan zdanie?

Obawiałem się, że Rosja będzie zachowywać się wobec Polski bardzo agresywnie, ale teraz to już historia – Polska jest członkiem NATO i koniec. Rosja nie może w tej kwestii nic zrobić.

Łukasz Pawłowski: Czy Ukraina nie może pójść tą samą drogą?

To znaczy wstąpić do NATO?

Łukasz Pawłowski: Tak.

Wykluczone – jeśli Ukraina spróbowałaby wstąpić do NATO, Rosjanie dokonaliby inwazji. Sądzę, że Rosja nie miałaby nic przeciwko bliskim związkom gospodarczym Ukrainy z Zachodem. Ale na pewno nie zgodzi się na żadną formę współpracy politycznej, a tym bardziej wojskowej.

Łukasz Pawłowski: Pytanie więc, co obecnie powinien zrobić rząd w Kijowie – pozwolić separatystom na utrzymanie kontroli nad wschodnią częścią kraju, czy też podjąć starania w celu odbicia tych terenów? Powinien walczyć o ich odzyskanie. Nie można tolerować tego, że Moskwa próbuje oddzielić fragment innego kraju, aby włączyć go do Rosji.

Łukasz Pawłowski: Wiemy jednak, że prezydent Obama sprzeciwia się dostarczaniu Ukrainie broni. Uważa pan, że ma rację?

Nie, w tej kwestii się myli. Powinien dostarczyć wsparcia militarnego. Ukraińcy potrzebują go, by odzyskać stracone tereny.

RICHARD PIPES

historyk i sowietolog, emerytowany profesor historii na Uniwersytecie Harvarda. W latach 1981–82, za czasów prezydentury Ronalda Reagana, był członkiem amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie sprawował funkcję Dyrektora ds. Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej.

JAROSŁAW KUISZ

historyk państwa i prawa, analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”. Adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego i chercheur associé étranger w Institut d'histoire du temps present w Paryżu.

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

sekretarz redakcji i publicysta „Kultury Liberalnej”, z wykształcenia socjolog i psycholog, doktor socjologii.

Z ADAMEM GARFINKLEM
ROZMAWIA JAROSŁAW KUISZ

Sterty gruzu wokół Rosji

„Celem Putina jest obrócenie krajów sąsiadujących z Rosją w sterty gruzu, czyli państwa upadłe, nieatrakcyjne dla zachodnich inwestycji – tak gospodarczych, jak i politycznych”, przekonuje amerykański dziennikarz.

Jarosław Kuisz: Prezydent Władimir Putin lubi powtarzać, że rosyjska interwencja na Krymie, a następnie działania wojenne we wschodniej Ukrainie to „tylko” odpowiedź na wcześniejsze prowokacje Zachodu. „The American Interest” zastanawiał się nawet nad tym, czy sprowokowaliśmy Rosję i czy nie powinniśmy przypadkiem bić się w piersi za naszą polityczną krótkowzroczność. Jakie jest pana zdanie?

Zachód z pewnością popełnił błędy, które przyczyniły się do pogorszenia sytuacji na Ukrainie, ale o prowokowaniu Rosjan nie ma mowy. Konflikt w tym kraju został wykreowany przede wszystkim przez Moskwę. Rosjanie twierdzą oczywiście, że jedynie się bronią, ale to samo mówili wszyscy przestępcy w historii. To Rosja pogwałciła memorandum budapesztańskie gwarantujące integralność terytorialną Ukrainy, międzynarodowe normy i prawa...

W jaki sposób, z perspektywy Waszyngtonu, odczytuje się rosyjskie zamiary?

Celem Putina jest obrócenie krajów sąsiadujących z Rosją w sterty gruzu, czyli w państwa upadłe, zupełnie nieatrakcyjne dla zachodnich inwestycji – tak gospodarczych, jak i politycznych. W ten sposób Rosja chce powstrzymać rozprzestrzenianie się liberalnych idei płynących z Zachodu. W końcu sprawnie działająca liberalna demokracja na Ukrainie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Putin. I tu warto podkreślić, że z pewnością postępowanie Unii Europejskiej, która postawiła rząd ukraiński przed koniecznością dokonania wyboru: Zachód czy Rosja – było błędem. Ale dla reżimu w Moskwie zagrożeniem jest już sama popularność idei liberalnych.

Nie brakuje śmiałych interpretacji wydarzeń na Ukrainie. Autorem jednej z najciekawszych jest historyk prof. Timothy Snyder, który twierdzi, że dziś kryzys na Ukrainie należy wiązać z materialnym wspieraniem przez Putina popularności radykalnie lewicowych i prawicowych partii europejskich – choćby Frontu Narodowego we Francji. Czy pana zdaniem Moskwa ma rzeczywście długofalowy plan wykorzystania tego rodzaju ugrupowań do psucia europejskich demokracji od środka? I destabilizowania jedności Europy?

Rosjanie od dawna wykorzystują każdą okazję, by osłabić najmłodsze państwa członkowskie NATO i poróżnić ze sobą kraje wschodniej i zachodniej części Sojuszu. Tak samo postępowali w czasach radzieckich, odnosząc od czasu do czasu sukcesy – i to samo w gruncie rzeczy robią dziś. Jednak Rosja jako państwo znacznie słabsze od ZSRR nie może sobie pozwolić na otwarty konflikt z NATO, dlatego

próbuję podważyć zachodnie instytucje i jedność Zachodu w inny sposób. Niekiedy to się udaje.

Przyznaje pan więc, że ambicje rosyjskiej polityki zagranicznej wykraczają daleko poza podporządkowanie sobie państw sąsiednich i obrócenie ich w „sterty gruzu”. Cele Putina w polityce zagranicznej można sobie wyobrazić jako trzy koncentryczne okręgi. Pierwszy, najbardziej zachowawczy z nich, to niedopuszczenie do trwania prozachodniego rządu w Kijowie – takiego, który miałby bliskie, dobre relacje z Unią Europejską i NATO. Drugi okrąg to doprowadzenie do podziału między starymi a nowymi członkami NATO, a także między europejskimi członkami NATO a USA. Rosyjski prezydent może chcieć w ten sposób pokazać, że amerykańska siła jest ograniczona. Trzeci krąg, najbardziej ambitny cel, to zagrożenie integralności terytorialnej któregoś z członków NATO. Wiele osób uważa, że mógłby to być jeden z krajów bałtyckich, jak Litwa czy Łotwa. W ten sposób Rosja mogłaby sprawdzić reakcję NATO w chwili poważnej próby. Brak zdecydowanych działań w obronie państwa członkowskiego oznaczałby kompromitację i koniec Sojuszu, czyli organizacji postrzeganej jako główny wróg niegdyś ZSRR, a dziś Rosji.

Czy Putinowi uda się zrealizować te cele?

Na razie jesteśmy na pierwszym etapie. Nie ma wielu sukcesów na drugim poziomie – i jest daleko od poziomu trzeciego.

Czy Stany Zjednoczone odegrają w kryzysie ukraińskim większą rolę? Na razie tylko Francja i Niemcy siedzą przy stole z Rosją.

Proces miński to dowód na przekazanie amerykańskiego przywództwa Niemcom. Co ciekawe, Berlinowi się to nie podoba, ponieważ w istocie nie ma takiej siły, by z powodzeniem przeciwstawić się Rosji. W tym też Putin upatruje swojej szansy na wbicie klina między członków NATO.

Ale pamiętamy jeden moment, w którym już po upadku komunizmu amerykańskie przywództwo zostało *de facto* przekazane na moment krajom Unii Europejskiej, podczas wojny w byłej Jugosławii. To był koszmar. Państwa Europy Zachodniej nie były w stanie wówczas ani zapobiec eskalacji konfliktu, ani zapewnić pomocy humanitarnej – krótko mówiąc, politycznie skompromitowały się i to tuż przy swoich granicach. Aż wkroczyli Amerykanie...

Zgadza się. Europejczycy chcą amerykańskiego przywództwa tylko wtedy, kiedy wybucha poważny kryzys, w przeciwnym wypadku twierdzą, że Ameryka ich tyranizuje.

A skoro mamy kryzys, to obecnie przynajmniej część państw europejskich znów chyba oczekiwałaby większego zainteresowania Amerykanów. Przynajmniej naszym regionem.

W tej chwili administracja Obamy, co przyznają sami jej urzędnicy, woli jednak przewodzić z tylnego siedzenia, zamiast zmuszać sojuszników do przyjęcia narzucanych przez Stany Zjednoczone rozwiązań. W Europie Wschodniej znajduje się 6 baz wojskowych, a w każdej z nich kilkudziesięciu żołnierzy. Administracja amerykańska postrzega to jako sukces, ale każdy, kto weźmie pod uwagę skalę ewentualnego zagrożenia ze strony Rosji, zdaje sobie sprawę, że to odpowiedź militarna, która... nie jest

nawet bliska temu, czego należałoby rozsądnie oczekiwać. Podobnie jest z sankcjami. Co nie zmienia faktu, że są one dość skuteczne, co dowodzi tylko, jak słaba jest rosyjska gospodarka. Administracja Obamy nie ma jednak zamiaru ciągnąć za sobą europejskich sojuszników i wyrywać się przed szereg. Faktycznie przypomina to nieco działanie administracji Billa Clintona w czasie pierwszych kilku miesięcy wojny w Jugosławii.

Czy polityka Waszyngtonu może zmienić się w najbliższym czasie?

Naprawdę trudno to przewidzieć, tym bardziej że już w tym roku odbędą się w Stanach wybory prezydenckie. Barack Obama kieruje się w swoich działaniach przekonaniem, że jeśli Stany Zjednoczone wycofają się z niektórych obszarów swojego zaangażowania, wówczas inne państwa – postawione przed faktem dokonany – wezmą na siebie ich obowiązki. Dzięki temu polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych stanie się mniej kosztowna i bezpieczniejsza, a na dłuższą metę równie efektywna.

Czy ta strategia się sprawdza?

Jak do tej pory nie, ponieważ zamiast krajów sojuszniczych lub przynajmniej neutralnych, pustkę po Stanach Zjednoczonych wypełniają potęgi „rewizjonistyczne”, jak Rosja, Chiny czy Iran. Taki stan rzeczy budzi strach wśród sojuszników, którzy nie mają wrażenia uporządkowanej wymiany obowiązków, ale chaosu i ładu wymakającego się spod kontroli. Mam wrażenie, że administracja prezydenta odczytuje te sygnały i czasem stara się na nie reagować – ostatnim przejawem takiej reakcji była decyzja o wysłaniu do Europy samolotów F-22. To znak, że

sprawy poszły nieco za daleko i Stany Zjednoczone muszą zrobić coś, by odzyskać reputację mocarstwa zdolnego do prawidłowej oceny sytuacji.

W przeciwnym razie relacje Europy z Waszyngtonem jeszcze bardziej się ochłódzą.

Mocarstwa zajmują się przede wszystkim ochroną innych państw, co przypomina nieco relacje przedsiębiorców z... mafią. Gdy nie jesteśmy w stanie tej ochrony zapewnić, słabsze państwa mają trzy wyjścia: po pierwsze, mogą szukać ochrony gdzie indziej – choć niektóre kraje, jak Polska czy Japonia, nie mają żadnej innej opcji, Stany Zjednoczone są dla nich jedynym gwarantem bezpieczeństwa; po drugie, zagrożony kraj może zgodzić się na spełnienie warunków agresora; wreszcie po trzecie, zastraszone kraje mogą podjąć wspólnie współpracę i w ten sposób stawić czoła zagrożeniu. Niektóre formy takiej współpracy są jak najbardziej dopuszczalne, inne mogą okazać się bardzo niebezpieczne.

Z naszej rozmowy wynika raczej, że Stany Zjednoczone nie zaangażują się bardziej w Europie?

Oczywiście, trudno powiedzieć, ale istnieje kilka sygnałów, po których moglibyśmy poznać zmianę kursu. Jednym z nich byłaby decyzja o dostarczeniu broni Ukrainie. Innym znakiem byłaby decyzja o rozmieszczeniu znaczących sił militarnych na terenie krajów Europy Wschodniej. Moim zdaniem jednak do tego nie dojdzie.

I tego się w Europie Wschodniej obawiamy. W końcu po tym, jak ustalenia memorandum budapesztańskiego z 1994 r. okazały się nic niewarte (gwarancje

nienaruszalności granic Ukrainy w zamian za przekazanie arsenału jądrowego Rosji), po prostu nagle znaleźliśmy się w stanie politycznej niepewności. Pytanie, czy po złamaniu tej umowy nie zostaną złamane i inne, wydaje się uzasadnione.

Nie można jednak przesadzać z obawami ani z historycznymi analogiami. Z pewnością nie wróciliśmy do sytuacji z lat 30. XX w., choćby dlatego, że Rosja jest dziś państwem o wiele słabszym niż ZSRR w tamtym okresie i nie widzę, by to się miało w najbliższym czasie zmienić – problemy demograficzne, gospodarcze i instytucjonalne, z jakimi się boryka, są zbyt poważne. Rosja – w odróżnieniu od ZSRR – nie jest też samowystarczalna, jej kondycja zależy w dużym stopniu od świata zewnętrznego. Ale co jeszcze ważniejsze dla Europy Wschodniej, dziś zupełnie innym krajem są Niemcy. Dziś imigranci przedostający z Bliskiego Wschodu do Europy uznają to państwo za symbol nadziei, a wielu Niemców wita ich jak bohaterów, starając się pomóc. Czy ktoś 50–60 lat temu uwierzyłby, że Niemcy są zdolni do takich gestów? Europa Wschodnia była miejscem diabelskiej rozgrywki pomiędzy Rosją a Niemcami. Dziś Stary Kontynent zмага się z wielkimi wyzwaniem, a wiele kolejnych, zupełnie nowych, może pojawić się na waszym horyzoncie.

Mimo to przez wielu wschodnich Europejczyków obecna sytuacja jest odczytywana jako rodzaj powtórki z przeszłości. Raz jeszcze musimy wyjaśniać Zachodowi, co tak naprawdę się dzieje na Wschodzie.

Ale wycofanie się Stanów Zjednoczonych z odgrywania większej roli w tym konflikcie nie wynika z tego, że Waszyngton nie rozumie, co się dzieje na Ukrainie, ale ze

zmiany poglądów na rolę Stanów Zjednoczonych w świecie. Zdaniem Baracka Obamy układy z czasów zimnej wojny są dziś anachroniczne, ponieważ odzwierciedlają nieistniejący już porządek świata. Na tym polega prawdziwa rewolucja w amerykańskiej polityce zagranicznej. System sojuszy stworzony po II wojnie światowej, który wszystkie dotychczasowe administracje traktowały jako niezwykle ważny atut, obecna administracja postrzega jako słabość. Mamy do czynienia z radykalnym przedefiniowaniem rozumienia tego, co jest, a co nie jest „żywotnym interesem” Stanów Zjednoczonych.

Jakie są najważniejsze w tej chwili interesy Stanów Zjednoczonych?

Poza zapobieżeniem atakowi zbrojnemu na zachodnią półkulę, powstrzymanie zamachów terrorystycznych skutkujących licznymi ofiarami oraz związany z tym problem rozprzestrzeniania broni masowego rażenia. Wszelkie inne interesy uznawane przez ostatnich 70 lat za kluczowe obecna administracja postrzega jako mniej istotne.

Nie brakuje dziś jednak w Waszyngtonie głosów wzywających do większego zaangażowania w sytuację na wschodzie Ukrainy, a nawet dozbrojenia ukraińskiej armii. Być może prezydent Obama popełnia błąd, nie decydując się na taki krok?

To skomplikowany problem. Ja osobiście nie popieram dostarczania amerykańskiej broni armii ukraińskiej. Nie dlatego, że przekonuje mnie argument o nieuchronnej eskalacji konfliktu – my dostarczamy broń, ale Rosjanie, którzy na Ukrainie mają wiele do stracenia, zawsze dostarczą jej więcej. Nie, tego argumentu nie przyjmuję.

Ale jeśli Stany Zjednoczone nauczyły się czegoś z historii, to że najważniejszą podstawą polityki zagranicznej jest stabilność i uczciwość sojusznika. A czy naprawdę istnieje sprawnie działająca i kontrolowana przez władze centralne armia ukraińska? Mam co do tego wątpliwości. Pojawia się więc pytanie, czy amerykańska broń zostałaby właściwie wykorzystana. Czy państwo ukraińskie jest na tyle sprawne, by przyjąć tego rodzaju pomoc i podjąć decyzje, które czyniłyby z niej właściwy użytek?

Co pan w takim razie proponuje?

Jestem zwolennikiem tego, by wspierać rozwój państwa ukraińskiego i dać mu wszelkie potrzebne wsparcie instytucjonalne. Ale nie broń.

ADAM GARFINKLE

współzałożyciel i redaktor naczelny „The American Interest”, amerykańskiego dwumiesięcznika o tematyce międzynarodowej i gospodarczej. Wcześniej był redaktorem w „The National Interest” i wykładowcą m.in. na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i Uniwersytecie Pensylwanii. Pisał przemówienia dla amerykańskich sekretarzy stanu – Colina Powella i Condoleezy Rice.

JAROSŁAW KUISZ

historyk państwa i prawa, analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”. Adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego i chercheur associé étranger w Institut d’histoire du temps present w Paryżu.

Z FIODOREM ŁUKIANOWEM
ROZMAWIA ŁUKASZ PAWŁOWSKI

Zachód przecenia Putina

„Czy powinniśmy wycofać wsparcie dla separatystów i powiedzieć: «Przepraszamy, to była pomyłka»? Wielkie potęgi tak nie robią, jeśli chcą pozostać wielkimi potęgami”.

Łukasz Pawłowski: Jak ocenia Pan obecną sytuację na Ukrainie, zarówno z perspektywy Rosji, jak i Zachodu?

Fiodor Łukianow: Patrząc na to z zewnątrz, dochodzę do wniosku, że znaleźliśmy się w impasie. Nikt nie ma jasnych pomysłów, jak rozwiązać ten kryzys, poza rozwiązaniami zaproponowanymi w tzw. porozumieniu z Mińska. Już wkrótce będziemy potrzebowali nowej rundy intensywnych rozmów dyplomatycznych, które zajmą się szczegółami zobowiązań z Mińska i pozwolą przygotować nowe porozumienie.

Ale na czym polega trudność w rozwiązaniu tego konfliktu? Rosyjscy żołnierze powinni opuścić Ukrainę, a rosyjskie władze przestać wspierać rebeliantów. Tyle. To oznaczałoby koniec konfliktu. Dlaczego tak trudno osiągnąć jakiegokolwiek trwałe porozumienie?

Bo tak zwani „rebelianci” i tak zwane „republiki” są częścią rzeczywistości politycznej i jeśli Rosja je porzuci, będzie to dla niej polityczna klęska i dowód prawdziwej porażki w tym konflikcie. Przywódcy Ukrainy i europejscy przywódcy doskonale rozumieją, że kraje takie jak Rosja – nawet jeśli są w bardzo złej sytuacji gospodarczej – nie zgodzą się na takie warunki, które w oczach całego świata będą odczytywane jako ich porażka.

Czy dobrze rozumiem, że pańskim zdaniem wspieranie rebeliantów we wschodniej Ukrainie było błędem Kremla?

Staram się nie być publicystą i nie osądzać, czy była to dobra, czy zła decyzja. Widzę to raczej jako serie posunięć, które były częściowo, a może nawet w większości niezaplanowane. Sytuacja rozwija się krok po kroku, jedna reakcja pociąga za sobą następną. Rezultat nie jest oczywiście w żadnym stopniu satysfakcjonujący. Nie możemy powiedzieć, że Rosja odniosła wielki sukces. Ale co się zdarzyło, to się zdarzyło. A teraz – czy powinniśmy wycofać wsparcie dla separatystów i powiedzieć: „Przepraszamy, to była pomyłka”? Wielkie potęgi tak nie robią, jeśli chcą pozostać wielkimi potęgami.

W takim razie – jakie rozwiązanie obecnej sytuacji byłoby najlepsze z perspektywy Kremla?

Idealnie, gdyby polegało to na transformacji państwowości Ukrainy w taki sposób, aby stworzyć autonomię, przynajmniej dla Donbasu. Do tego umowa – może nie z samymi Ukraińcami, ale raczej z Amerykanami – że członkostwo Ukrainy w NATO jest wykluczone.

Uważa pan, że Zachód powinien zaakceptować takie rozwiązanie? Mówi pan, że wycofanie się z Ukrainy będzie upokarzające dla Rosji, ale zgoda na rozbiór Ukrainy będzie upokarzająca dla Zachodu. Przecież Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zagwarantowały integralność terytorialną tego kraju w Memorandum Budapesztańskim w roku 1994.

Oczywiście, sytuacja, kiedy Krym jest *de facto* rosyjski, jest wyzwaniem dla reputacji Zachodu, ale niestety jedynym sposobem na zmianę tego stanu rzeczy jest wojna. Jeżeli NATO byłoby gotowe walczyć o Krym i integralność Ukrainy, wtedy oczywiście sytuacja byłaby zupełnie inna. Ale tak nie jest, co oznacza, że musimy się jakoś porozumieć. Nie wydaje mi się, żeby sprawa Krymu mogła być szybko rozstrzygnięta, bo dla Zachodu zaakceptowanie takiej zmiany granic jest niedopuszczalne politycznie i moralnie. Z drugiej strony – aneksja państw bałtyckich przez ZSRR w roku 1940 też nigdy nie została uznana przez USA, co nie przeszkodziło obu państwom rozwijać wzajemnych relacji. Krym to długotrwały problem, który być może pewnego uroczego dnia zostanie rozwiązany, ale na pewno nie w najbliższej przyszłości.

Twierdzi pan, że jeżeli rosyjskie władze zostaną w sprawie Krymu postawione pod ścianą przez Zachód, to zdecydują się na wojnę? Prestiż jest dla Rosji aż tak ważny?

Dopóki presja ze strony Zachodu nie będzie miała charakteru militarnego, nie sądzę, by doszło do wojny. Ale jeśli Ukraina, NATO lub jakakolwiek inna potęga spróbuje odebrać Krym siłą, Rosja będzie walczyć. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

W takim razie jaką w ogóle motywację ma Moskwa, żeby rozwiązać ten kryzys? Dlaczego miałyby się na to zdecydować, jeżeli – jak twierdzą niektórzy zachodni komentatorzy – od samego początku konfliktu głównym celem Rosji była wieloletnia destabilizacja Ukrainy?

Motywacja jest banalna. Rosja nie jest zainteresowana przejmowaniem tej części Ukrainy. To dość oczywiste – jeśli Rosja chciałaby kontynuować rozbiór Ukrainy, w zeszłym roku miała ku temu wiele okazji. Po drugie, sytuacja w Donbasie jest bardzo zła i Rosja jest gotowa wspierać te terytoria, ale nie w nieskończoność. A w związku z problemami ekonomicznymi byłoby lepiej dla Moskwy znaleźć takie rozwiązanie, które pozwoliłoby przynajmniej częściowo pozbyć się tego ciężaru i na powrót włączyć Donbas do Ukrainy, ale już na innych zasadach. Po trzecie, sankcje ekonomiczne mają swoje skutki i Moskwa chciałaby ich zniesienia, ale nie za wszelką cenę.

Z tego, co pan mówi, wynika, że wojna w Donbasie wybuchła przez jakieś nieporozumienie, podczas gdy na Zachodzie główna narracja jest taka, że prezydent Putin świadomie rozpoczął konflikt, aby stworzyć lądowy korytarz między Rosją a Krymem.

Obawiam się, że taka interpretacja wynika z przecenienia, w jakim stopniu Rosja podejmuje decyzje w sposób strategiczny. Patrząc z rosyjskiej perspektywy, dochodzę do wniosku, że nigdy nie istniał jakiś konkretny cel rosyjskich działań na wschodzie Ukrainy. Wiosną 2014 r. było kilka pomysłów, od nieinterweniowania aż po pełną militarną inwazję. Różnicę widać gołym okiem. W przypadku Krymu – niezależnie od naszej oceny tych

działań – podjęto jednoznaczną decyzję, którą szybko wykonano. W rezultacie Krym jest *de facto* częścią Rosji. W przypadku wschodniej Ukrainy nie było żadnej konkretnej decyzji, nie wprowadzono w życie żadnej jasnej strategii. I wszyscy widzą rezultaty – nikt nie wie, co będzie dalej.

Czy chce pan powiedzieć, że kryzys, który może destabilizować całą Europę, nie jest wynikiem przemyślanych decyzji, ale skutkiem łańcucha zdarzeń, których nikt faktycznie nie kontroluje?

Zaczęło się jeszcze przed protestami na kijowskim Majdanie, podczas walki między Rosją a Unią o to, do którego obozu Ukraina powinna należeć.

W komentarzu dotyczącym dorocznej konferencji prasowej prezydenta Putina powiedział pan, że „Putin powtórzył wszystkie swoje standardowe zwroty i pomysły, ale bez pasji i napięcia, widzianych w ostatnich latach w wielu jego wystąpieniach publicznych. Jego komentarze pokazują, że nie jest zainteresowany eskalacją obecnego konfliktu”. Z drugiej strony niektóre ostatnie decyzje Kremla – jak skazanie Olega Sencowa na 20 lat pozbawienia wolności lub propozycja zbudowania bazy lotniczej na Białorusi – wydają się świadczyć o czymś dokładnie przeciwnym. Czy nadal twierdzi pan, że prezydent Putin nie jest zainteresowany eskalacją konfliktu?

Należy dokonać rozróżnienia – z jednej strony mamy do czynienia z konkretnym konfliktem we wschodniej Ukrainie i to ten konflikt miałem na myśli, gdy pisałem o braku woli eskalacji. Sądzę, że rosyjska elita jest zmęczona

i chciałyby ten konflikt przynajmniej zamrozić lub znaleźć rozwiązanie – ale nie za wszelką cenę.

Jeśli chodzi o wspomniane przez pana decyzje, trzeba pamiętać, że są one elementem ciągu wzajemnych prowokacji. Rosja ma prawo do bazy lotniczej na Białorusi, ponieważ te dwa kraje są sojusznikami. A NATO nieustannie mówi o zwiększeniu swojej obecności w krajach bałtyckich i Europie Wschodniej. To typowy rodzaj wymiany przypominającej czasy zimnej wojny. Ale w tamtym okresie konflikty w znacznie większym stopniu podlegały regułom – wszyscy znali zasady konfrontacji.

Twierdzi pan, że Rosja nie skorzysta na eskalacji konfliktu, ale eskalacja może być korzystna osobiście dla prezydenta Putina, służąc jako sposób odwrócenia uwagi od rosyjskich problemów wewnętrznych. Eskalacja nie jest korzystna ani dla Rosji, ani dla nikogo. To chyba Hans Morgenthau powiedział kiedyś, że motorem stosunków międzynarodowych jest walka państw o władzę i prestiż. Oba te pojęcia mogą być w różnych sytuacjach różnie rozumiane, ale są kluczem do zrozumienia stosunków międzynarodowych. Po tym wszystkim, co się stało na Ukrainie, potrzebujemy rozwiązania, które skłoniłoby obie strony do pewnych kompromisów.

Ale czy w tym wypadku mamy do czynienia z walką o władzę i prestiż dla Rosji, czy o prestiż Władimira Putina, by mógł utrzymać się przy władzy?

Myślę, że Zachód znacząco przecenia rolę Putina.

Co pan ma na myśli?

Putina się demonizuje, uznaje za geniusza lub wcielnego diabła. Ale jeśli przyjrzymy się wynikom sondaży w Rosji, okaże się, że Rosjanie zgadzają się z opinią, że Rosja powinna być silną i dumną potęgą. Można oczywiście winić za to rosyjską propagandę, ale w latach 70. i 80. XX w. sięgała ona znacznie dalej niż obecnie, a mimo to nie działała. Teraz ludzie wiedzą, co ona oznacza – ale propaganda dotyka uczuć, które drzemią w nich nawet bez jej udziału.

Jednym z motywów przewodnich, który pojawia się przy omawianiu rosyjskiej polityki w zachodnich mediach, jest pozycja polityczna Władimira Putina. Niedawno na łamach „Forbesa” ukazał się artykuł Paula Gregory’ego, w którym autor twierdzi, że przeciwko prezydentowi prowadzony jest „powolny pucz”. Takie prognozy słyszymy często, ale dotychczas żadna się nie sprawdziła. Czy jest jakiś sposób na dokonanie oceny bieżącej pozycji prezydenta Putina na Kremlu i tego, czy jest on bliski utraty władzy?

Nie mamy żadnej metodologii, by to zrobić. Te wszystkie artykuły to ciekawa lektura, ale nic więcej.

Jak zatem odpowiedziałby pan na pytanie: „Czy Władimir Putin wkrótce straci władzę”?

Nie ma szans, by tak się stało. Nie widzę powodów, dla których można by oczekiwać takiego rozwoju wypadków. Ale nie ulega wątpliwości, że rosyjski model rozwoju jest w kryzysie. Było to oczywiste nawet przed konfliktem na Ukrainie. Już kiedy Putin wracał na stanowisko prezydenta w 2012 r., był świadom, że coś trzeba zrobić, by

ożywić rozwój rosyjskiego społeczeństwa, gospodarki i systemu politycznego. Starał się coś znaleźć, ale mu się nie udało. W tym sensie kryzys ukraiński był ucieczką, ponieważ całkowicie zmienił sytuację polityczną i rozpałił uczucia patriotyczne. Ale nie rozwiązał podstawowego problemu – co ma być podstawą rosyjskiego rozwoju w przyszłości? Dziś mnożą się oznaki tego, że problem jest coraz bardziej poważny, ale to nie ma bezpośredniego związku z osobistą pozycją prezydenta.

Nawet jeśli sytuacja gospodarcza pogorszy się jeszcze bardziej, nie będzie to miało żadnych politycznych konsekwencji dla rosyjskich władz?

Obecnie nie widzę takiej możliwości.

Ze względu na trudności w stosunkach między Zachodem a Rosją, czy Moskwa ma plany, aby przyciągnąć swoich innych sojuszników? Czy kraje BRICS mogłyby stać się dla Rosji alternatywą, czy też to państwa zbyt różne, aby stworzyć trwały związek? BRICS nie stanowi alternatywnej drogi rozwoju gospodarczego. To nie jest zjednoczony i jednolity podmiot. Dostarcza jednak ciekawych ram rozwoju dla niezachodniego podejścia do problemów międzynarodowych. To nie jest grupa antyzachodnia – to Rosja jest najbardziej antyzachodnim ze wszystkich jej członków. Inne nie są zainteresowane w konfrontacją z Zachodem.

A co do alternatyw dla Rosji – nieuniknionym kierunkiem jest Azja. Nie sądzę, by miał to być zamiennik stosunków z Europą, ale nawet bez kryzysu ukraińskiego, zwrot ku Azji byłby nieuniknionym etapem na rosyjskiej drodze rozwoju, bo Azja odgrywa coraz ważniejszą rolę

w stosunkach międzynarodowych i w rozwoju gospodarczym. Przypomnę też panu o pewnej liczbie, o której nawet w Rosji często zapominamy – trzy czwarte terytorium Rosji leży w Azji. W tych okolicznościach brak aktywnej polityki w Azji byłby co najmniej dziwny, choć faktycznie Rosja nigdy wcześniej takiej polityki nie prowadziła.

Ale istnieją przynajmniej dwa problemy w relacjach Rosji z największym azjatyckim krajem, czyli Chinami. Po pierwsze, Rosja jest w tym związku słabszym partnerem, a po drugie – istnieje zagrożenie, że wschodnia część Rosji zostanie zalana przez osiedlających się tam Chińczyków.

O tym, że Chińczycy zaanektują wschodnią część Rosji, słyszymy co najmniej od lat 90. ubiegłego wieku. Ale oni wcale nie przyjeżdżają – i na tym polega problem. Tak, to naprawdę jest problem. Do osiągnięcia zrównoważonego rozwoju gospodarczego potrzebujemy chińskich inwestycji, chińskich technologii i ich pracowników. Ale oni wcale nie chcą do nas przyjechać.

Co do bycia słabszym partnerem – jeśli spojrzymy na gospodarkę, to oczywiście nie ma żadnego porównania, Chiny są zdecydowanie przed nami. Jednak sprawy mają się trochę inaczej, gdy chodzi o politykę. Widzimy, że Chiny wciąż mają problem z kreowaniem się na wielkie mocarstwo. W przeciwieństwie do Europy czy Rosji, Państwo Środka nie wie do końca, jak się zachować, odgrywając tak wielką rolę na arenie międzynarodowej. Jakby to ująć... chińskie ciało jest dużo bardziej rozwinięte od chińskiego umysłu. To jedna z przewag, które Rosja ma nad Chinami.

Druga jest taka, że Chiny są poddane presji ze strony Stanów Zjednoczonych. Szczerze powiedziawszy, nie rozumiem amerykańskiej polityki zagranicznej, która stara się jednocześnie wyrzucić presję na Rosję i Chiny. To zbliża do siebie te dwa kraje! Kissinger i Nixon zdawali sobie doskonale sprawę, że należy przede wszystkim odseparować Chiny od Związku Radzieckiego. Ale teraz administracja Obamy robi coś dokładnie przeciwnego. Tak czy inaczej Chiny boją się o przyszłość swoich relacji z USA, więc chcą mieć w Rosji lojalnego i przewidywalnego partnera. Nie mówię, że nie będzie tu żadnych zgrzytów, ale zbliżenie Rosji i Chin jest absolutnie nieuniknione. Rosja będzie musiała dokonać swojego „zwrotu w kierunku Azji”, dokładnie tak samo jak starają się to uczynić Stany Zjednoczone.

Niedawno ukazały się wyniki międzynarodowego sondażu przeprowadzone przez Pew Research Center na temat wizerunku Rosji. Z raportu podsumowującego dowiadujemy się, że „poza swoimi granicami ani Rosja, ani jej prezydent, Władimir Putin, nie cieszą się specjalnym poparciem ani szacunkiem. Mediana wyników dla pytania o pozytywny wizerunek Rosji w innych państwach wyniosła 30 proc.”. Czy ten pogarszający się wizerunek Rosji za granicą ma jakikolwiek wpływ na rosyjską politykę? Czy w ogóle został zauważony? Jest dostrzegany, ale ma niewielkie znaczenie. Nie ma większego wpływu na politykę, ponieważ psychologia Rosjan i rosyjskiej klasy politycznej każe im postrzegać świat zewnętrzny jako wrogi. Ten punkt widzenia jest głęboko zakorzeniony w doświadczeniu historycznym. Jeśli w ten sposób myślisz o świecie, nie oczekujesz od niego

żadnych cieplejszych uczuć. Wrogość jest więc postrzegana jako coś normalnego.

FIODOR ŁUKIANOW

redaktor naczelny magazynu „Russia in Global Affairs”.

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

sekretarz redakcji i publicysta „Kultury Liberalnej”,
z wykształcenia socjolog i psycholog, doktor socjologii.

ZAPIS SEMINARIUM

Kres starego porządku. Czy są nadzieje na nowy?

Czy doświadczenie kilku dekad zupełnie nowego porządku europejskiego czegoś nas nauczyło? Jak napięte są stosunki polityczne w Europie i co można zrobić, by podnieść poziom bezpieczeństwa, nie tworząc przy tym dalszych zagrożeń? Między innymi na te pytania odpowiadali politycy, historycy, politolodzy i dziennikarze w trakcie seminarium towarzyszącego konferencji „Pękające granice, rosnące mury”. Spotkanie poprowadzili Łukasz Jasina i Kacper Szulecki.

HELSINKI – CZTERDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ

Kacper Szulecki: Inspiracją naszego dzisiejszego spotkania była 40. rocznica aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podpisanego w Helsinkach. W „Kulturze Liberalnej” bardzo cenimy podwójne dziedzictwo Helsinek. Na poziomie wielkiej polityki, którą można nazwać „odgórnymi Helsinkami”, Akt końcowy był kamieniem węgielnym porządku europejskiego, opartego na suwerenności i zasadzie nieingerencji. Drugi wymiar możemy nazwać „oddolnymi Helsinkami” – to termin wymyślony w latach 80. przez

ruchy decydenckie w Europie Środkowej. Największy nacisk kładziono na pierwszeństwo praw człowieka w polityce międzynarodowej. Co może posłużyć za podstawę porządku europejskiego po 2014 r., skoro porządek ustanowiony w Helsinkach został podważony?

Asle Toje: Czy akt helsiński może być inspiracją dla porządku europejskiego? Jeżeli porządek ten miałby obejmować Rosję, to moim zdaniem odpowiedź musiałaby brzmieć: w obecnej chwili – nie. Nie tylko w Rosji, ale również w Europie Zachodniej pojawiła się bowiem interpretacja, lansowana na przykład przez Jeffreya Edwardsa, że porozumienia helsińskie były swego rodzaju koniem trojańskim: udając, że chcą rozwiązać problem praw człowieka, Amerykanie podstępnie nakłonili Związek Radziecki do podpisania aktu helsińskiego, co zjadło potem reżim od środka jak nowotwór. Taka interpretacja jest w Rosji bardzo mocno ugruntowana.

Helsiński akt końcowy nadal dostarcza bardzo ważnej inspiracji, ponieważ różnica między blokiem zachodnim a blokiem sowieckim w obszarze wartości była większa i głębsza w latach 70. niż obecnie. To smutne, że nie prowadzimy dialogu o rzeczach ważnych, takich jak znaczenie przestrzegania zasad porządku międzynarodowego, które Rosja narusza obecnie w sprawie Ukrainy. Również w kwestii praw człowieka Zachód dał się zapędzić w kozi róg, ponieważ prawa pozytywne i negatywne zostały ze sobą wymieszane. Wydaje się, że Rosjanie próbują teraz odwrócić cały dyskurs związany z prawami człowieka. Myślę, że należałoby podjąć próbę ponownego nawiązania z nimi dialogu, bez rezygnacji z najbardziej podstawowych zasad aktu helsińskiego, pod którymi obie strony się wtedy podpisały.

Robert Cooper: Helsinki kojarzą mi się z kompleksową definicją bezpieczeństwa. Ale czy „trzy koszyki” miały jednakową wagę? Szczerze mówiąc, uważam, że nie, ponieważ bezpieczeństwo warunkuje wszystko inne. Jeżeli trwa wojna, można zapomnieć o prawach człowieka i wolności ekonomicznej. Bez sukcesu „pierwszego koszyka” istnieją bardzo niewielkie szanse na to, że pozostałe dwa koszyki przyniosą pożądane efekty. Dlatego trzeba najpierw rozstrzygnąć konflikt na Ukrainie, zanim przyjrzymy się innym obszarom. Dopóki trwa wojna, nie można mówić o wolności.

Osobiście uważam, że w odniesieniu do praw człowieka na Wschodzie sytuacja prawie się po Helsinkach nie zmieniła. Dysydentów może było trochę więcej, ale nadal wsadzano ich do więzienia. Częściej się za nimi wstawialiśmy, ale nic z tego nie wynikało. Zmieniła się natomiast sytuacja gospodarcza, co poskutkowało przede wszystkim gigantycznym długami zaciągniętymi przez kraje takie jak Polska i Węgry – paradoksalnie właśnie ta kwestia dała Zachodowi potężne narzędzia nacisku i wywołała na Wschodzie wielką nerwowość. Sukces „Solidarności” wynikał przede wszystkim z odwagi ludzi, którzy zorganizowali związek zawodowy, ale zagraniczne zadłużenie i stosunki handlowe zwiększyły możliwości nacisku wspierających „Solidarność” ludzi Zachodu. Ważna była również atmosfera odprężenia, przekonanie, że można ze sobą rozsądnie rozmawiać, że można ze sobą współpracować. Na dłuższą metę uutorowało to drogę Gorbaczowowi. Myślę, że jeżeli spojrzymy na Helsinki w tym bardzo szerokim sensie pierwszego eksperymentu we współpracy na rzecz bezpieczeństwa, był to całkiem udany eksperyment, który koniec końców

zaowocował większą wolnością i sumienniejszym przestrzeganiem praw człowieka.

Teraz powiem coś politycznie niepoprawnego, a mianowicie, że moim zdaniem istnieje hierarchia postępu, który może się dokonać. Najpierw musi być bezpieczeństwo, na tym fundamencie można próbować zwiększyć wymianę handlową, a przy odrobinie szczęścia, jeżeli dwa pierwsze kroki się powiodą, może powstaną warunki sprzyjające wolności.

Lukasz Pawłowski: Jeżeli bezpieczeństwo jest niezbędnym warunkiem rozwoju ekonomicznego, a rozwój gospodarczy jest niezbędnym warunkiem budowy swobód politycznych, to jakby pan ocenił rewolucję ukraińską, która zignorowała status geopolityczny Ukrainy i zaczęła od praw politycznych? Co by pan zalecił Ukraińcom na tym etapie? Czy zasugerowałby pan model chiński, w którym zaczyna się od silnej władzy politycznej, przechodzi do rozwoju gospodarczego, a dopiero potem, w nieokreślonej przyszłości, buduje wolność polityczną? Zadaję to pytanie dlatego, że rewolucja ukraińska przebiegała w dokładnie odwrotnym kierunku do tego, który pan zarekomendował.

Robert Cooper: Bezpieczeństwo jest fundamentem wszystkiego. Podczas wojny bardzo trudno o wymianę handlową i przestrzeganie praw człowieka. Ta część mojej tezy raczej nie budzi wątpliwości. Część druga jest bardziej kontrowersyjna, ale uważam, że kontakty gospodarcze są bardzo ważne w realnym życiu, podobnie jak wolność gospodarcza i prawo własności. W ślad za Johnem Locke’iem prawo własności uważam za fundament praw człowieka. Z drugiej strony prawo własności, czyli prawna ochrona majątku obywateli, zabezpiecza wolność jednostek, bo kiedy władza może odebrać im własność, może również

odebrać im życie. Nie chciałbym jednak robić z tego absolutnej zasady i nie chciałbym mówić Ukrainie, co ma robić, ponieważ tylko sami Ukraińcy mogą sobie odpowiedzieć na to pytanie. Nie sądzę, żeby istniała jakaś magiczna recepta dla wszystkich, ale dobrze zorganizowane społeczeństwo, oparte na swobodzie zawierania umów i wzajemnym ich dotrzymywaniu, jest niezłym punktem wyjścia do budowy systemu ochrony praw człowieka.

Viola von Cramon: Przez wiele lat mieliśmy dość bezpieczną sytuację, ale nie żądaliśmy od takich krajów, jak Azerbejdżan, państwa południowoazjatyckie, Rosja czy Turcja przestrzegania standardów praw człowieka. Byłam członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy i żadna rezolucja z tego obszaru, na przykład dotycząca sytuacji więźniów politycznych w Azerbejdżanie, Turcji czy Rosji, nie została przegłosowana. Te autorytarne kraje były lepiej zorganizowane, wiedziały, do czego dążą, przekupywały parlamentarzystów i doprowadziły do tego, że program działania na rzecz praw człowieka się rozsypał.

Naprawdę trudno jest budować nowe zasady w sytuacji, gdy większość krajów, o których tutaj mówimy, spadkobierców Związku Radzieckiego, który kiedyś podpisał akt helsiński, nie czuje się już związana jego podstawowymi zasadami. Duch Helsinek zanikł pod koniec lat 90., gotowość do walki o prawa człowieka całkowicie wygasła. Jeżeli chodzi o stosunki gospodarcze, nigdy nie było ogólnoeuropejskiego, instytucjonalnego czynnika, który by je napędzał. Jest Światowa Organizacja Handlu i są umowy dwustronne, ale KBWE nigdy się nie angażowała w ten obszar.

Aleksander Smolar: Helsinki otacza wiele mitów. Moim zdaniem odegrały one bardzo ograniczoną rolę w procesie

transformacji, w odróżnieniu do czynnika ekonomicznego. Na Zachodzie wiele osób uznało podpisanie aktu helsińskiego za zdradę. Pamiętam swoją rozmowę ze Zbigniewem Brzezińskim, który powiedział, że w Waszyngtonie zapanowała ponura, spenglerowska atmosfera. Paradoks polega na tym, że u podstaw porozumień helsińskich był Związek Radziecki, a ich celem – uznanie nie tyle granic państwowych, co granic bloków politycznych. Konsekwencje okazały się znacznie głębsze niż oczekiwano.

Kacper Szulecki: A zatem teraz sytuacja jest dokładnie odwrotna. W tamtych czasach Związek Radziecki był mocarstwem dążącym do utrzymania *status quo*, natomiast Zachód w jakimś sensie wcielił się w rolę „rewizjonisty”, dążącego do zmiany pewnych elementów systemu. Dzisiaj mocarstwem rewizjonistycznym z pewnością jest Rosja. Komu zatem służy ten system? Czy istnieją jakiekolwiek szanse, aby w obecnych okolicznościach powstał ogólnoeuropejski system bezpieczeństwa oparty na współpracy, czy też powracamy do czasów równowagi sił i strategii powstrzymywania?

Jarosław Pietras: Helsinki są w silnie obecne w ludzkich wyobrażeniach. Nie mówmy zatem o Helsinkach, lecz o kwestii równowagi sił. Problem polega dzisiaj na tym, że na przykład w Rosji dominuje narracja czy retoryka agresji, Rosję przedstawia się jako obłąkaną twierdzę, a Zachód jako chcący dokonać swoistej inwazji ze swoimi ideałami, standardami, wartościami, a także towarami. Według mnie Związek Radziecki nie oddziałuje już ideologicznie. Dawniej dostarczał wzorców intelektualistom z wielu krajów, którzy mówili: potrzebujemy jakieś alternatywy. Dzisiaj Rosja nie jest dla nikogo modelem, jeżeli chodzi o ustrój, o społeczeństwo, i traci wpływ, ponieważ nie ma

na Zachodzie zwolenników, którzy by mówili: ten model jest lepszy, może posłużyć jako alternatywa dla zgniłego kapitalizmu. Innymi słowy, ideologiczne wpływy Rosji z czasów sowieckich dzisiaj już nie występują.

Łukasz Jasina: Dla ideologów obecnego reżimu w Rosji problematyczne są również standardy ekonomiczne, co czyni z tych ludzi większych rewizjonistów od przedstawicieli niektórych reżimów totalitarnych z przeszłości. Kiedy Ukraińcy zaczęli swoją rewolucję, Unia Europejska była dla nich przestrzenią zaufania, przestrzenią prawa międzynarodowego. Teraz – dwa lata po rewolucji – czy Ukraińcy nadal wierzą w prawo międzynarodowe w świetle kryzysu w Europie? Czy ufają Europie w sytuacji, kiedy memorandum budapeszteńskie zostało wyrzucone do kosza?

Jarosław Hrycak: Nie pamiętam żadnych niedawnych odniesień do Helsinek na Ukrainie, ale przed 1989 r., kiedy dorzucono „trzeci koszyk”, ruchy dysydenckie miały potężny instrument do legitymizacji swoich programów. Teraz żyjemy w innej rzeczywistości. Nie twierdzą, że już nie wierzą w żadne porozumienia międzynarodowe. Ale Helsinki czy Budapeszt nic już dla Ukraińców nie znaczą. Przepraszam, że to mówię, ale na tym etapie są to rzeczy kompletnie nieistotne.

Aleksander Smolar: Helsinki z pewnością odgrywały rolę symbolu, legitymizowały wszystkie ruchy dysydenckie w naszej części Europy. Było ważne, że władze zrezygnowały z XVIII-wiecznej doktryny absolutnej suwerenności państwa i pozwoliły innym krajom mieszać się swoje wewnętrzne sprawy. Co się tyczy wspomnianej dyalektyki agresywnych, rewizjonistycznych, konserwatywnych państw: Fiodor Łukianow – który prawdopodobnie jako jedyny w Rosji pisze o tej kwestii – interpretuje Helsinki

jako podział stref wpływów. Według niego pierwszy koszyk wyznaczał strefy wpływów, a zatem Gorbaczow popełnił błąd, rezygnując z gwarancji zawartych w „pierwszym koszyku”, ponieważ chciał przyłączyć się do Zachodu. To się nie udało, ale porzucił sowiecką strefę wpływów, pozabawiając Rosję tego przywileju.

Łukasz Jasina: A zatem ramy KBWE dla niektórych, zwłaszcza dla ZSRR, były sposobem na prowadzenie *Realpolitik*. Czy dzisiaj istnieje ryzyko, że powstanie podobne porozumienie międzynarodowe dotyczące granic między blokami geopolitycznymi albo strefami wpływów? To bardzo istotne, zwłaszcza dla Ukraińców, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś w Europie albo w Stanach Zjednoczonych któregoś dnia pomyśli sobie: pozbadźmy się tego problemu, zostawmy go drugiej stronie.

Katja Gorczyńska: Sądzę, że każde tego rodzaju porozumienie musiałoby obejmować Ukrainę, a Ukraina raczej by się pod nim nie podpisała. Naiwnością byłoby sądzić, że Helsinki ograniczyły *Realpolitik*. Rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych na co dzień komentuje wewnętrzne sprawy Ukrainy. Również Zachód nie jest tutaj bez winy. Merkel, Hollande i Poroszenko dyskutują o ukraińskiej konstytucji, w tym o możliwości federalizacji naszego kraju. Ukraina oczekuje od Zachodu, że nawet jeśli nie będzie stroną konfliktu, to głęboko się w niego zaangażuje. Innymi słowy, również Ukraina oczekuje naruszania jednej z zasad aktu helsińskiego: ingerencji w wewnętrzne sprawy innych krajów. W porozumieniu helsińskim kwestie bezpieczeństwa postrzegane są bardzo wąsko, bezpieczeństwo dotyczy utrzymania granicy państwowej itd. Dzisiaj bezpieczeństwo rozumiemy inaczej, co uwydatniła wojna ukraińsko-rosyjska.

Zmiany w porozumieniu helsińskim powinny zmierzać właśnie w tym kierunku, w stronę poszerzenia koncepcji bezpieczeństwa światowego.

Jacek Stawiski: Henry Kissinger powiedział, że Helsinki były poszukiwaniem równowagi sił w Europie i na świecie. Helsinki zakwestionowano już w latach 1990–1995. W 2015 r. znowu poszukujemy równowagi sił, czasem marzymy o znalezieniu innego układu. Najważniejsi gracze, którzy byli filarami porządku międzynarodowego wytworzonego przez Helsinki, dzisiaj odgrywają inne role. Inaczej niż w 1975 albo 1995 r., Stany Zjednoczone nie mają woli podtrzymywania międzynarodowej równowagi sił. Wielka Brytania, Francja czy Niemcy również próbują na nowo określić kwestię swojej mocarstwowości. Na nieszczęście dla Europy Środkowej i Wschodniej tylko Rosja pozostaje przy klasycznych definicjach mocarstwowości.

Kacper Szulecki: Dziękuję za wprowadzenie do dyskusji Stanów Zjednoczonych, o których wcześniej nie wspomnieliśmy. A jakie jest miejsce w Europie dla innego kluczowego państwa – Rosji? Czy nadal możliwy jest jakiś ogólnoeuropejski układ współpracy, który obejmowałby Rosję? Josef Joffe powiedział, że rosyjska polityka wewnętrzna go nie obchodzi. Cóż, mnie obchodzi, ponieważ chciałabym, żeby Rosja kiedyś stała się częścią jakiegoś ogólnoeuropejskiego porozumienia, bo tylko w tej sytuacji można osiągnąć bezpieczeństwo oparte na współpracy.

Viola von Cramon: Nie sądzę, żebyśmy mogli dogadać się z Rosją, dopóki prezydentem tego kraju jest Władimir Putin, który stawia sobie tylko jeden cel: nie stracić władzy. Putin chce odbudować dawne imperium. Chce utrzymać przy władzy przestępczą elitę. To nie jest otwarta wojna, lecz wojna hybrydowa, prowadzona na bardzo wielu frontach

w Unii Europejskiej i w krajach sąsiednich. Jeżeli tego nie dostrzeżemy, jeżeli nadal będziemy naiwnie myśleli, że musimy uwzględniać Rosję w naszych rachubach, to gorzko się rozczarujemy, tak jak Ukraińcy rozczarowali się nami. Według mnie próba włączenia Rosji w jakieś sensowne porozumienie jest z góry skazana na porażkę. Obama nie jest zainteresowany udziałem w rozstrzygnięciu kwestii rosyjskiej i dopóki w Ameryce trwa kampania wyborcza, nie będziemy wiedzieli, co Waszyngton naprawdę planuje w tej sprawie.

WARTOŚCI I JĘZYK

Łukasz Jasina: Jeśli mówimy o Realpolitik, to żeby negocjować z dyktatorem, musimy mieć do niego zaufanie. Czy nie jest to dzisiaj największy problem między Europą i Stanami Zjednoczonymi a Władimirem Putinem?

Jarosław Kuisz: Powracamy tutaj do fundamentalnego pytania związanego z Helsinkami i memorandum buda-peszteńskim – pytania o wartość porozumień, wartość układów międzynarodowych. Martwi mnie również demontaż naszego słownictwa, demontaż języka. Mamy wielki problem z opisaniem tego, co się dzieje. Wojna hybrydowa to osobny problem, ale aneksja Krymu jest czymś najzupełniej wymiernym. Są ofiary, ludzie giną od kul. Rozmycie pojęć uniemożliwia Zachodowi wywieranie presji moralnej. Ponieważ nie umiemy właściwie opisać tego, co się dzieje, nie jesteśmy w stanie rozmawiać z Rosją językiem wartości. Z drugiej strony doskonale opanował to Putin. Dobrze pamiętamy, że inwazję na Ukrainę uzasadniał koniecznością obrony mniejszości rosyjskiej, że wysłał „biały konwój” z pomocą humanitarną itd.

Kacper Szulecki: Kwestia języka pojawia się tutaj w wielu kontekstach. Tym samym językiem, co Putin, posługiwali się Sowieci, którzy jednak grali znaczeniami pewnych pojęć. Tak jak powiedział przed chwilą Jarosław Kuisz, a wcześniej Aleksander Smolar i Viola von Cramon, mamy dzisiaj polityków otwarcie podważających wspólny język, za którego pomocą się porozumiewaliśmy, a w każdym razie – tak sądziliśmy. Są to politycy nie tylko z Rosji, ale również z Azerbejdżanu, Rosji, Węgier czy Turcji.

Robert Cooper: To nie jest problem języka, że ludzie siedzą w więzieniu; również kłamstwa nie są problemem języka, tylko uczciwości, więc każdą nieprawdziwą wypowiedź trzeba po prostu natychmiast podważać. Wymaga to czasu i konsekwencji, ale w końcu te kłamstwa obnażymy, prowadząc coś w rodzaju wojny na wyczerpanie. Ale ważniejsze od kwestii kłamstw wydaje mi się dzisiaj pytanie, jaką politykę wobec Rosji powinniśmy prowadzić.

Kacper Szulecki: Przypominają mi się słowa Václava Havla: trzeba żyć w prawdzie i mówić władzy prawdę. Kiedyś była to najlepsza strategia postępowania z totalitarną władzą, przynajmniej w niektórych okolicznościach. Jak się zachowywać wobec reżimu, który kłamie?

Robert Cooper: Wobec reżimu, który kłamie konsekwentnie, który na kłamstwie zbudował cały system? To bardzo trudne. Moim zdaniem osobą, która dobrze sobie z tym radzi, jest Angela Merkel. Mówi: panie Putin, nie rozumiem, dlaczego pan zamknął pana Kasparowa. On tylko planował protest, co w tym złego? Putin oczywiście stosuje typowo rosyjską metodę odbijania piłeczki: jak pani może zadawać takie pytanie? Właśnie zamknęła pani dziesięć osób za planowanie jakichś działań. Kanclerz mu odpowiada: nie, panie Putin, tych ludzi zamknięto

za planowanie zamachu terrorystycznego. Oni planowali akty przemocy, co jest na całym świecie zakazane, i dlatego ich zamknęliśmy. Pan Kasparow planował demonstrację, co jest na całym świecie legalne, więc nie rozumiem, dlaczego pan go zamknął. Putin postanawia zmienić temat, ponieważ przegrał tę polemikę. I tak należy postępować.

Merkel radzi sobie całkiem dobrze, ponieważ jest spokojna, nie unosi się emocjami, nie okazuje agresji i ani trochę nie ufa Putinowi. Uważam, że skoro sąsiadujemy z Rosją, musimy się z nią jakoś dogadywać, ale nasze stosunki z Rosjanami muszą być oparte na założeniu, że im nie ufamy i wiemy, że każda ich wypowiedź może być kłamstwem. Nie powinniśmy przyjmować niczego na wiarę, wszystko powinniśmy bardzo dokładnie weryfikować, a na każde naruszenie zasad powinniśmy reagować stanowczym stwierdzeniem, że tego nie akceptujemy. Pytanie nie brzmi zatem, czy powinniśmy dogadywać się z Rosją, bo to nieuniknione, tylko: jak mamy to robić. Jest to kwestia stylu i przestrzegania zasad.

Viola von Cramon: Wiem od pewnych osób blisko współpracujących z panią Merkel, że jest głęboko sfrustrowana Putinem, że próbowała z nim rozmawiać jak człowiek z człowiekiem i wielokrotnie go zapytała: czego pan chce od Krymu? Czego pan chce od Donbasu? On zawsze stosuje uniki – tak jak powiedzieliście.

Niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych idzie inną drogą niż Merkel. Mamy tutaj do czynienia z prawdziwym rozłamem. Nie rozumiem Ukrainy i innych krajów, które doskonale wiedzą, że jeżeli Merkel zabraknie, to będzie katastrofa, więc absolutnie nie wolno mówić, że Merkel rozumie Putina i dlatego tak miękko negocjujemy.

To bardzo niebezpieczne, mamy wiele słabych punktów i Putin może nam w bardzo wielu obszarach zaszkodzić.

Ulrike Guérot: Prawda jest taka, że nikt nie wywiera presji na Putina. Nie robią tego Francuzi, jak już tutaj wspomniano. Nie leży to w interesie Niemiec, jeżeli przyjrzymy się kwestii sankcji. Średniej wielkości niemiecka firma przy pierwszej nadarzającej się okazji złamałaby sankcje. Nie jest to wina ministerstwa gospodarki, nie jest to wina naszego Sigmara Gabriela. Jest to problem systemu wartości, którego nie bronimy, mimo że nasze wartości są pogwałcane.

Łukasz Jasina: Skoro mamy tylko Angelę Merkel, to należy mówić o braku kompetencji Europy w obszarze polityki rosyjskiej i relacji między Europą a Rosją. Być może mamy powody do pesymizmu, ponieważ nadal nie widać na horyzoncie nikogo, kto mógłby zastąpić Angelę Merkel i pokazać nam, że jest ktoś, komu możemy zaufać. Jest to wielki problem Europy, zresztą nie tylko w kontekście Rosji i polityki wschodniej.

Viola von Cramon: À propos mówienia prawdy: kiedy słucham wywiadów udzielanych przez naszych socjaldemokratycznych polityków, zadaję sobie pytanie, czy oni nie mają świadomości tego, co się dzieje. Zachowują się tak, jak w latach 70. Kiedy premier Dolnej Saksonii albo Sigmar Gabriel jadą z wizytą do Rosji i udzielają wywiadu, nie mówią Rosjanom prawdy, tylko zachowują się oportunistycznie, chcą być mili i przyjaźni, chcą współpracować z Rosją i robić z nią interesy. Mówienie prawdy ich nie interesuje.

Łukasz Pawłowski: Ostatecznie wszystko sprowadza się do instytucji. Muszą istnieć instytucje reagujące na problemy, które tutaj omawiamy. Nie jest to wyłącznie

kwestia językowa, nie jest to wyłącznie kwestia obnażenia kłamstw drugiej strony, lecz kwestia instytucji, które wiedzą, do kogo należy się zwrócić w celu rozwiązania problemu. Jak słusznie tutaj powiedziano, to niedobrze, że stosunki z Rosją zrzucamy wyłącznie na barki kanclerz Niemiec. Wszystko sprowadza się do budowy silniejszej Unii, stworzenia instytucji, które będą prowadziły konsekwentną politykę rosyjską niezależnie od tego, kto rządzi w Niemczech, Rosji czy we Francji. W sytuacji braku skoordynowanej polityki Rosja może rozgrywać różnice między krajami europejskimi, tak jak to robi od wielu lat. Moskwa nie dogaduje się z Europą, ponieważ Europa jako całość nie istnieje. Moskwa dogaduje się z poszczególnymi krajami, stosując strategię *divide et impera*. Rosjanie postępują w ten sposób właściwie od XIX w. i nadal tak będzie, dopóki nie zaczniemy przemawiać jednym głosem. Nie ma jednej osoby ani instytucji zobowiązanej do reagowania, kiedy pojawi się jakiś problem na tym froncie.

Katja Gorczyńska: Zdumiewa mnie, że na Ukrainie myślimy tak samo – i to nie jest wyłącznie problem europejski: personifikujemy stosunki z Rosją, utożsamiając ją z Putinem, a to jest zasadniczy błąd. Putin stworzył nieformalny system rządzenia, którym steruje w gruncie rzeczy w pojedynkę. Co więcej, stworzył system społeczny, w którym sama wizja innego typu przywódcy jest nierealna, ponieważ nie ma atmosfery, w której inny typ przywódcy mógłby się pojawić. Co gorsza, Putin stworzył społeczeństwo oparte na nienawiści, szowinizmie, na odwrotności tego, co nazywamy wartościami liberalnymi. Wyobraźmy sobie, że mamy w Rosji autentyczne wybory i Putin jakimś cudem znika, rozplywa się. Jakiego typu przywódcę wybrałoby społeczeństwo rosyjskie? Dokładnie takiego samego.

Putina w wersji 2.0. Problem stosunków z Rosją będzie się ciągnął przez lata, jeśli nie dekady, ponieważ odwrócenie tych wszystkich szkodliwych procesów społecznych jest ogromnym i skomplikowanym wyzwaniem, o którym na Zachodzie w ogóle się nie rozmawia. Moim zdaniem to jest bardzo niebezpieczne, brak strategii dotyczy nie tylko sposobu komunikowania się z Putinem, ale także długofalowego planu na uzdrowienie Rosji.

Karolina Wigura: Podzielam pogląd, że nie mamy do czynienia z problemem językowym, lecz z problemem wartości. Jak u Moliера, Świętoszek nie byłby w stanie oszukać Orgona, gdyby ten nie chciał być oszukiwany. W naszych stosunkach z Putinem powinniśmy zawsze sięgać pamięcią wstecz i przypomnieć sobie, że Rosja ma długą tradycję zakłamywania pojęć, nadawania im nowych znaczeń, czasami zupełnie obcych Europejczykom. Kiedy przyjrzymy się ewolucji rosyjskiej kultury pamięci, to zobaczymy, że takie pojęcia jak „faszysta”, „nazista” i „II wojna światowa” od wielu dziesięcioleci są zakłamywane. Putin oczywiście rozgrywa te kwestie, ale gdyby na jego miejscu był ktoś inny, robiłby to samo – zgadzam się z Katią, że gdyby nie było Putina, rządziłby ktoś taki jak on. Musimy więc zadać sobie pytanie, jaką przyjąć strategię wobec tej konkretnej kultury politycznej czy kultury pamięci, a nie wobec Putina.

Jacek Stawiski: Czy powinniśmy oprzeć naszą politykę zagraniczną na wartościach? Nie wierzę w ten typ polityki, uważam, że polityka zagraniczna powinna być oparta na sile. Musimy powrócić do klasycznych definicji, bo jeżeli tego nie zrobimy, to niczego nie osiągniemy w stosunkach z naszymi partnerami ani przeciwnikami, nie będziemy też w stanie zarządzać kryzysami wewnętrznymi, na przykład

takim, z jakim mamy codziennie do czynienia przez ostatnie kilka tygodni. Zarządzanie siłą, definicja siły, ograniczenia siły – to są problemy, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć w Europie, musimy powrócić przynajmniej do klasycznego słownictwa polityki zagranicznej, bo w przeciwnym razie będziemy zagubieni i świat na nas nie zaczeka. Oczywiście wszyscy się cieszymy, że na czele walki pacyfistycznej, demokratycznej, wolnej i zamożnej Europy z tym gościem na Kremlu stoi Angela Merkel, ale to nie daje nam żadnej odpowiedzi na pytanie, co będzie po odejściu kanclerz Merkel, ponieważ brak polityki siły z każdym dniem wciąga nas coraz głębiej w próżnię.

Asle Toje: Demonizowanie Putina to nie polityka, lecz jej brak. W zupełności się zgadzam z Robertem Cooperem, że należy cierpliwie podważać kłamstwa Rosjan i stać na gruncie fundamentalnych zasad, a jednocześnie unikać deklaracji, że na całym świecie tylko my wyznajemy jakiejś wartości, a wszystkie inne państwa są w jakimś sensie moralne gorsze od nas. Uważam, że jest to niebezpieczna i głupia metoda prowadzenia polityki zagranicznej, ponieważ wymuszamy w ten sposób stworzenie konkurencyjnej ideologii czy konkurencyjnego systemu moralnego – taką konkurencyjną, nacjonalistyczną wizję buduje Putin i jest to wizja absolutnie nie do przyjęcia. Myślę, że taka wizja mogła zaistnieć tylko w Rosji z jej wyjątkową historią. Chciałabym zająć stanowisko pośrednie i wskazać, że helsiński akt końcowy sugeruje również możliwość zawierania istotnych porozumień w ważnych kwestiach, co do których ludzie zasadniczo się ze sobą nie zgadzają; uważam, że nie powinniśmy o tym zapominać, nie powinniśmy wpadać w rozpacz i mówić, że wszyscy Rosjanie są źli, obłąkani itd., że nie sposób się z nimi dogadać.

Popieram koncepcję Roberta Coopera: prowadźmy dialog i spokojnie wytykajmy Rosjanom wszystkie kłamstwa; to jest bardzo nudny aspekt dyplomacji, ale moim zdaniem nie mamy dzisiaj innego wyjścia, ponieważ powiedzmy sobie szczerze, że na żadne ostrzejsze opcje Europa się nie zdecyduje. Kwestia rosyjska pozostaje dzisiaj na marginesie zainteresowania Europy, ponieważ jesteśmy bardzo zaabsorbowani kryzysem imigracyjnym, tak jak wcześniej byliśmy całkowicie zaabsorbowani kryzysem strefy euro, a za rogiem z pewnością czyha kolejny kryzys. Innymi słowy, być może powinniśmy ograniczyć nasze ambicje i przyjąć strategię, która na dłuższą metę przyniesie pozytywne skutki.

Jarosław Pietras: Zaczęliśmy naszą dyskusję od Helsinek, zastanawialiśmy się, czy porozumienie to nadal jest istotne. Wygląda na to, że niezależnie od tematu dyskusja zawsze schodzi na Putina i Rosję. Bez Rosji znacznie łatwiej byłoby stworzyć nowy porządek narodowy, ale system nieuwzględniający Rosji nie miałby sensu, niczego by nie rozwiązywał. Uważam, że Unia Europejska i poszczególne kraje Europy nie powinny definiować swojej polityki wyłącznie przez pryzmat Rosji, że powinny ją opierać na wartościach. Prowadząc politykę opartą na wartościach, będziemy mieli znacznie silniejszą pozycję w negocjacjach. Dzisiaj Rosja nie jest mocarstwem w sensie globalnych wpływów, jest mocarstwem militarnym, to jednak nie znaczy, że ma taki wpływ na umysły ludzi w innych krajach jak kiedyś.

Robert Cooper: Inną kwestią jest, jak ułożyć sobie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. USA popełniły ostatnio wiele głupstw, a wiele krajów europejskich w nich uczestniczyło. Powód zapewne był taki, że USA zapewniają nam

bezpieczeństwo, jesteśmy od nich zależni i chcemy, żeby nadal były gwarantem naszego bezpieczeństwa, ale my również pełniliśmy błędy. Uważam, że wielkim błędem był Irak. Nie umiem powiedzieć, czy wojna w Kosowie była słuszna, ale chyba pozwoliliśmy Amerykanom na zbyt wiele. Rosjanie powiedzieli w tym kontekście wiele kłamstw, a my nie zawsze je prostowaliśmy. Amerykańskie propozycje z 2008 r. o poszerzeniu NATO były głupie, a my, Europejczycy, w tej sprawie nie zrobiliśmy nic. Zaproponowanie członkostwa Ukrainie i Gruzji bez konsultacji z Rosją było niepoważne, a przecież wszystkie państwa europejskie poza Niemcami wyraziły na to zgodę. Zatem z Ameryką również niezbyt dobrze sobie radzimy, musimy podchodzić o wiele poważniej do polityki nie tylko wobec Rosji, ale również wobec Ameryki.

OBSIECZNY MIECZ PROPAGANDY

Kacper Szulecki: Anne Applebaum napisała artykuł o kryzysie krymskim i rozpowszechnionym przekonaniu, że prawda leży pośrodku. Applebaum się z tym nie zgadza, twierdzi, że prawda wcale nie zawsze leży pośrodku i że w niektórych sytuacjach tego rodzaju relatywizm oznacza sprzeniewierzenie się własnym wartościom.

Gulliver Cragg: Zgadza się z tym, że nie możemy tolerować kłamstw, że musimy bardzo rygorystycznie wytykać Putinowi wszystkie kłamstwa. Ale w tym kontekście należy również skrytykować rząd ukraiński, ponieważ podczas gdy Putin nadal podtrzymuje kłamstwo, że na Ukrainie nie ma wojsk rosyjskich, Ukraińcy również kłamią, mówiąc, że nie wysyłają rakiet na okupowane terytoria, że nie mają kontroli nad ochotniczymi batalionami, a przecież bardzo niewiele głosów krytykuje władze ukraińskie za te

konsekwentne kłamstwa. Żeby móc wiarygodnie reagować na kłamstwa Putina, musimy krytykować również Ukrainę, ponieważ nie robiąc z tego, idziemy na rękę tym Rosjanom, Niemcom i Francuzom, którzy domagają się zniesienia sankcji. Nie powinniśmy im dawać tego pretekstu.

Katja Gorczyńska: Dał się pan złapać w pułapkę zastawioną przez Kreml, co jest bardzo niebezpieczne. Jestem przeciwna podejmowaniu tego tematu, ponieważ uważam, że nie jest to istotny problem dla Ukrainy. To Kreml chce, żebyśmy o tym dyskutowali.

Gulliver Cragg: „To Kreml chce, żebyśmy o tym dyskutowali...” – słyszałem ten argument już mnóstwo razy. Nie uważam, że rząd ukraiński jest straszny albo że skrajna prawica odgrywa na Ukrainie bardzo istotną rolę, ale moim zdaniem jest niebezpieczne, że na forach, na których ludzie tak jak ja popierają Ukrainę i są przeciwko Rosji, nikt nie mówi, że Ukraina również ma coś na sumieniu. Uważam za szkodliwe, że nie słyszymy żadnej krytyki wobec Ukrainy z ust rozsądnych ludzi, którzy nie dają się nabrać na rosyjską propagandę.

Katja Gorczyńska: Nie zgadzam się z tym, że Zachód nie wytyka władzom ukraińskim błędów. Taka jest właśnie rola OBWE: monitorować działania obu stron i publikować raporty. Z tych właśnie raportów pan się dowiedział, że rząd wysyła rakiety tam, gdzie nie powinno ich być itd. Jako dziennikarka zgadzam się, że rząd ukraiński zasługuje na krytykę i codziennie go krytykuję, ale jednocześnie skala nagannych zjawisk na Ukrainie, łącznie z kwestią działań skrajnie prawicy, jest znacznie mniejsza w porównaniu do rosyjskich zbrodni. To są rzeczy nieporównywalne. Moim zdaniem jest najzupełniej zrozumiałe, dlaczego Zachód tak niechętnie krytykuje władze ukraińskie.

Gulliver Cragg: Istotą wojny hybrydowej jest to, że Rosja wyzyskuje pewne problemy do dzielenia społeczeństwa ukraińskiego i że wyolbrzymia pewne negatywne zjawiska. Moim zdaniem udawanie, że te zjawiska nie istnieją, nie jest właściwą reakcją. Powinniśmy im przywrócić właściwą miarę, ale nie powinniśmy o nich milczeć. Robert Cooper powiedział, że powinniśmy rygorystycznie obnażać kłamstwa Rosji i odpowiadać na nie prawdą. Warto zwrócić uwagę, że nie taka jest obecna ukraińska strategia wobec Rosji. Ona polega na odpowiadaniu kłamstwami na kłamstwa. To może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego.

Aleksander Smolar: Elity w naszych krajach powinny zmierzyć się z problemem akceptowania kłamstw po to, żeby mieć normalne stosunki z Rosją. Istnieje dialektyczna relacja między siłą, kwestiami gospodarczymi i problemem prawdy. Nasza miękka siła była i jest niezwykle ważnym narzędziem w walce z cynizmem, ale jeżeli mamy się nim skutecznie posługiwać, musimy mówić również o kłamstwach w naszych krajach.

Robert Cooper: W Wielkiej Brytanii zniesliśmy karę śmierci i uważam, że powinniśmy dalej podążać tą drogą. Wielka Brytania niedawno namierzyła jednak i zabiła pewnego obywatela Zjednoczonego Królestwa, którego służby podejrzewały o planowanie przestępstwa. Postąpiono tak jak Rosja z Litwinienką: chociaż przebywa za granicą, możemy go zabić, jeśli chcemy. Moim zdaniem powinniśmy przynajmniej podnieść tę kwestię, zapytać o to nasze rządy. Ja na przykład nie akceptuję tego, co rząd brytyjski zrobił w Libii. Mandat Rady Bezpieczeństwa ONZ obejmował ochronę cywilów. Wytropienie i zabicie Kaddafiego nie kwalifikuje się jako ochrona cywilów.

Od własnych rządów również powinniśmy się domagać przestrzegania norm.

Asle Toje: Twoja postawa, Gulliver, zasługuje na najwyższy szacunek, obawiam się jednak, że twoja argumentacja może wytworzyć swego rodzaju paralełę między agresorem i ofiarą, co byłoby wodą na młyn rosyjskiej propagandy. Rosja zajęła kawałek sąsiedniego kraju i prowadzi na jego terenie nielegalną wojnę – to jest zasadnicza kwestia. Nie możemy wpadać w pułapkę myślenia, że po naszej stronie wszystko jest w porządku, nie możemy pomijać milczeniem kłamstw, które mówimy naszej ludności i Rosjanom, ponieważ zaprowadziłoby to nas w dyplomatyczną ślepią uliczkę. Na przykład okłamaliśmy Miedwiediewa w kwestii rezolucji z 1973 r. dotyczącej Libii. Miedwiediewa głęboko to zbulwersowało i doskonale go rozumiem. Kłamią nie tylko Rosjanie, ale musimy pamiętać, że kłamstwa Rosjan na temat Ukrainy są absolutnie nieporównywalne do różnych grzeszków, które ma na sumieniu rząd w Kijowie. Musimy tutaj zachować właściwe proporcje.

Ulrike Guérot: Niemiecka opinia publiczna generalnie uważa, że Putin jest w porządku. Stosunek Niemców do Putina nie mieści się w głowie. Dochodzi do tego powszechny analfabetyzm historyczny i polityczny. Większość ludzi urodzonych po 1989 r. nic nie wie o Związku Radzieckim. Ten totalny analfabetyzm obejmuje również moich synów. Te tematy to dla wszystkich *tabula rasa*. Kto decyduje, co jest kłamstwem, a co nim nie jest? To w dużym stopniu zależy od tego, do jakiej grupy wiekowej się należy, czy ma się lewicowe czy prawicowe poglądy, w jakim środowisku się wychowywano. Należy do tego dodać banalizację, o której mówiła Viola, od populistycznej

prawicy po skrajną lewicę – krążą różne populistyczne hasła, łatwe rozwiązania na trudne czasy.

Kacper Szulecki: Czeski dziennikarz i dawny dysydent Jakub Patočka zwrócił ostatnio uwagę na dominujące po 1989 r. przekonanie, że ludzie wychowani w paradygmacie wolności to nowe pokolenie, które zastąpiło posowiecką generację *homo sovieticus* i dojrzało do demokracji, ale kryzys ukraiński, a zwłaszcza kryzys imigracyjny pokazał, że jest dokładnie odwrotnie, że mamy do czynienia z pokoleniem moralnych zombie.

Jarosław Kuisz: Myślę, że wielu z tych młodych ludzi ma wizję współczesnej historii jak z filmów Quentina Tarantino. Struktura Unii Europejskiej i doświadczenia ostatnich dekad zawierają pewną wartość, o której rzadko się wspomina, wartość kontrowersyjną, a mianowicie rozproszenie władzy. W Europie stało się to wartością. Mam na myśli rozproszenie władzy zarówno na poziomie wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Chodzi nie tylko o to, jak być demokratą i jak budować społeczeństwo obywatelskie. Niemiecki filozof Odo Marquard napisał esej, w którym wyraził zadowolenie z tego rozdziału władzy między nieskończenie wiele podmiotów, ale oczywiście istnieje pewna granica, po której przekroczeniu nie da się podejmować żadnych decyzji – rozproszenie władzy staje się narzędziem unikania odpowiedzialności, zwłaszcza w polityce zagranicznej. Można krytykować politykę zagraniczną Merkel, lecz wiele krajów europejskich cieszy się z tego, że dzięki pani kanclerz nie musi brać na siebie odpowiedzialności za kryzys ukraiński.

Karolina Wigura: Podniesiona przez Gullivera kwestia hipokryzji to jedno z najważniejszych pytań, na które musimy sobie odpowiedzieć, dyskutując o wartościach

europiejskich czy reakcjach na działania Rosji. Nie chodzi o przekonywanie innych, że tylko my wyznajemy określone wartości, ale o to, żebyśmy byli pewni, jakie mamy wartości i wiedzieli, kiedy je naruszamy. I wreszcie chyba najważniejsza rzecz: Europejczycy są krytyczni wobec swojej kultury, polityki czy historii, co należy do naszych największych atutów, a nie słabości, ponieważ kiedy potrafimy przyznawać się do tego, że od czasu do czasu kłamiemy, że my również nie zawsze dotrzymujemy obietnic itd., to stajemy się silniejsi, ponieważ samokrytyka jest wpisana w naszą cywilizacyjną tożsamość. W demokracjach liberalnych opinia publiczna jest zawsze czujna. Europa może nie jest demokracją liberalną jako taką, ale grupą demokracji liberalnych. Istnieje napięcie między ideałem a rzeczywistością, pomiędzy demokratycznymi i liberalnymi wartościami a praktyką. Rozczarowanie wynika z faktu, że demokracja liberalna bardzo dużo obiecuje, podczas gdy autorytarne reżimy nie składają obietnic związanych z takimi wartościami jak nasze, toteż nie może być mowy o rozczarowaniu.

Aleksander Smolar: To nieprawda, że autorytaryzmy nie rozczarowują. Autorytaryzmy opierają swoją legitymizację na osiągnięciach gospodarczych, muszą zapewnić usługi i towary, a kiedy tego nie robią, są zagrożone. Na tym polega problem władz chińskich i na tym polegał problem krajów bloku wschodniego w Europie. Problem ten wynika z powiązań między twardymi realiami ekonomicznymi a bardziej rozmytą sferą wartości politycznych.

Robert Cooper: Samokrytyka nie przeszkodzi nam w odniesieniu zwycięstwa. Europa ma pewne zalety, jedną z nich jest fakt, że z reguły prowadzimy całkiem sensowną politykę, ponieważ z reguły lokuje się ona gdzieś

pośrodku. Owszem, prawda rzadko leży pośrodku, ale arystotelesowska cnota już tak, unikanie skrajności na ogół przynosi dobre rezultaty. Często się okazuje, że pomiędzy tym, czego chce Wielka Brytania (której żądania często są niedorzeczne), a tym, czego chcą Włochy (których żądania często zupełnie nie mają związku z rozsądkiem) istnieje całkiem dobre rozwiązanie pośrednie. Inną zaletą Europy to jej wytrwałość, umiejętność znajdowania porozumienia po bardzo długich negocjacjach. Wszyscy są rozczarowani Europą. Pro-Europejczycy są rozczarowani sporami, a anty-Europejczycy tym, że Europa zawsze w końcu osiąga porozumienie. Na ogół są to znośne rozwiązania, co w polityce zagranicznej czasem wystarczy – jeśli długo stosujesz znośne rozwiązania, czasem osiągniesz dobry rezultat.

Tłum. Tomasz Bieroń

ROBERT COOPER

brytyjski dyplomata, ekspert i publicysta w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Podczas swojej wieloletniej kariery dyplomatycznej w rządzie Wielkiej Brytanii pracował m.in. w ambasadach w Tokio i w Bonn oraz był doradcą Tony'ego Blaira. Od 2002 r. pracował w strukturach Unii Europejskiej, najpierw w zespole Javiera Solany, potem jako specjalny doradca Catherine Ashton. Członek European Council for Foreign Relations.

GULLIVER CRAGG

dziennikarz, korespondent telewizji France 24 i „The Economist online”.

VIOLA VON CRAMON

doradczyni polityczna ds. Europy Wschodniej, członkini niemieckiej partii Związek 90/Zieloni. W parlamencie niemieckim pełniła funkcję rzeczniczki Zielonych ds. zagranicznych i Unii Europejskiej. Była odpowiedzialna za kwestie związane z Partnerstwem Wschodnim.

KATJA GORCZYŃSKA

dziennikarka śledcza Radia Wolna Europa/Radia Swoboda. Do niedawna zastępczyni redaktora naczelnego ukraińskiego, anglojęzycznego tygodnika „Kyiv Post”. Publikowała także w „The Guardian”, „Wall Street Journal”, „Financial Times” i „The Economist”.

ULRIKE GUÉROT

jedna z założycielek i dyrektorka European Democracy Lab, think tanku zajmującego się przyszłością demokracji w Europie. W 2007 r. założyła berlińskie biuro European Council for Foreign Relations, którym zarządzała przez kolejne sześć lat. W 2013 r. wspólnie z Robertem Menassem opublikowała „Manifesto for a European Republic”, w którym zaapelowała o powołanie Republiki Europejskiej.

JAROSŁAW HRYCAK

ukraiński historyk i publicysta, profesor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie i Uniwersytetu Iwana Franki, redaktor naczelny czasopisma „Ukraina Moderna”.

ŁUKASZ JASINA

historyk i publicysta, szef działu wschodniego „Kultury Liberalnej”, pracownik Muzeum Historii Polski.

JAROSŁAW KUISZ

historyk państwa i prawa, analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”. Adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego i chercheur associé étranger w Institut d’histoire du temps present w Paryżu.

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

sekretarz redakcji i publicysta „Kultury Liberalnej”, z wykształcenia socjolog i psycholog, doktor socjologii.

JAROSŁAW PIETRAS

polski urzędnik państwowy, dyplomata, ekonomista, były minister do spraw europejskich, dyrektor w Sekretariacie Generalnym Rady Unii Europejskiej.

ALEKSANDER SMOLAR

publicysta, politolog, prezes Fundacji im. Stefana Batorego.

JACEK STAWISKI

dziennikarz, szef TVN 24 Biznes i Świat.

KACPER SZULECKI

politolog i socjolog, adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo, członek redakcji „Kultury Liberalnej”. Współtworzy Environmental Studies and Policy Research Institute we Wrocławiu.

ASLE TOJE

norweski naukowiec i publicysta, specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych. Tytuł doktora w tej dziedzinie otrzymał na Uniwersytecie Cambridge. Wykłada w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo. Jest członkiem Norweskiego Instytutu Noblowskiego, instytucji wspierającej Norweski Komitet Noblowski podczas prac nad wyborem laureatów Pokojowej Nagrody Nobla.

KAROLINA WIGURA

historyczka idei, szefowa działu politycznego „Kultury Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”.

CZĘŚĆ II

BLISKI WSCHÓD – CZY TO NASZA WINA?

Z MICHAELEM WALZEREM
ROZMAWIA ADAM PUCHEJDA

Potrzebujemy globalnej policji

Czy państwa zachodnie powinny angażować się w konflikty w innych rejonach świata? „Można interweniować w sposób stanowczy, ale nie można brać na siebie odpowiedzialności budowania demokracji tam, gdzie społeczna i kulturowa baza dla niej nie istnieje”, twierdzi słynny filozof polityki.

Adam Puchejda: Syryjska wojna domowa trwa już prawie cztery lata i nic nie wskazuje na to, by miała się ku końcowi. Co więcej, wraz z pojawieniem się nowych stron konfliktu, takich jak Rosja, realia stają się jeszcze trudniejsze. Co pańskim zdaniem możemy w tej sytuacji zrobić? Powinniśmy w Syrii interweniować czy – przeciwnie – powinniśmy wspomóc Rosję, nawet jeśli Putin wspiera reżim Assada? A może jest już zbyt późno na jakikolwiek ruch z naszej strony i jesteśmy skazani na – jak to pan kiedyś ujął – „przyglądanie się z przerażeniem” biegowi wydarzeń?

Michael Walzer: Obecna sytuacja w Syrii ma już swoją historię. Od początku nie wierzyłem i nadal nie wierzę, że nasi przyjaciele w Syrii – liberalni i świeccy demokraci – zdolni

są do takiej mobilizacji swoich sympatyków, by zwyciężyć w konflikcie. Zawsze sądziłem, tak jak w przypadku Egiptu, że ludzie, o których myślimy jako „tych dobrych”, są bardzo dzielni, ale niezbyt silni. W Syrii nie ma zbyt wielu liberalnych demokratów. Ludzie, których chcielibyśmy wesprzeć, zapewne nie są w stanie wygrać nawet z naszym poparciem, chyba że wysłalibyśmy na miejsce wojsko. Wybór, jaki mamy, nie należy zatem do najprostszych. Wielu Amerykanów, zwłaszcza z prawej strony sceny politycznej, oskarża prezydenta Obamę o chwiejność, hamletyzowanie, ale moim zdaniem takie podejście to racjonalna odpowiedź na zaistniałą sytuację.

Nie sądzi pan jednak, że ta strategia zakończyła się klęską? Polityka Zachodu wobec Syrii przez lata pełna była wahań i wątpliwości, a dzisiejsza sytuacja Syryjczyków jest nie tylko trudna – to bez mała życie w potrzasku. To prawda, ale nietrudno wyjaśnić, dlaczego Stany Zjednoczone, Europa również, miały tak wiele wątpliwości. Nie poradziliśmy sobie ani w Afganistanie, ani w Iraku i teraz brakło nam odwagi, by poważić się na kolejną interwencję. Irak był katastrofą. W gruncie rzeczy oddaliśmy Bagdad w ręce szyitów i w ten sposób prawdopodobnie rozpętaliśmy wojnę domową w całym świecie muzułmańskim, która będzie trwała jeszcze bardzo długo i którą bardzo trudno będzie nam zatrzymać. A wraz z zaangażowaniem Rosji sytuacja staje się jeszcze bardziej zatrważająca. Rosjanie układają się z szyitami – Iranem, Assadem, Hezbollahem – my stawiamy na sunnitów. Kłopot w tym, że tzw. Państwo Islamskie to organizacja sunnicka, której intelektualne korzenie sięgają Arabii Saudyjskiej, będącej teoretycznie jednym z naszych sojuszników! Wygląda więc

na to, że narobiliśmy niezłego bigosu i nikt nie ma ochoty na powtórkę. Stąd też bierze się niechęć Amerykanów do interwencji w Syrii.

Zgoda, ale nawet Barack Obama, który wycofał z Iraku większość amerykańskich wojsk, zadeklarował, że użycie w konflikcie syryjskim broni chemicznej będzie przekroczeniem „czerwonej linii”. Kiedy jednak Assad sięgnął po tę broń, my nadal pozostaliśmy bierni.

Tak, to był błąd. To znaczy błędem nie były słowa o „czerwonej linii”, błędem był brak działania w chwili jej przekroczenia. Powinniśmy byli zareagować w sposób zdecydowany i wysłać nasze wojska. Nie wiem, dlaczego Obama tu ustąpił, nie wiem, jakie powody nim kierowały, ale był to bardzo duży błąd. Niemniej raz jeszcze chciałbym podkreślić, że nie wierzę, iż nawet gdyby doszło do silnej reakcji, „ci dobrzy” byliby w stanie zwyciężyć na polu bitwy – już wtedy tracili przecież ludzi na rzecz Frontu al-Nusry i innych grup muzułmańskich.

Można było wyznaczyć strefę zakazu lotów.

Owszem, strefa zakazu lotów mogła rzeczywiście mieć znaczenie humanitarne, ponieważ nie wpłynęłaby na walki toczące się w innych strefach, chyba że naprawdę zaczęlibyśmy strącać samoloty syryjskich sił powietrznych, co – jak sądzę – mogliśmy zrobić.

I znów Zachód nie kiwnął nawet palcem.

Niestety nie.

Dlaczego? Kiedy ludzie szukają przyczyn, zaczynają się zastanawiać, czy Rosjanie, krytykując Zachód, nie mają

jednak racji? Oskarżają Stany Zjednoczone i NATO, że choć te usta pełne mają frazesów na temat praw człowieka, tak naprawdę nic ich nie obchodzi masakra, do jakiej dochodzi w Syrii, chyba że mogą jej użyć w swojej własnej grze politycznej. Rosjanie mówią zatem, że nie chodzi wcale o powstrzymanie rzekomo agresywnej Rosji, która staje w obronie legalnego rządu Assada, ale o kolejną imperialną krucjatę Zachodu.

Po pierwsze, oczywiście, w polityce nie mamy do czynienia z motywacjami czystymi z moralnego punktu widzenia, a już z pewnością nie w polityce międzynarodowej. Nawet gdy mowa o przypadkach interwencji humanitarnych, ich uzasadnienia są dość złożone. Zatem to prawda, że czasem, w takich miejscach jak np. Rwanda, choć powinniśmy byli interweniować, nie interweniowaliśmy, ponieważ zapewne nie leżało to w naszym interesie. Inaczej jest z interwencją w Kosowie, być może jedną z niewielu prawdziwych interwencji humanitarnych, w której trudno doszukać się jakiegoś drugiego, interesownego dna. Moim zdaniem impulsem dla niej były wydarzenia w Srebrenicy, które wywołały poczucie upokorzenia i wstydu, jakie rzadko występują w polityce. Pojawiło się autentyczne przekonanie, że nie możemy siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się kolejnej tego typu rzezi. Ale to podejście nie zostało dobrze odebrane, budząc protesty radykalnej lewicy, która dopatrywała się w tej interwencji motywów imperialistycznych.

Po drugie, jeśli podejmujemy decyzję o interwencji, musimy zakładać, że reżim, który doprowadził do kryzysu humanitarnego, najprawdopodobniej zostanie w wyniku tej interwencji obalony. Gdybyśmy weszli do Rwandy, jedyną możliwością zatrzymania rzezi byłoby obalenie

rzędu Hutu. Wracając zaś do naszej obecnej sytuacji w Syrii czy Libii, musimy zrozumieć, że w świecie arabskim, jeśli obalimy dyktatora, to nie doprowadzimy do ustanowienia liberalnej demokracji, ale najprawdopodobniej do wybuchu wojny domowej między różnymi ugrupowaniami muzułmańskimi. Obalamy Saddama i mamy chaos. Obalamy Kaddafiego i mamy regionalną i religijną wojnę partyzancką. Próbuje obalić Assada i mamy anarchię.

Zatem może Rosjanie mają rację, dając do zrozumienia, że nie powinniśmy obalać tyranów, nawet tych najbardziej krwawych?

Może. Może nie powinniśmy próbować obalać tyranów, ale kiedy dochodzi do wybuchu wojny domowej, nie możemy ich wspierać. Może największym błędem Amerykanów była zbyt wielka łatwość w mówieniu, że Mubarak lub Assad „muszą odejść”. Może rozwój arabskiej demokracji to bardzo długi proces. Może powinniśmy pomagać na różne sposoby, na przykład wspierając budowę społeczeństwa obywatelskiego w tych państwach, jeśli jest tam miejsce na coś takiego jak społeczeństwo obywatelskie. Ale nie powinniśmy angażować się militarnie. Kiedy wybuchła tzw. arabska wiosna, w artykule opublikowanym na stronie internetowej magazynu „Dissent” napisałem, że w Egipcie doprowadzi ona prawdopodobnie do wybuchu konfliktu między armią a Bractwem Muzułmańskim. Co możemy zrobić w takiej sytuacji? Zbyt ochoczo powitaliśmy Bractwo Muzułmańskie, a teraz zbyt ochoczo bronimy wojskowej dyktatury.

Czy chce pan powiedzieć, że byliśmy naiwni? A może nie tylko naiwni, ale gorzej – bezmyślni, ponieważ

zainspirowaliśmy te ruchy naszym rozumieniem wolnego świata, w którym jest miejsce na wolność słowa, prawa kobiet, demokrację?

To prawda, że dzieci Facebooka w Egipcie, Libii, Syrii itd. zainspirowały się zachodnim modelem uprawiania polityki. Inspiracja płynie z samych trzewi Zachodu. Tyle że ludzie żyjący w świecie arabskim muszą zrozumieć, że nie możemy zaangażować się w akcję wojskową po stronie rebeliantów, dopóki ci nie udowodnią, że są zdolni do walki i że mogą wygrywać.

W latach 40. i 50. XIX w. ukazywało się w Stanach Zjednoczonych pismo pt. „The Democratic Review” [pełna nazwa to „The United States Magazine and Democratic Review” – przyp. red.] redagowane przez Jacksonowskich demokratów, którzy sami określali się mianem radykalnych. Ci ludzie z nadzieją spoglądali na rewolucję 1848 r. i omawiali problem interwencji zbrojnej. Mówili wtedy – rewolucja amerykańska nie powiodłaby się bez pomocy ze strony francuskiej marynarki wojennej, może zatem Amerykanie powinni także wspomóc demokratycznych towarzyszy w Europie?

Jak pan widzi, to jest bardzo stara debata, ale wzorem dla tych ludzi była francuska interwencja w Ameryce z lat 80. XVIII w. Kiedy Jerzy Waszyngton dowiedział, że jest w stanie walczyć przez siedem lat, wówczas francuska pomoc miała uzasadnienie. Interwencja po stronie tych, którzy nie mogą wygrać bez coraz dalej idącego wsparcia, nie ma sensu. Widzieliśmy, jak wyglądało to w Libii, gdzie rebelianci dosłownie nie byli w stanie zrobić kroku naprzód, póki nie zbombardowaliśmy ich przedpoła. Na dłuższą metę podobna taktyka jest nie do utrzymania.

Ale czy po części nie jest to także nasza odpowiedzialność? Tak często mówimy: możecie mieć demokrację, wystarczy, że obalicie swojego despotę. Gdy do tego dochodzi, sami już tylko oglądamy wiadomości. Syryjczycy chcieli obalić Assada, wyszli na ulice, manifestowali, w końcu doszło do wybuchu wojny domowej, ale my nie zrobiliśmy nic, by im pomóc. Jeśli nie zamierzamy reagować, może powinniśmy powiedzieć to na samym wstępie?

Nie powinniśmy czynnie zachęcać do powstań. George Bush senior w Iraku, po pierwszej wojnie w Zatoce, skutecznie zachęcał Irakijczyków do buntów. Powstawali szyici i Kurdowie, a my staliśmy z boku i patrzyliśmy na brutalne represje. Nie powinniśmy byli tego robić. Sprzyjaliśmy wybuchom powstań, których później nie wsparliśmy, co bez wątpienia jest zbrodnią. Moim zdaniem liberalnym demokratom w świecie arabskim powinniśmy mówić jasno: to musi być wasza walka i to wy musicie stworzyć społeczną podstawę dla tego rodzaju polityki. Jeśli nie jesteście w stanie tego zrobić, my nie możemy zrobić tego za was. I powinniśmy to mówić bardzo, bardzo wyraźnie.

W jednym ze swoich tekstów idzie pan jednak znacznie dalej, mówiąc, że kraje takie jak Syria lub Libia nie powinny być suwerenne i niezależne, a przeciwnie – winny być częścią czegoś w rodzaju systemu powierniczego ONZ.

Kiedy państwo upada, jak to się stało z szeregiem państw afrykańskich, kiedy nie istnieje już rząd, który jest w stanie zapewnić fizyczne bezpieczeństwo swoim obywatelom, i kiedy mamy do czynienia z toczącą się wojną domową

lub czymś gorszym od wojny domowej. Często o wojnie domowej myślimy w kategoriach np. amerykańskiej wojny domowej, w której mieliśmy dwie strony, tu zaś mówimy o wojnach, w których tych stron jest sześć lub osiem, a to stan bardziej przypominający anarchię. Zatem kiedy dochodzi do takiej sytuacji, idealnym rozwiązaniem byłoby siłowe wprowadzenie rządów ONZ.

Należałoby zaprowadzić jakąś formę mandatowego rządu okupacyjnego, który w pierwszym rządzie zagwarantowałby fizyczne bezpieczeństwo ludności, a później przeprowadził proces politycznej odbudowy, pamiętając o tym, że jego celem jest jak najszybsze opuszczenie kraju po tym, jak powstanie jakiś rząd krajowy, posiadający na tyle silną polityczną legitymację, by się utrzymać.

Taki proces może zabrać 20, 30, a może i więcej lat.

System mandatowy Ligi Narodów był pomyślany jako coś długotrwałego. Oczywiście, to było i jest rozwiązanie utopijne. Dzisiejsza ONZ nie ma zdolności do zrobienia czegoś takiego, ale moim zdaniem, jeśli mamy do czynienia z radykalnym załamaniem systemu politycznego, pierwszym zadaniem społeczności międzynarodowej powinna być ochrona życia. A najlepszym sposobem na ratowanie życia jest wprowadzenie zawieszenia broni, a później jakiejś formy wojskowej okupacji do czasu, aż będzie można przekazać władzę jakiemuś lokalnemu rządowi, posiadającemu legitymację do rządzenia.

System mandatowy Ligi Narodów spotykał się z zarzutem, że jest kolejną wersją rządów kolonialnych czy imperialnych. Moim zdaniem takim być jednak nie musi, w mojej utopijnej koncepcji byłby bowiem wyposażony w gwarancje, że interwencja ma charakter tymczasowy,

a taka interwencja dla powiernika jest bardziej kosztowna niż korzystna.

Zastanawiam się jednak, czy ten pomysł nie ma charakteru wyłącznie negatywnego. Chcemy chronić nasze wolności, chcemy, by świat, w którym żyjemy, był bezpieczny – skoro więc kraje, które znajdują się poza naszym światem, nie są gotowe, by żyć wedle znanego nam sposobu życia, stwórzmy wokół nich coś w rodzaju osłony i poczekajmy, aż coś się zmieni. Ale to też oznacza, że nie damy tym ludziom żadnej nadziei. Odgradzamy się od nich murem i staramy się zapomnieć. Nie ma zatem nic dziwnego w tym, że ludzie ci przechodzą często na stronę religijnych radykałów, obiecujących im natychmiastowe zbawienie. To kolejna wersja idei zmierzchu Zachodu.

Raczej wersja swoistego liberalizmu strachu, ale pozbawionego strony pozytywnej. Nie damy tym ludziom żadnej nadziei i nie potrafimy natchnąć ich odwagą do działania.

To prawda. Jedną z rzeczy, która była wyraźnie widoczna w konflikcie syryjskim, był brak gotowości Zachodu do utworzenia jakiejś międzynarodowej brygady, która pojechałaby do Syrii walczyć o demokrację. W świecie muzułmańskim takie brygady powstały. Państwo Islamskie to nic innego jak międzynarodowa brygada, której bojownicy pochodzą z 20–30 krajów, dokładnie tak samo jak Brygady Międzynarodowe walczące w Hiszpanii w latach 30. XX w. My nie potrafimy tego zrobić, oni potrafią.

Z drugiej strony, jeśli pomyślimy o takich grupach jak Human Rights Watch czy Lekarze Bez Granic, organizacjach

pomocowych lub którejkolwiek z organizacji pozarządowych, które funkcjonują w miejscach takich jak Syria, zobaczymy, że mamy tu do czynienia z liberalną, nie lewicową, wersją brygad międzynarodowych naszych czasów. Lekarze Bez Granic przedstawiają się jako siła neutralna, która zajmuje się rannymi bez względu na stronę konfliktu, ale zawsze występuje w obronie życia, co czyni ją siłą opozycyjną wobec morderców. Podobnie rzecz ma się z Human Rights Watch i Amnesty International, które czynnie występują przeciwko rządowi despotycznym. Nie przypominają jednak starych komunistycznych lub socjalistycznych partii; nie mogą zmobilizować wielkich rzesz ludzi i wysłać ich na zagraniczną misję wojskową.

Czyli naszym pozytywnym przesłaniem, naszą ideologią dla współczesnego świata jest jakaś wersja polityki nieinterwencji na wzór postawy Gandhiego? Obawiam się, że nie jest to wizja dodająca otuchy.

To przesłanie praw człowieka, ale bez wojny. Nie idziemy na wojnę w imię praw człowieka. Dopuszczamy wszystko poza regularną wojną. Byłem zwolennikiem ustanowienia strefy zakazu lotów nad Kurdystanem i nawet bym ją rozszerzył. To było użycie siły bez odwoływania się do argumentu wojny. Przez 10 lat tydzień w tydzień używaliśmy siły nad północnym Irakiem i moim zdaniem była to słuszna strategia, ponieważ umożliwiła pojawienie się kurdyjskiej demokracji lub ustroju bliskiego demokracji. Ale na dole byli Kurdowie gotowi do walki. Zatem w pewnym sensie mamy tu dwa skrzydła – jedno to nowe brygady międzynarodowe, takie jak Lekarze Bez Granic i Amnesty International; drugie to ograniczona interwencja, kiedy okaże się to konieczne.

Tak miałyby wyglądać pomysły na rozwiązywanie światowych konfliktów?

Pewnie to nie wystarczy, ale te dwa rozwiązania powinniśmy wspierać. Silne społeczeństwo obywatelskie i nie uciekający się do wojny aktywny rząd wspierający rebeliantów, którzy udowodnili, że są w stanie walczyć i wygrywać.

W ONZ poszedłbym jednak znacznie dalej. Byłbym za tym, by powołać do życia pod auspicjami Narodów Zjednoczonych globalną policję, która mogłaby skutecznie interweniować w miejscach takich jak Rwanda lub Syria na zasadzie: zainterweniujemy w celu zakończenia walk i będziemy strzelać do każdego, kto sam nie przestanie strzelać. Byłbym jednak przeciwnikiem rozwiązania, w którym to Ameryka lub NATO pełnią taką funkcję, to musiałaby być siła zorganizowana przez zjednoczoną globalną wspólnotę.

Problem w tym, że stworzenie tego rodzaju zjednoczonej siły graniczy z cudem. Może byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby Amerykanie pełnili jednak rolę światowego policjanta?

Wsparłbym takie rozwiązanie, gdybyśmy robili właściwe rzeczy we właściwych miejscach – tam, gdzie powinniśmy byli interweniować. Gdybyśmy lepiej poradzili sobie w Afganistanie i wygrali – wtedy tak. Gdybyśmy razem z sojusznikami z Europy weszli do Rwandy – odpowiednią siłą operującą w Rwandzie byłyby wojska dawnych potęg imperialnych, nie Stanów Zjednoczonych, wtedy – owszem. Gdybyśmy zamiast w Iraku, w którym w 2003 r. nie dochodziło do żadnych rzezi, zainterweniowali w Darfurze, wtedy – tak, wsparłbym takie rozwiązania.

Innymi słowy, byłbym zwolennikiem tego rodzaju zaangażowania Ameryki, gdybym mógł mieć pewność, że robilibyśmy to we właściwy sposób i we właściwym czasie. Ale nie robimy właściwych rzeczy we właściwym czasie, raz je robimy, a raz nie, niejednokrotnie bez sukcesu. Zresztą nie zawsze z własnej winy. Wielu Irakijczyków przyznaje, że choć amerykańska okupacja była bezmyślna, to Amerykanie umożliwili Irakijczykom stworzenie przyzwoitego systemu politycznego. Rywalizujący ze sobą liderzy, przede wszystkim spośród ugrupowań szyickich, ponieśli jednak klęskę. Fiasko to ich wina.

Niemniej ogólna zasada mówi, że błędem jest wspieranie liberalno-demokratycznych przewrotów tam, gdzie „ci dobrzy” nie są w stanie utrzymać zdobytej w ten sposób władzy i rządzić krajem. Moim zdaniem nie powinniśmy dać się wciągnąć w tego rodzaju politykę. Można zatrzymać rzeź, można powstrzymać użycie broni chemicznej, można interweniować w sposób stanowczy, ale nie można brać na siebie odpowiedzialności budowania demokracji tam, gdzie społeczna i kulturowa baza dla niej nie istnieje.

MICHAEL WALZER

amerykański filozof i intelektualista. Emerytowany profesor w Instytucie Studiów Zaawansowanych (IAS) w Princeton. Redaktor naczelnny magazynu „Dissent”. Pisał między innymi o teorii wojen sprawiedliwych, nacjonalizmie i radykalizmie.

ADAM PUCHEJDA

historyk, teoretyk polityki, literaturoznawca, tłumacz; publicysta i stały współpracownik „Kultury Liberalnej”.

Z EUGENIUSZEM SMOLAREM
ROZMAWIA ŁUKASZ PAWŁOWSKI

USA nie jest już gwarantem wszelkiego bezpieczeństwa

O nowym układzie sił w relacjach NATO–Rosja, Ukrainie i możliwościach polskiej dyplomacji opowiada analityk polityki międzynarodowej Eugeniusz Smolar.

Łukasz Pawłowski: Część komentatorów twierdzi, że na zaangażowaniu Rosji w Syrii Ukraina może paradoksalnie skorzystać. Moskwa nie będzie bowiem w stanie prowadzić dwóch konfliktów jednocześnie, przez co zmniejszy swoje zaangażowanie w Donbasie. Poruszamy się w zbyt dużej sferze niepewności. Po pierwsze, nie wiemy, jakie są rzeczywiste możliwości wojskowe Rosji. Po drugie, nie jest wielkim problemem utrzymanie zaangażowania na Ukrainie na obecnym poziomie – konfliktu *de facto* zamrożonego, mimo że niemal codziennie giną tam ludzie.

Rosja może szachować Zachód na obu frontach?

Mamy do czynienia z dwoma dramatycznymi konfliktami. Nas dotyka w sposób bezpośredni to, co się dzieje na wschodzie Ukrainy, ale wiele krajów europejskich postrzega zagrożenie na południu Europy, na tzw. szerokim

Bliskim Wschodzie, jako znacznie poważniejsze. Wykorzystuje to Władimir Putin, który nie ma możliwości wojskowych czy politycznych, aby doprowadzić do rozwiązania sytuacji w Syrii, ale jest w stanie odgrywać rolę tego, kto po angielsku nazywa się *spoiler* – tego, kto przeszkadza, utrudnia, psuje.

Co tu jednak jest do psucia? Konflikt w Syrii trwa od lat, główne siły znalazły się w klinczu, kraj codziennie jest niszczony, a ludzie giną lub tysiącami uciekają na Zachód. To ogromny problem dla Europy, z którym jednak nie potrafiła nic zrobić.

Rosja angażuje się w konflikt, w którym nie ma żadnych interesów za wyjątkiem utrzymania rządów al-Assada. Pragnie zbudować dla siebie pozycję mocarstwową, do utrzymania której nie jest zdolna ani gospodarczo, ani wojskowo. Trudno sobie wyobrazić, jak Putin mógłby pomóc w samej Syrii, gdzie walczą nie tylko siły wewnętrzne, ale gdzie zaangażowanych jest wiele państw regionu, jak wroga wobec Assada Arabia Saudyjska, pomagający mu Iran, Turcja dążąca do osłabienia Kurdów, no i sami Kurdowie, którzy tylko się bronią. To niewyobrażalnie skomplikowana mozaika interesów. Jeden z analityków stwierdził, że jesteśmy świadkami początku III wojny światowej – między szyitami i sunnitami.

Zakładam, że Putin, decydując się na naloty, miał świadomość własnych ograniczeń i kosztów związanych z takim zaangażowaniem. Musi więc oczekiwać na jakiś ruch ze strony Zachodu, który pozwoli mu wyjść z tego konfliktu zwycięsko. Czego Zachód nie powinien w tej sytuacji robić?

Nad tym pytaniem głowią się dziś najlepsi strategowie z wielu zaangażowanych w konflikt krajów. Działania rosyjskie na terenie Syrii są nadal ograniczone i mogą być bardzo łatwo zawieszane. Interwencja Moskwy ma skłonić Waszyngton do liczenia się z interesami Rosji, a te lokują się głównie na terenie postsowieckim. Czyli wracamy do Ukrainy. Syria to wytrych do rozstrzygnięć, które są bliższe domu. Putin postępuje trochę jak Napoleon, gdy zdecydował się wkroczyć do Egiptu, mówiąc: „wchodzimy, a potem się zobaczy”.

Rosyjski prezydent wydaje się dobrym taktykiem, ale jego działaniom nie przyświeca długofalowa strategia, z wyjątkiem kilku ogólnych celów, z których najważniejszymi są ograniczenie swobody działania Waszyngtonu na świecie oraz osłabienie spójności sojuszu zachodniego.

Zapytam więc inaczej – czy w odpowiedzi na rosyjskie naloty w Syrii także Stany Zjednoczone powinny bardziej zaangażować się w ten konflikt?

Wśród polityków w Waszyngtonie nie ma wielu chętnych do większego zaangażowania wojskowego, a tym bardziej do wysłania żołnierzy na teren Syrii. Nie wydaje mi się, żeby Stany Zjednoczone, które były w sposób oczywisty zaskoczone posunięciem Putina, uznawały je za jakoś szczególnie niebezpieczne dla szeroko pojętych interesów Zachodu w regionie.

Co w takim razie zrobi Zachód – poczeka?

W tym momencie w grę mogą wchodzić wszelkie rozwiązania. Czysto teoretycznie, jeśli Rosja osiągnie umiarkowane sukcesy, może być postrzegana jako partner mający bezpośrednią linię dotarcia do Assada i zdolny skłonić

go do przyjęcia kompromisowych rozwiązań, które będą akceptowalne również dla innych ugrupowań w Syrii, poza oczywiście radykalnymi islamistami. Pojawiają się takie nadzieje. Ja sam zachowuję bardzo daleko idący sceptycyzm.

Ale jak te nadzieje pogodzić z tym, co usłyszeliśmy podczas szczytu ONZ, gdy Barack Obama wygłosił mocne i skierowane przeciwko Rosji przemówienie, w którym wyraźnie powiedział, że pierwszym warunkiem rozmów pokojowych jest usunięcie obecnego syryjskiego reżimu. Nie wierzy pan, że prezydent Obama dotrzyma słowa?

Retorykę przywódców należy traktować jako fragment prowadzonej polityki zagranicznej, nakreślenia pewnych celów, które – gdy zmienią się okoliczności – wcale nie muszą być zrealizowane. Wyobrażam sobie, że Assad mógłby podzielić los prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Po porozumieniach z opozycją – podpisanych dzięki wspólnej akcji szefów dyplomacji Polski, Niemiec i Francji – Janukowycz miał rządzić jeszcze kilka miesięcy, a następnie miało dojść do nowych wyborów prezydenckich i regulowanej ustaleniami zmiany. W przypadku Syrii takie rozwiązanie byłoby do zaakceptowania przez Stany Zjednoczone – bo Assad odchodzi – ale i przez Rosję, bo obecna elita zachowa udział w przyszłych władzach. Problem w tym, że w tej wojnie jest kilkunastu innych aktorów.

Kryzys w Syrii jest nie do rozwiązania na drodze militarnej. Poszukuje się rozwiązania politycznego, dlatego przypuszczam, że mimo retoryki Obamy na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, nie można wykluczyć porozumienia, w którym Rosja może odegrać jakąś rolę.

Sytuacja byłaby inna, gdyby Waszyngton wcześniej zdecydował się na bardziej zdecydowaną interwencję, choćby dwa lata temu, kiedy stało się jasne, że prezydent Assad wykorzystuje w walce broń chemiczną. Barack Obama zapowiedział podjęcie działań, a następnie się z obietnicy wycofał.

Po doświadczeniach z interwencjami prezydenta George'a W. Busha poważna część elity waszyngtońskiej – przede wszystkim związanej z Partią Demokratyczną, ale nie tylko – doszła do wniosku, że są konflikty, których nawet Stany Zjednoczone nie są w stanie rozwiązać. Bez wątplenia do takich, zdaniem Obamy, należy Syria. Doświadczenie interwencji w Libii również jest niezmiernie interesujące, ponieważ tam państwa zachodnie popełniły błąd, którego miały już nigdy po Afganistanie nie popełniać: obaliły dotychczasowe władze al-Kaddafiego, a później nie zaangażowały się na tyle, aby zapewnić stabilizację oraz kontrolowane przemiany polityczne. Sprawdziło się i to stare powiedzenie, wedle którego można łatwo użyć bagnetów, ale trudno na nich siedzieć.

Obamę błędnie określa się jako pacyfistę, podczas gdy on – mimo otrzymania pokojowej Nagrody Nobla – nie zawsze jest szczególnie pokojowo nastawionym dżentelmenem. Inaczej jednak niż jego poprzednik definiuje możliwości rozwiązania przez Stany Zjednoczone wybuchających na świecie konfliktów. To sytuacja dla nas nowa i niezwykle groźna, gdyż do tej pory wydawało się, że Stany Zjednoczone są gwarantem wszelkiego bezpieczeństwa – zarówno regionalnego w Europie, jak i globalnego. Dziś okazuje się, że jest pewien typ konfliktów, przy których Waszyngton czuje się równie bezradny jak wszyscy inni.

Niektórzy twierdzą, że polityka prezydenta Obamy jest konsekwentna i polega na ograniczaniu zaangażowania Stanów Zjednoczonych w regionie, po to, by więcej odpowiedzialności za swoje bezpieczeństwo wzięła m.in. Unia Europejska. Czy pana zdaniem ta strategia ma szanse powodzenia?

Takie rzeczy wymagają czasu. Europa przez lata korzystała z tzw. dywidendy pokoju (*peace dividend*) oraz parasola nuklearnego USA i przyzwyczaiła się do myśli, że tak będzie zawsze. Niestety, wiele wskazuje na to, że Stany Zjednoczone, które same borykają się z trudnościami i mają kłopot z modernizacją własnej infrastruktury, takiej jak drogi, mosty, szkoły itd., będą musiały i w przyszłości ograniczać budżet wojskowy. Amerykanie opierają swoje wpływy na sieci powiązań i sojuszy na całym świecie – od Japonii i Australii, przez Kanadę, po Europę – i słusznie oczekują, że ci sojusznicy, którzy korzystają z ich gwarancji nuklearnych, wezmą na siebie przynajmniej część odpowiedzialności za rozwiązania kryzysów lokalnych.

Czy ta strategia zmieni się po wyborach prezydenckich, w których najpewniej zwycięży polityk o bardziej euroatlantyckiej orientacji, jak np. Hillary Clinton lub Jeb Bush? A może wycofanie się USA z Europy jest zjawiskiem nieodwracalnym?

Bliżej by mi było do tej drugiej hipotezy, gdyby nie atak Rosji na Ukrainę. Niezależnie od tego, jak się tam potoczą wydarzenia, stosunki z Rosją zmieniły się na bardzo długo. Doszło do zmian w strategii USA i NATO. Równocześnie informacje, które pozyskujemy z Waszyngtonu, sugerują, że Obama jest osobiście odpowiedzialny za decyzję o niezodbraniu armii ukraińskiej. Podjął ją wbrew radom

płynącym m.in. z Departamentu Obrony i Stanu oraz opinii większości w Kongresie. Prezydent USA odgrywa więc decydującą rolę, jednak jeśli chodzi o sytuację na Bliskim Wschodzie i stosunek do bezpieczeństwa Europy, nacisk na większe zaangażowanie sojuszników będzie kładziony niezależnie od tego, kto zamieszka w Białym Domu.

2 października 2015 r. w Paryżu odbyło się kolejne spotkanie Rosji, Niemiec, Francji i Ukrainy w sprawie wojny w Donbasie. Jakie stanowisko powinien przyjąć Zachód w rozmowach z Rosją?

Podstawą powinna być integralność terytorialna i suwerenność państwa ukraińskiego.

O jakiej integralności pan mówi? Krym został już zajęty i – jak twierdzi chociażby Fiodor Łukianow – Rosja z pewnością go nie odda.

Rząd w Kijowie nie ma żadnych złudzeń co do tego, że Krym można dziś odebrać Rosjanom przy pomocy środków militarnych. Nikt się na taką wojnę pisać nie będzie. Ale jest rzeczą niezwykle istotną, by pryncypialny stosunek do poszanowania integralności terytorialnej został zachowany. Stany Zjednoczone uznawały niepodległość państw bałtyckich przez wszystkie lata komunizmu.

To co wydarzyło się na Krymie i działania wojskowe we wschodniej Ukrainie są traktowane nie tylko jako zagrożenie dla państwowości ukraińskiej, ale dla całego bezpieczeństwa europejskiego. Negocjacje z Rosją toczą się więc na dwóch poziomach – długofalowym, ale także na poziomie łagodzenia bieżącego konfliktu, przywracania stabilności oraz zapewnienia rozwoju gospodarczego tego regionu, który przeżywa zapaść gospodarczą, społeczną

i humanitarną. Chodzi o stworzenie Ukrainie szansy na pozytywne zmiany polityczne, wojskowe i gospodarcze.

Czy nie obawia się pan, że przywódcy Francji i Niemiec będą obecnie bardziej skłonni do kompromisu? Pozycja kanclerz Angeli Merkel wydaje się zachwiana w wyniku kryzysu związanego z napływem uchodźców. Notowania prezydenta Francji są jeszcze słabsze. A poza tym sama Unia boryka się z licznymi innymi kryzysami, bo obok Syrii i Ukrainy pojawia się widmo wyjścia Wielkiej Brytanii z UE czy kolejna odsłona kryzysu finansowego w którymś z krajów strefy euro. W takiej sytuacji rośnie pokusa, by choć jedno źródło problemów wyeliminować.

Nie można tego wykluczyć, ale Angela Merkel – której władza moim zdaniem pozostaje niezachwiana – i mający kłopoty Hollande doskonale zdają sobie sprawę, że wyrażenie zgody na to, by Putin osiągnął swoje cele we wschodniej Ukrainie, mogłoby zachwiać całą strukturą UE i stosunków transatlantyckich, ponieważ są kraje, które się na to nie zgodzą, m.in. USA czy Polska. Ponadto, paradoksalnie, zaangażowanie Rosji w Syrii wywołało wściekłość we Francji, co musiało pogłębić nieufność wobec Putina i jego celów. Zwiększyła się szansa na przedłużenie sankcji.

Jak Polska ma się odnaleźć w tej skomplikowanej układance? Prezydent Andrzej Duda krytykuje rząd PO za odmienny od innych państw Grupy Wyszehradzkiej głos w sprawie uchodźców. Ale, jak wiemy, w relacjach z Moskwą z tymi krajami również nie jest nam po drodze.

Grupa Wyszehradzka jest tylko jednym z kilku punktów odniesienia dla polskiej dyplomacji. W wypadku prezydenta Dudy trudno powiedzieć jeszcze, jaka będzie jego polityka. Przypomnę, że ledwie kilka dni przed skrytykowaniem rządu za decyzję w sprawie uchodźców, podpisał z licznymi prezydentami i szefami rządów, łącznie z prezydentem Niemiec, apel o konieczności pomocy uchodźcom! Polityka zagraniczna prezydenta Dudy to wciąż sprawa otwarta, a obecne decyzje podlegają perspektywie zbliżających się wyborów.

Poza tym zawsze, kiedy mówimy o rozstrzygnięciach europejskich, obok Unii powinniśmy wymieniać Sojusz Północnoatlantycki. A tak się składa, że kraje, które w ramach UE wykonują gesty sugerujące zbliżenie z Rosją ze względu na interesy gospodarcze – mówię tutaj chociażby o premierze Orbánie – gdy dochodzi do kwestii bezpieczeństwa i roli NATO, głosują tak jak Polska i pozostali sojusznicy.

Co w takim razie możemy zrobić dla poprawienia położenia Ukrainy, a tym samym swojego?

Polska nie jest istotnym aktorem, między innymi dlatego, że nie inwestuje w to, by takim aktorem być. A miejsce przy stole – mówiąc brutalnie – należy sobie kupić. Tymczasem nasze wydatki na pomoc dla innych krajów są *per capita* znacznie niższe niż chociażby Czech, o krajach zachodnich nie wspominając. Jeśli więc nie jesteśmy w stanie dostarczyć namacalnej pomocy finansowej, nie można oczekiwać, że tylko dlatego, że leżymy geograficznie blisko Ukrainy, najważniejsi aktorzy tego sporu dopuszczą Polskę do udziału w negocjacjach. Rosja się sprzeciwia, a Ukraina liczy głównie na Waszyngton, Berlin i Paryż.

O co w takim razie możemy walczyć?

Najważniejszym celem polskiej dyplomacji powinno być zachowanie jedności Unii i NATO w dwóch sprawach – po pierwsze w utrzymaniu sankcji wobec Rosji, a po drugie w skutecznej pomocy dla Ukrainy. W ten sposób dobrze służyliśmy strategicznym interesom bezpieczeństwa Ukrainy, całej Europy i swoim własnym.

EUGENIUSZ SMOLAR

specjalista od spraw międzynarodowych. Były wieloletni dyrektor Sekcji Polskiej BBC, pracuje jako senior fellow w Centrum Stosunków Międzynarodowych.

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

sekretarz redakcji i publicysta „Kultury Liberalnej”, z wykształcenia socjolog i psycholog, doktor socjologii.

ASLE TOJE

Czego Rosja szuka w Syrii?

Pod koniec września 2015 r. Władimir Putin odwiedził ONZ pierwszy raz od dekady i przyćmił wszystkich, łącznie z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

W przemówieniu rosyjski przywódca ostrzegął przeciwko „prowadzeniu gier z terrorystami” i podkreślał, że islamistom w Syrii można stawić czoła jedynie na drodze militarnej. Słyszeliśmy wiele wyjaśnień, dlaczego Moskwa wysłała korpus ekspedycyjny do Syrii. Najbardziej leniwe intelektualnie spośród nich krąży wokół syryjskiego miasta portowego Tartus – jedynej bazy morskiej na Morzu Śródziemnym, która pozostaje w posiadaniu Rosji. Nie jest ona jednak tak ważna jak się wydaje. Alternatywy dla tej bazy gotów jest dostarczyć Cypr.

Chodzi więc o coś poważniejszego. Syria jest dla Moskwy okazją do potwierdzenia statusu globalnej potęgi, a to dzięki możliwości wywierania wpływu na tereny odległe od rosyjskich granic. Rosyjsko-syryjskie kontakty mają bardzo długą historię. Świat arabski był jedną z kilku aren, na których Sowietci w czasie zimnej wojny z powodzeniem budowali trwałe relacje

partnerskie – i do tej pory mają zaskakująco dobre notowania w tym regionie.

Ta interwencja jest więc prawdopodobnie rodzajem ostrzeżenia. Pozycja Rosji jako drugiego największego na świecie eksportera broni jest dziś zagrożona. Gdy piszę ten artykuł, Moskwa wysłała już do Syrii 28 myśliwców Suchoj, podobną liczbę helikopterów bojowych, a także nieznaną liczbę czołgów T-90. Stany Zjednoczone w ciągu ostatniej dekady miały wiele okazji do „prezentowania” swoich produktów na Bliskim Wschodzie – Rosja do tej pory takiej sposobności nie miała.

Rosyjski kontrakt na broń z reżimem Baszara al-Assada wart jest ok. 4 mld dolarów – w znacznej części jest jednak dany na kredyt. Reżim Assada balansuje na granicy upadku, co rodzi obawy, że nie będzie go w stanie spłacić. Tak było w przypadku Iraku, gdzie Moskwa musiała spisać na straty 8 mld długu reżimu Saddama Husajna. To dlatego Rosjanom zależy na tym, żeby Assad, a przynajmniej jego przedstawiciele byli obecni przy negocjacjach pokojowych, o ile w ogóle do nich dojdzie.

Rosjanie rozpoczęli również budowę koszar wojskowych, które będą mogły pomieścić dodatkowe siły, prawdopodobnie brygadę piechoty morskiej. W jakim celu Rosjanie chcą zaangażować żołnierzy? W tej kwestii pojawiają się trzy rodzaje przypuszczeń.

Pierwsza hipoteza, „przewidywalna”, mówi, że Rosja, sprowokowana początkowymi sukcesami, na jakie pozwoli jej przewaga technologiczna, zostanie wciągnięta w coraz cięższe walki, a następnie w niemożliwą do wygrania asymetryczną wojnę. Mało prawdopodobne? Stany Zjednoczone zdecydowały się na okupację Iraku, mimo własnych doświadczeń z Wietnamu. Znał je także doskonale

Związek Radziecki, najeżdżając Afganistan i angażując się w długotrwały konflikt.

Kolejny scenariusz, nazwijmy go „obronnym”, zakłada, że siły zbrojne zostaną zaangażowane po to, aby zapobiec upadkowi Damaszku, co jest obecnie prawdopodobne. Siły powietrzne NATO ze zrozumiałych względów nie chcą wejść w rolę wojsk wspierających reżim Assada. Może właśnie dlatego Rosja wysłała swoje myśliwce, przeznaczone jednak oryginalnie głównie do walki z innymi celami powietrznymi. Spośród aktorów syryjskiego konfliktu możliwości interwencji mają jedynie Zachód i Rosja.

Scenariusz „ofensywny”, a tym samym najbardziej „putinowski”, zakłada, że Rosja przygotowuje pojedynczą ofensywę, mając na uwadze jeden cel – Ar-Rakkę, stolicę islamistów w Syrii. Jeżeli to miasto upadnie, Państwo Islamskie straci swoje centrum, a rywalizujące z nim siły bojowników zyskają szansę na jego pokonanie. Jeśli Zachód zdecyduje się wesprzeć Rosję, angażując własne siły powietrzne do zablokowania islamistom drogi odwrotu, Państwo Islamskie może szybko stać się zaledwie „islamistyczną wysepką”.

Rosja kieruje się własnym interesem w dążeniu do ustabilizowania sytuacji w Syrii. Zahartowani w bojach dżihadysty stanowią większe zagrożenie dla pobliskiej Rosji niż dla Stanów Zjednoczonych. Rosjanie wychodzą z założenia, że reżim Assada ma większe szanse na ustabilizowanie sytuacji w regionie niż tylko z pozoru umiarkowana syryjska opozycja.

Niezależnie od naszej oceny sytuacji, wydaje się, że Rosja stała się graczem niezbędnym do rozwiązania konfliktu w Syrii. Dzięki wzmożonej obecności w regionie Rosja „kupiła sobie” miejsce przy stole negocjacyjnym.

A jako że siły Assada są zbyt nadwątłone, aby utrzymywać obszary podbite przez swojego „patrona”, Rosja w tej roli prawdopodobnie wykorzysta swe osiągnięcia, by wpływać na rozwiązanie negocjacyjne.

Państwa Zachodu znalazły się w wyjątkowej dla siebie sytuacji – oto porozumienie może zostać zawarte, ale bez nich w decydującej roli przy negocjacyjnym stole. Ten przykry fakt może jednak okazać się niewystarczający, by Zachód zechciał skoordynować swoje działania z Moskwą. Aby tak się stało, stosunki z Kremlm musiałyby ulec pewnej normalizacji. A jak wiemy – pozostają one zamrożone od kiedy Rosja zajęła należący do Ukrainy Krym.

Zachodnie sankcje uderzyły jednak w Rosję bardziej niż przewidywano – przede wszystkim dlatego, że zbiegły się ze spadkiem cen ropy naftowej i spowolnieniem w gospodarce światowej. Putin nie poradzi sobie będąc w permanentnej izolacji, ale mimo to nie chce zrezygnować ze swej polityki. Związek rosyjskiej aktywności w Syrii z sytuacją na Ukrainie potwierdzają dane z raportów informujących o malejącym poparciu dla prorosyjskich separatystów we wschodniej Ukrainie.

Militarnie silny, lecz ekonomicznie i dyplomatycznie słaby podmiot międzynarodowy, taki jak Rosja, może dobrze wykorzystać swoje mocne strony, wyłącznie wtedy, gdy staje naprzeciwko aktora (lub aktorów) dyplomatycznie i gospodarczo równie silnych, lecz militarnie słabych lub niechętnych do zaangażowania swoich sił. Nic dziwnego więc, że Moskwa działa w ten sposób.

O tym, jak słabo radzi sobie Zachód w rozwiązywaniu syryjskiego kryzysu, wiele mówi nam fakt, że liczne głowy państw obecne na obchodach 70. rocznicy powstania

ONZ wydają się wierzyć Putinowi na słowo i życzą mu w Syrii powodzenia.

Tłum. Łukasz Pawłowski

ASLE TOJE

norweski naukowiec i publicysta, specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych. Tytuł doktora w tej dziedzinie otrzymał na Uniwersytecie Cambridge. Wykłada w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo. Jest członkiem Norweskiego Instytutu Noblowskiego, instytucji wspierającej Norweski Komitet Noblowski podczas prac nad wyborem laureatów Pokojowej Nagrody Nobla.

KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA

Syryjskie psy ogrodnika

Nie twierdę, że rosyjski pomysł na Syrię jest realny i optymalny. Uważam jednak, że prawo do krytyki przysługuje tym, którzy sami coś robią, a nie kibicują z boku.

Od kilku dni po sieci krąży dowcip – rozpisany co do minuty plan dnia Syryjczyków mieszkających w Damaszku: 8.00 nalot amerykański, 8.54 nalot rosyjski, 9.30 nalot francuski, a pół godziny później, brytyjski. Potem godzinna przerwa na kawę, a w południe ciąg dalszy bombardowań, tym razem na obywateli spadają syryjskie bomby beczkowe. Później lunch i konferencja prasowa syryjskiego ministra spraw zagranicznych Walida al-Mu'allima, której celem jest podkreślenie, że Syria jest państwem suwerennym. Plan dnia powtarza się codziennie, a raz w tygodniu przydarzają się dodatkowe naloty – tym razem bombarduje Izrael.

Przedstawiony powyżej plan dnia można by z pewnością rozbudować o kolejne państwa (choćby państwa Zatoki Perskiej, zwanej Arabską) i kolejne elementy tej wojennej układanki: dostarczanie sprzętu wojskowego

i innego wyposażenia, szkolenia, wsparcie finansowe etc. Prawie każdy liczący się gracz wspiera tu swoją ekipę, tyle że jedni robią to oficjalnie, a inni półoficjalnie, a nawet potajemnie. Chyba tylko Chiny trzymają się tradycyjnie z boku.

Oczywiście można zapuścić się w tę płataninę interesów, motywacji i celów strategicznych, czyli starać się określić, kto z kim i po co prowadzi tę wojnę. O ile ktokolwiek to jeszcze pamięta. Owszem, wiemy, że wszystko zaczęło się w 2011 r. na fali masowych protestów w państwach arabskich określanych jako „arabska wiosna ludów”. Pokojowe demonstracje Syryjczyków, którzy również uwierzyli, że mają szansę na zmianę reżimu, zostały brutalnie stłumione. Wkrótce rozpoczęła się wojna domowa, która trwa już ponad cztery lata. Choć wojna domowa nie jest w tym wypadku najlepszym określeniem, gdyż to wiązałoby się z założeniem, że to sami Syryjczycy mają na tyle sił i środków, aby prowadzić bratobójczą walkę. Znacznie celniejszym określeniem jest „wojna zastępcza”, w której za sznurki pociągają w dużej mierze obce siły.

Ich poziom zaangażowania w konflikt syryjski najlepiej określa frazeologizm o psie ogrodnika. Z jednej strony nie angażują wystarczająco dużo sił i środków, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Z drugiej zaś nie odpuszczają, starając się za wszelką cenę utrzymać swoją pozycję w tej wyniszczającej grze. Czym tłumaczyć ów grzech zaniechania? Może nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności zwycięzcy, gdyż wiązałoby się to z koniecznością zaprowadzenia w zburzonym i podzielonym kraju nowego ładu. Nie trzeba daleko szukać, aby stwierdzić, że jest to bardzo trudne – przykład Libii pokazuje, że nie wystarczy obalić dyktatora i myśleć, że

dalej jakoś samo się ułoży; przykład Iraku także ilustruje, że z demokracją jest jak z krową na grzędzie – nawet jeśli ją tam na siłę usadzimy, jaja nie zniesie. A może Syria nie jest dla nikogo aż tak dużo warta? Poza samymi Syryjczykami, rzecz jasna.

Mentalność psa ogrodnika zadziałała także ostatnio w związku z rosnącym zaangażowaniem Rosji w syryjski konflikt. To nic, że międzynarodowa koalicja nie była w stanie przez kilkanaście miesięcy nalotów z powietrza w znaczący sposób zmienić układu sił na terenie Syrii i Iraku. To nic, że nikt nie chciał zaangażować w konflikt sił lądowych (tyle przynajmniej udało się nam nauczyć). Liczy się to, że Rosja, przy współpracy Iranu i reżimu Baszara al-Assada, wkroczyła do akcji i to z przytupem. Od kilku dni znowu mówi się o bombardowaniach na terenie Syrii, tym razem rosyjskich. Informacje są sprzeczne – Rosjanie chwają się, że chirurgicznymi ruchami unieszkodliwiają strategiczne pozycje tzw. Państwa Islamskiego, a Zachód i Arabia Saudyjska alarmują, że celem rosyjskich rakiet znacznie częściej są ugrupowania opozycyjne walczące z reżimem al-Assada. Gdy Turcja zaczęła rozprawiać się z Kurdami przy okazji przystąpienia do koalicji przeciw samozwańczemu kalifatowi, głosy sprzeciwu były znacznie cichsze.

Nie twierdzę, że rosyjski pomysł na Syrię jest realny (tzn. że ktoś faktycznie go opracował i nie chodzi tu tylko o bicie piany, czyli podtrzymanie swojej pozycji w regionie) i optymalny (w przypadku wygranej al-Assada ciężki los czeka ugrupowania opozycyjne). Uważam jednak, że prawo do krytyki przysługuje tym, którzy sami coś robią, a nie kibicują z boku. Pomysłu na Syrię nadal nie ma. Nie ma ogrodnika. Zostały tylko psy.

KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA

dr ekonomii, islamolog, adiunkt w Zakładzie Socjologii
Ekonomicznej (Szkoła Główna Handlowa), członek
redakcji „Warsaw Forum of Economic Sociology” oraz
„Bliski Wschód”.

Europa, uchodźcy i światowy porządek

O tym, jak państwa europejskie powinny radzić sobie z masowym napływem uchodźców oraz czy Unia Europejska rozpadnie się pod naporem czekających ją wyzwań, rozmawiają Robert Cooper, Adam Garfinkle, Ulrike Guérot, Sylvie Kauffmann, Adam Daniel Rotfeld, Asle Toje i Jarosław Kuisz.

Jarosław Kuisz: Czy niebawem przywrócimy ścisłą kontrolę osób przekraczających granice w Unii Europejskiej? Podczas uroczystej konferencji prasowej prezydent Francji, François Hollande, stwierdził, że jeśli przydzielone odgórnie kontyngenty imigrantów nie zostaną zaakceptowane przez państwa Europy Wschodniej, skutkiem może być rozpad strefy Schengen. Warto może zatem otwarcie postawić pytanie: czy w obliczu aktualnego kryzysu jesteśmy gotowi zrezygnować z tak wielkiego osiągnięcia, jakim jest możliwość swobodnego przemieszczania się po Starym Kontynencie?

Adam Daniel Rotfeld: Kogo mamy na myśli, gdy mówimy „my”? My, Europejczycy? My, przywódcy Europy? My,

przedstawiciele Europy? Mieszkańcy Europy na pewno chcą utrzymać strefę Schengen i wiele innych osiągnięć Unii Europejskiej, ale nie mają pojęcia, jak to zrobić. Pod koniec sierpnia Donald Tusk wygłosił na Forum Strategicznym w słoweńskim Bled ważne przemówienie. Mam jednak zastrzeżenie do jego stanowiska, że nie potrzebujemy żadnej aksjologii, żadnej wizji. Dla niego aksjologia to czysta teoria, filozofia polityczna, podczas gdy Europa potrzebuje wyłącznie wdrożenia tych rozwiązań, które już mamy. Obawiam się, że jest to podejście dominujące wśród politycznych przywódców w Unii.

Jarosław Kuisz: Z czego ono może wynikać?

Adam Daniel Rotfeld: Wydaje mi się, że z kilku źródeł. Po pierwsze, dość często we wszystkich międzynarodowych instytucjach – w tym Unii Europejskiej – z perspektywy ludzi głęboko zaangażowanych w wewnętrzne sprawy organizacji świat zewnętrzny staje się w pewnym sensie niepotrzebny lub „problematyczny”. Wierzą, że organizacja powinna funkcjonować zgodnie z decyzjami, normami i procedurami, które są logiczne, spójne i eleganckie. Problem w tym, że żyjemy obecnie w bardzo burzliwym świecie.

Po drugie, nie potrafią powiedzieć, czy jesteśmy gotowi utrzymać Schengen oraz inne instytucje europejskie. Zależy to od polityki wszystkich państw europejskich. Unia nie jest państwem federalnym, ale związkiem państw. To nie przypadek, że najwyższe stanowiska w dziedzinie wspólnej polityki zagranicznej czy obronnej, jak również wiele innych ważnych funkcji trafia do osób, które z założenia nie są w stanie rywalizować z narodowymi ministrami czy premierami wielkich mocarstw. Zwykle są to

kompetentni, bardzo dobrze wykształceni politycy, ale to nie oni podejmują ostateczne decyzje. Często nie mają nawet takich ambicji, ponieważ decyzje wciąż pozostają domeną władz poszczególnych państw.

Sylvie Kauffmann: Czy to nie jest oznaką problemów strukturalnych w Unii Europejskiej, która ma tendencję do stawiania wozu przed koniem? Mieliśmy problem z euro, ponieważ wprowadzono wspólną walutę bez wcześniejszego budowania wspólnej polityki gospodarczej. Stworzyliśmy strefę Schengen, ale zapomnieliśmy o zbudowaniu jednolitej polityki azyłowej. Skutek jest taki, że znów po omacku szukamy rozwiązania.

Robert Cooper: Nie wiem, na ile poważnie mówił prezydent Hollande. Europa bez Schengen byłaby zupełnie innym miejscem. Jakikolwiek decyzje o wprowadzeniu właściwych kontroli na granicach należy więc podejmować z najwyższą ostrożnością. Wypowiedź prezydenta odczytuję więc bardziej jako metaforę pokazującą wagę problemu oraz jako krytykę odmowy rozwiązania go jak dotychczas, na poziomie europejskim.

Prawdą jest to, co powiedział Adam Rotfeld, że UE zawsze sprawia wrażenie, jakby tworzyła potężne instytucje, a następnie dbała o to, by nie działały poprawnie. Ale na dłuższą metę te instytucje działają. To jest wspólnota prawa, a w dłuższej perspektywie prawo zwycięża. Taka droga jest czasochłonna, ale jak na razie okazało się, że w logice działania instytucji spoczywa duża siła.

Sylvie Kauffmann: Ale są też społeczeństwo obywatelskie i jego działania. Widzieliśmy to w Niemczech, gdzie społeczeństwo bardzo aktywnie wspierało decyzję o przyjęciu większej liczby uchodźców.

Jarosław Kuisz: Angelę Merkel zaczęto nawet nazywać „moralnym przywódcą Europy”.

Ulrike Guérot: Jako Niemka mogę jedynie powiedzieć, że to niezwykle, jak szybko Niemcy odeszły od państwa oskarżanego o dokonywanie zamachu stanu w Grecji do lidera w kryzysie związanym z napływem uchodźców. Być może te dwa kryzysy są ze sobą powiązane i po negocjacjach z greckim rządem, za które Niemcy były często krytykowane, Berlin nie mógł już sobie pozwolić na jeszcze jeden kryzys w tak krótkim czasie.

A fakt, że uchodźcy już znajdują się w Niemczech, może mieć także poważne konsekwencje dla niemieckiej polityki zagranicznej, bo może zmusić Niemców do wzięcia większej odpowiedzialności za sprawy międzynarodowe. Jeden przykład – Niemcy nie były zaangażowane w interwencję w Libii, a przecież między tą interwencją a kryzysem migracyjnym istnieje bardzo prosty związek. Niemieckie elity pogodziły się już z faktem, że Niemcy muszą być bardziej aktywne w polityce międzynarodowej, ale opinia publiczna wciąż jest temu niechętna. Kryzys uchodźczy może to zmienić.

Jarosław Kuisz: Asle Toje, napisał pan książkę, w której Europę określił pan mianem „małej potęgi”. Czy ta „mała potęga” może w ogóle uporać się z obecnym kryzysem, którego rozmiary zaskoczyły polityków bodaj we wszystkich europejskich stolicach?

Asle Toje: Musimy patrzeć na to, co się dzieje, z innej perspektywy, moim zdaniem bardziej realistycznej. Dziś jest na świecie ok. 60 mln uchodźców, a do tego dziesiątki milionów ludzi, którzy mają zasadne powody, by starać się o azyl w Europie. Nie jesteśmy w stanie przyjąć ich

wszystkich. Gdzie zatem jest granica? To dość zabawne, że rozpływamy się nad reakcjami części opinii publicznej, która chce przyjąć uchodźców, co jest krzepiące, ale należy pamiętać, że Europa jako całość jest bardzo sceptyczna wobec migracji. Z badania przeprowadzonego w 2014 r. przez instytut badawczy Pew wynika, że tylko 7 proc. Europejczyków mieszkających w pięciu największych krajach europejskich chciało przyjąć więcej imigrantów. Obawiam się, że pozytywne nastawienie wobec migrantów stanie się znacznie mniej przychylne, kiedy ludzie uświadomią sobie, że granice ich nie chronią, a masowy napływ uchodźców staje się zjawiskiem stałym.

Problem polega na tym, że jak twierdzi mój kolega François Heisbourg, kryzys oderwał europejskie społeczeństwa od ich polityków, zaś polityków od instytucji. Instytucje europejskie zdają się bardziej zainteresowane wyszarpaniem dla siebie jak największej władzy niż faktycznym rozwiązaniem problemu uchodźców. Z perspektywy Brukseli wydaje się, że nie ma takiej liczby uchodźców, która byłaby zbyt duża. Na poziomie państwa poglądy na ten temat są bardzo jasno określone i co więcej, bardzo zróżnicowane – Szwecja na przykład przyjmuje wielu uchodźców, Polska bardzo mało.

Jarosław Kuisz: Porozumienia dotyczące polityki azylowej nie spełniły swojej funkcji...

Asle Toje: Załamały się, a teraz zagrożona jest strefa Schengen. Instytucje prowadzą obecnie bitwę obronną, próbują chronić te stopnie integracji, które już udało się osiągnąć. Ale co ze społeczeństwami? Ich nastroje są trudne do odczytania. Do tej pory panowało silne i stałe przekonanie, że Europejczycy nie chcą większej

liczby migrantów. A zgodnie z wynikami Eurobarometru opublikowanymi w maju sprawa migrantów jest dziś dla wyborców najważniejsza.

Moim zdaniem stajemy w obliczu starcia pomiędzy europejskimi społeczeństwami, państwami narodowymi i europejskimi instytucjami. Nie wiadomo, kto wygra i jakie będą tego rezultaty. Być może skutkiem będzie wielki skok przez kryzys w kierunku bardziej postnarodowej Europy. Według mnie bardziej prawdopodobne jest jednak to, że państwa pogrążą się we wzajemnych oskarżeniach i kłótniach. Nie można też wykluczyć, że ludność Europy zacznie się buntować przeciwko systemowi, który wywołał kryzys, a następnie nie był w stanie go zażegnać. Już dziś widzimy coraz większą aktywność radykalnej lewicy i prawicy oraz narastającą agitację prowadzoną poza oficjalną sceną polityczną.

Robert Cooper: Najważniejszą instytucją europejską jest bez wątpienia Rada Europejska. Kiedy obserwujemy debaty państw członkowskich, widzimy, że prawie wszystkie z nich w sprawie migrantów domagają się wprowadzenia rozwiązania ogólnoeuropejskiego. Nie chodzi oczywiście o to, by to Komisja Europejska narzuciła im jakieś rozwiązanie. Problem musi zostać rozwiązany wspólnie przez państwa zasiadające w Radzie. Dopiero potem Komisja na podstawie tego porozumienia wprowadzi odpowiednie regulacje. Nie mamy więc do czynienia z żadnym zderzeniem instytucji europejskich i państw członkowskich. Unia jest zarządzana wspólnie przez wszystkie kraje razem.

Sylvie Kauffmann: Adam Garfinkle reprezentuje w dzisiejszej dyskusji Stany Zjednoczone, kraj zbudowany przez imigrantów, ale jednocześnie kraj, w którym nie brakuje poważnych debat dotyczących imigracji i obaw z nią

związanych – Stany Zjednoczone, podobnie jak niektóre państwa europejskie, również wybudowały płoty na części swoich granic. Jak pan z amerykańskiej perspektywy postrzega kryzys europejski?

Adam Garfinkle: Amerykańska klasa polityczna i europejskie elity polityczne w niewielkim stopniu rozumieją sposób myślenia przeciętnego obywatela oraz jego obawy. W Europie z powodu względnej słabości militarnej wyraźna jest też tendencja do uderzania w moralizatorskie tony i formułowania szlachetnych zasad postępowania. Nie zawsze przystają one jednak do rzeczywistości. Nagle pojawiają się zjawiska poza europejską kontrolą, wywołane przez czynniki znajdujące się poza Europą i następuje zderzenie abstrakcyjnych zasad moralnych z realnymi przekonaniami i obawami ludzi.

Jarosław Kuisz: Chce pan powiedzieć, że to zderzenie zasad i rzeczywistości jest w tej chwili nieuniknione?

Adam Garfinkle: W czasach gdy gospodarka się rozwija, a tort, który mamy do podziału, zdaje się coraz większy, rosną szanse na spokojne przyjęcie imigrantów. Ale kiedy rosną koszty, pojawia się gwałtowna reakcja zarówno w partiach, jak i poza nimi. Jeśli wybuchnie kolejny globalny kryzys gospodarczy, większy niż ten, z którym mieliśmy do czynienia w latach 2007–08, wiele z tych uśmiechniętych twarzy, które dziś jeszcze witają imigrantów, zmieni swój wyraz.

Jarosław Kuisz: Brytyjski tygodnik „The Economist” opublikował niedawno artykuł o uchodźcach zatytułowany „Wpuście ich i dajcie im zarabiać”. Przedstawianie przyływu migrantów z punktu widzenia

gospodarki jako zjawiska na dłuższą metę korzystnego jest w Europie całkiem popularne. Niestety, nie widać tłumu przekonanych.

Adam Garfinkle: Europejski model został oparty na bardzo funkcjonalnej idei społeczeństwa, w której człowieka przedstawia się w roli homo oeconomicusa. Następnie zakłada się, że poprzez stworzenie odpowiedniego zestawu zachęt gospodarczych i instytucji można stworzyć fakty społeczne, a następnie polityczne. Linia przyczynowości biegnie w tym wypadku od gospodarki, przez społeczeństwo, do polityki. Teoria wygląda bardzo dobrze, ale ma tę wadę, że jest nieprawdziwa. To polityka jest najważniejszym elementem, nie gospodarka. A zatem idea europejska funkcjonuje bardzo dobrze aż do czasu zderzenia się z silnym kryzysem gospodarczym lub do momentu naruszenia prawdziwych granic suwerenności. Myślę, że dotarliśmy do takiego punktu i wkrótce przekonamy się, że to polityka odgrywa ważniejszą rolę niż gospodarka.

Ulrike Guérot: Na długo zanim zaczęliśmy debaty na temat uchodźców, w VI w. Europa doświadczyła ogromnej wędrowności ludów. To normalne, że ludzie szukają miejsca, gdzie mogą wieść lepsze życie. Robili to już wiele wieków temu. Mówię o tym, ponieważ pomijamy to, co wydaje mi się zasadniczym wyzwaniem w XXI w., czyli tworzenie ram, w jakich odbywa się ta dyskusja. Jedna z nich dotyczy będzie dystrybucji majątku. Jeśli spojrzymy na ten problem globalnie, dostrzeżemy, że Zachód – czyli USA i Europa – nadal ma zbyt wiele. Wiele nieszczęść mających miejsce od Etiopii po Syrię i Irak jest ściśle związana z działaniami państw zachodnich prowadzonymi w całym minionym stuleciu. Nie chcemy o tym słyszeć, ale uważam, że byłoby dobrze, gdybyśmy przeformułowali nasze

dyskusje na temat tego, co dzieje się na Ziemi – globalna dystrybucja majątku może być dobrym punktem wyjścia.

W książce „The Globalization Paradox” Dani Rodrik pisze, że spośród trzech wartości, jakimi są globalizacja, demokratyzacja i suwerenność, możemy mieć jedynie dwie, a z jednej musimy zrezygnować. Jeśli zgodzimy się, że nie możemy zrezygnować z globalizacji, ponieważ ostatecznie prowadzi do większego dobrobytu dla wszystkich, to proponuję zrezygnować z suwerenności. W tej chwili bowiem rezygnujemy z demokracji.

Asle Toje: Naprawdę nie chcę zabrzmieć jak pesymista, tym bardziej, że należę do osób, które uważają, że imigracja jest dla państw korzystna, przyczynia się do powstawania nowych pomysłów i wprowadzania innowacji. Jednak musimy zmierzyć się z faktem, że duża skala migracji do miejsc pogrążonych w kryzysie gospodarczym może mieć poważne skutki polityczne. Pomysł, aby otworzyć nasze serca i przeformułować dyskurs, nie jest odpowiedzią na ten problem. W Norwegii obliczono, że jeden imigrant o niskich kwalifikacjach, pochodzący spoza Europy będzie kosztować państwo przez całe swoje życie 500 tys. euro, i to uwzględniając podatki, jakie zapłaci, kiedy już znajdzie pracę.

W gospodarkach europejskich nie ma obecnie dużego popytu na nisko wykwalifikowanych pracowników. Obserwacja, którą poczynił Adam Garfinkle, jest słuszna. W czasie wzrostu gospodarczego ludzie są zwykle dość otwarci wobec imigrantów. Ale jeśli otworzymy się na migrację do Europy w dużej skali, której końca nie widać, doprowadzimy do powstania znacznie mniej pozytywnych obrazów niż te, które jeszcze niedawno oglądaliśmy choćby na dworcu w Monachium.

Ulrike Guérot: Po pierwsze, nie zgadzam się na mierzenie kosztów ludzkiego życia i odnoszenia ich do cyklu koniunkturalnego. To szaleństwo. Po drugie, Norwegia ma duże zasoby gazu, co czyni ją bogatym krajem, ale w skali światowej bogactwo nie jest dystrybuowane sprawiedliwie i ten problem musi być rozwiązany. My mówimy o działaniach instytucji europejskich, ale już teraz niektórzy filozofowie – jak np. Jürgen Habermas – mówią o konieczności powołania demokratycznych instytucji ogólnosiwiatowych, choćby parlamentu ONZ.

Sylvie Kauffmann: Chciałabym wrócić do podziału Wschód–Zachód w reakcji na wyzwania związane z wpływem migrantów. Dlaczego większość krajów postkomunistycznych reaguje na kryzys migracyjny inaczej niż kraje Europy Zachodniej i jak możemy pokonać te różnice?

Adam Daniel Rotfeld: Porównując Polskę na przykład do Norwegii, możemy powiedzieć, że Polska jest w sytuacji zbliżonej do tej, w której Norwegia była 70–80 lat temu. W tym czasie było to jedno z biedniejszych państw nordyckich, a masowa emigracja stanowiła w nim poważny problem. Do dziś w USA mieszka więcej Norwegów niż w samej Norwegii. Obecnie w Polsce młode pokolenie również szuka lepszego życia i lepszej edukacji za granicą. Co więcej, musimy pamiętać, że po II wojnie światowej Polska stała się krajem bardzo jednorodnym pod względem etnicznym, a także religijnym – ponad 95 proc. Polaków deklaruje się nie tylko jako chrześcijanie, ale i katolicy.

Po raz pierwszy mamy obecnie do czynienia w Polsce z problemem tak masowej migracji. W ostatnich kilku tygodniach jej postrzeganie diametralnie się zmieniło. Jeszcze 2–3 tygodnie temu obraz uchodźców był o wiele gorszy. Ważną rolę w tej zmianie odegrały Kościół katolicki

i niektóre organizacje pozarządowe. Prawdę mówiąc, głos Kościoła był jednym z pierwszych silnych głosów wzywających do przyjmowania uchodźców. Powinniśmy jednak pamiętać, że społeczeństwa Europy Wschodniej wciąż są w trakcie gwałtowej transformacji i znajdują się w jakościowo innym położeniu niż Norwegia czy Finlandia.

Adam Garfinkle: Chciałbym nieco zmienić nasz punkt widzenia i zadać pytanie, jakie wspólne przyczyny ma kryzys związany z uchodźcami i kryzys na Ukrainie. Obserwujemy obecnie nowe zjawisko w historii, polegające na słabnięciu państw na całym świecie. Ma ono wiele przyczyn, ale jedną z nich są nowe technologie informacyjne prowadzące do eliminacji pośredników (*disintermediation*).

Dobrym tego przykładem jest działalność takich firm jak Uber czy Airbnb. Mamy obecnie swobodny dostęp do wielu informacji, dzięki którym dostawcy usług mogą spotkać się bezpośrednio z klientami. Taki stan rzeczy narusza pozycję wielu struktur pośredniczących, z których jedne mają charakter komercyjny, a inne rządowy. Znaczna część władzy państwowej musi się mierzyć z zagrożeniem ze strony tego nowego i gwałtownie przybierającego na sile zjawiska. Zakres władzy wykonawczej pozostającej w rękach rządów jest coraz skuteczniej kwestionowany.

Kwestionują go także międzynarodowe organizacje przestępcze i terrorystyczne. To, co dzieje się w Iraku, Syrii czy Libii, to po prostu proces dezintegracji zachodniego modelu państwa nałożonego na społeczeństwa, których doświadczenia historyczne niespecjalnie do niego przystają. Obecnie najslabsze jednostki wzorowane na zachodnim modelu państwa narodowego rozpadają się z największym hukiem.

Rosja także jest dziś znacznie słabszym państwem niż niegdyś Związek Radziecki. Prowadzenie wojny na Ukrainie za pomocą „zielonych ludzików” nie jest dowodem na siłę Moskwy. To oznaka słabej władzy, która musi korzystać z pośredników, aby wykonać zadania, do których wykonania sama jest albo zbyt słaba, albo zbyt niekompetentna. Wszystkie te procesy pokazują, że w dłuższej perspektywie będziemy świadkami upadku władzy państwowej, ponieważ nie będzie ona w stanie poradzić sobie z tym rozproszeniem.

Jarosław Kuisz: I co się wówczas może stać?

Adam Garfinkle: Musimy wypracować ponadnarodowe formy rządów sprawujące władzę w niektórych obszarach, z którymi państwa nie mogą sobie poradzić na własną rękę. Jednocześnie wiele decyzji będzie musiało zostać przeniesione w dół, na poziom lokalny, zgodnie z zasadą subsydiarności. Problemem jest to, jak w tym nowym świecie, w którym władza jednocześnie przesuwa się w górę – na poziom międzynarodowy – i na dół – na poziom lokalny – zachować jakąś formę jej demokratycznego rozliczania, a tym samym nadania tej władzy demokratycznej legitymacji.

ROBERT COOPER

brytyjski dyplomata, ekspert i publicysta w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Podczas swojej wieloletniej kariery dyplomatycznej w rządzie Wielkiej Brytanii pracował m.in. w ambasadach w Tokio i w Bonn oraz był doradcą Tony’ego Blaira. Od 2002 r. pracował w strukturach Unii Europejskiej, najpierw w zespole Javiera Solany, potem jako specjalny doradca Catherine Ashton. Członek European Council for Foreign Relations.

ADAM GARFINKLE

ekspert w dziedzinie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, współzałożyciel i redaktor naczelny „The American Interest”, amerykańskiego dwumiesięcznika o tematyce międzynarodowej i gospodarczej. Wcześniej był redaktorem w „The National Interest” i wykładowcą m.in. na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i Uniwersytecie Pensylwanii. Pisał przemowy dla sekretarzy stanu w Departamencie Stanu USA, m.in. dla Colina Powella i Condoleezy Rice.

ULRIKE GUÉROT

jedna z założycielek i dyrektorka European Democracy Lab, think tanku zajmującego się przyszłością demokracji w Europie. W 2007 r. założyła berlińskie biuro European Council for Foreign Relations, którym zarządzała przez kolejne sześć lat. W 2013 r. wspólnie z Robertem Menassem opublikowała „Manifesto for a European Republic”, w którym zaapelowała o powołanie Republiki Europejskiej.

SYLVIE KAUFFMANN

dziennikarka „Le Monde”, autorka cotygodniowej kolumny dot. spraw międzynarodowych. Z francuskim tygodnikiem współpracuje od 1987 r., była korespondentką m.in. w Rosji i Stanach Zjednoczonych. W latach 2010–2011 – jako pierwsza kobieta w historii dziennika – pełniła funkcję redaktor naczelnej.

JAROSŁAW KUISZ

historyk państwa i prawa, analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”. Adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego i chercheur associé étranger w Institut d’histoire du temps present w Paryżu.

ADAM DANIEL ROTFELD

były minister spraw zagranicznych RP (2005), profesor Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik Wydziału Artes Liberales UW. Zajmuje się teorią i praktyką bezpieczeństwa międzynarodowego i rozwiązywania konfliktów oraz kontrolą zbrojeń i rozbrojeniem. W 2008 r. mianowano go współprzewodniczącym Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. W 2014 r. został zaproszony do udziału w Panelu Wybitnych Osobistości OBWE.

ASLE TOJE

norweski naukowiec i publicysta, specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych. Tytuł doktora w tej dziedzinie otrzymał na Uniwersytecie Cambridge. Wykłada w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo. Jest członkiem Norweskiego Instytutu Noblowskiego, instytucji wspierającej Norweski Komitet Noblowski podczas prac nad wyborem laureatów Pokojowej Nagrody Nobla.

CZĘŚĆ III

EUROPEJSKIE KRYZYSY – CO DALEJ?

Z JOHNEM GRAYEM

ROZMAWIA TOMASZ SAWCZUK

Niestety można być racjonalnym i antyliberalnym

O sytuacji, w której znalazła się Europa, globalnym przetasowaniu oraz o moralności w polityce międzynarodowej i tym, że pewne wartości są nienegocjowalne i że powinniśmy być gotowi za nie zginąć.

Tomasz Sawczuk: Po kryzysach ukraińskim i greckim nadszedł kryzys migracyjny. Europa staje się coraz bardziej podzielona.

John Gray: Wielki kryzys to już nie kryzys ekonomiczny, lecz migracyjny. A może on tylko narastać. W efekcie rosyjskiej interwencji sytuacja w Syrii prawdopodobnie jeszcze się pogorszy. To spowoduje kolejny wzrost liczby migrantów. Ale niezależnie od tego różnice w poziomie zamożności między Europą a Bliskim Wschodem i Północną Afryką są tak ogromne, że kryzys będzie trwać dalej. Tymczasem europejscy przywódcy mówią o nim, jakby chodziło o coś jednorazowego. Mówią, że możemy przyjąć milion uchodźców. Prawda, to proste, ale co w kolejnym roku?

Raz jeszcze tyle samo...

Dwa miliony, trzy miliony? Dla europejskich państw to bardzo trudny problem, którego być może nie da się w pełni rozwiązać. Niepokoi mnie nieco, że ludzie, którzy twierdzą, że Europa powinna przyjąć politykę otwartych drzwi, zapominają o fundamentalnym fakcie, że praktycznie wszystkie państwa europejskie są demokratyczne. Ostatni raz otwarte granice w Europie – w Rosji nigdy ich nie było – funkcjonowały przed I wojną światową, gdy nie istniało państwo dobrobytu, związki zawodowe były słabe, a państw demokratycznych było niewiele.

Świat bez granic i bez demokracji nietrudno sobie wyobrazić. Ale w innej sytuacji to, jak przez napływ imigrantów zmieni się życie dużych grup ludzi, spowoduje demokratyczną reakcję. A ta nie zawsze przybierze liberalny kształt. Między światem otwartych granic a demokracją jest bardzo silne napięcie.

Jak więc powinna zareagować Europa?

Po pierwsze, kryzysu migracyjnego nie da się zażegnać przy pomocy instytucji europejskich. Nie ma praktycznych możliwości zabezpieczenia zewnętrznych granic Europy, ponieważ nie jest ona państwem. Związek Radziecki był bardzo dużym państwem, a chronił swoje granice nawet zbyt dobrze – można było tam wjechać, ale nikt nie mógł wyjechać [śmiech]. W Unii Europejskiej każdy, kto dostaje się do strefy Schengen – która została teraz zawieszona i może być zlikwidowana – może dostać się gdziekolwiek, do państw o bardzo różnym stopniu rozwoju gospodarczego i zabezpieczeń socjalnych, różniących się warunkami politycznymi i historią. W niektórych z tych państw, jak Francja, Belgia czy Węgry, coraz aktywniejsza jest skrajna prawica.

Spodziewa się pan, że polityka stanie się bardziej radykalna?

Nastąpi radykalizacja i polaryzacja polityki, a skrajna prawica będzie głównym beneficjentem tego procesu. Zarzucenie Schengen spowodowało wycofanie władzy i odpowiedzialności z powrotem do państw narodowych, z których pewne budują mury – jak Węgry, a inne są gotowe opuścić Unię – jak Słowacja. Wiem, że w Polsce proponowano w pewnym momencie przyjmowanie jedynie chrześcijańskich uchodźców.

To była propozycja części prawicowych polityków oraz prywatnej fundacji.

Ilu uchodźców przyjęliście?

Rząd zgodził się na przyjęcie około 11 tys.

To praktycznie nic.

Mamy więc kryzys migracyjny i ryzyko wzrostu znaczenia skrajnej prawicy. Jak powinniśmy odpowiedzieć na te zagrożenia, skoro europejskie instytucje są zbyt słabe?

Gdy ludzie pytają mnie, co „my” możemy zrobić, odpowiadam, że nie ma już żadnego „my” w Europie. A być może nigdy tak naprawdę nie było, ponieważ Unia nie funkcjonuje jako byt demokratyczny.

Czym w takim razie jest?

Zbiorem biurokratycznych instytucji zarządzanych na różne sposoby, których przywództwo jest do pewnego stopnia poszatkowane. Ich rolą jest współpraca z ważnymi przywódcami politycznymi i ważnymi europejskimi państwami.

Angela Merkel zareagowała na europejską niemoc, decydując się na samodzielne działania.

Tak, ale następnie wycofała się, ponieważ jej decyzja miała negatywne skutki polityczne na arenie wewnętrznej. W pewnym sensie pokazuje to mocne i słabe strony jej polityki. Merkel jest wielkim mężem stanu, ceniłem ją za jej ostrożny reformizm. Zazwyczaj nie decyduje się na skok w nieznaną. Porusza się małymi krokami i stara się unikać nieodwracalnych decyzji. Ale w tym wypadku przesadziła z reakcją. Sądzę, że był to rodzaj odpowiedzi na niemiecką historię – mroczne, etnicznie opresyjne państwo przeszłości. To dlatego powiedziała: „zapraszamy, każdy może przyjść”.

Ale jeżeli z powodu rosyjskiej interwencji zostanie zniszczone Aleppo, do naszych aktualnych przewidywań co do liczby uchodźców możemy doliczyć kolejny milion. W którym momencie państwo takie jak Niemcy, które wciąż tak naprawdę nie poradziło sobie z problemem integracji Niemiec Wschodnich, osiągnie swój limit?

Takie postawienie sprawy czyni pytanie o właściwą europejską odpowiedź jeszcze bardziej nagłym.

To jeden ze składników mojego myślenia, za które jestem najbardziej krytykowany, ale myślę, że są momenty w polityce, gdy instytucje stają się dysfunkcyjne i nierreformowalne, i to jest właśnie przypadek Europy. Możecie tego nie zauważać, ponieważ doświadczenie historyczne i tym samym stosunek Wschodniej Europy do UE jest całkowicie inny – niemal odwrotny do brytyjskiego. Główna motywacja wschodnich Europejczyków za przystąpieniem do UE była całkiem prosta: chcieli normalnego życia jako Europejczycy.

Problem polega na tym, że w praktyce oznaczało to normalne europejskie kryzysy, które w XX w. następowały jeden po drugim. Nie zdawaliście sobie sprawy, że nie integrowaliście się z Europą, która jest oazą stabilności, lecz z Europą w pogłębiającym się kryzysie. Paradoksalnie jego powodem był upadek komunizmu i koniec zimnej wojny. Po zimnej wojnie projekt europejski zaczęła przepelniać pycha. Zaczęło w nim chodzić nie tylko o przyjęcie do swojego grona krajów takich jak Polska, ale również o stworzenie wspólnej waluty czy włączenie do jednej organizacji krajów tak różnych jak Czechy czy Turcja. Wówczas wszyscy wierzyli, że Turcja stanie się członkiem Unii. Nikt nie myślał o tym, że to oznaczałoby przesunięcie granic UE do Iraku.

Dołączyliśmy do projektu, który nie może już dłużej działać?

W tej chwili Unia jest dysfunkcyjna nie tylko gospodarczo, ze względu na kryzys euro. Kryzys migracyjny pokazał, że jest to dysfunkcyjność przewlekła.

Jej obrzeża nie mogą być nadzorowane ani zabezpieczone, granice nie mogą być zamknięte. Nie mówię, że powinny być, ale wielu ludzi się tego domaga. Ten kryzys nie ma rozwiązania innego niż na poziomie państw narodowych, gdzie różne wspólnoty polityczne decydują o tym, co należy zrobić.

Powiedział pan, że gdy wchodziliśmy do Unii, była to już organizacja, w której kryzysy następują jeden po drugim, ale my o tym nie wiedzieliśmy. Rodzi się następujące pytanie: czy powinniśmy zaangażować się w ten kryzys, akceptując, że kryzysy są po prostu

nieodłączną cechą UE, czy też powinniśmy odwrócić się do Unii plecami, tak jak próbuje to zrobić Viktor Orbán?

Odwroćcie się plecami do Europy oznaczałoby akceptację tak zwanej putinizacji Europy, a to mroczny projekt. Jakaś forma autorytaryzmu będzie dominować w Rosji w nieokreślonej przyszłości. Joseph Conrad napisał kiedyś, że „gdzie tylko dwóch Rosjan się zejdzie, cień autokracji zjawia się jako trzeci”. Gdyby Wielka Brytania tkwiła między Niemcami a Rosją, to wolelibyśmy być bliżej Niemiec. Gdybyście odwrócili się plecami do Europy, byłaby to katastrofa. Wystarczy, że nie wstąpicie do euro.

Europa nie może nam zagwarantować bezpieczeństwa?

Wasze bezpieczeństwo zależy od NATO. To jedyna organizacja, która was chroni. To samo dotyczy państw bałtyckich. Ujmę to prościej. Jaka byłaby reakcja Niemiec, gdyby w Europie Wschodniej lub państwach bałtyckich wybuchł prawdziwy kryzys? Czy Niemcy poszłyby na wojnę z Rosją?

Raczej nie, ale prawdopodobnie nie zrobiłyby tego także Stany Zjednoczone.

To oznaczałoby koniec NATO, więc Stany miałyby coś do stracenia. Niemcy zawsze budowały powiązania z Rosją – ekonomiczne i inne – tak aby ewentualny konflikt uczynić mniej prawdopodobnym.

A jednak Angela Merkel była jednym z największych zwolenników wprowadzenia sankcji wobec Rosji.

To prawda, ale jakie ma to znaczenie? Prawdopodobnie zostaną one uchylone w tym roku ze względu na dużą presję biznesu.

Wielu komentatorów twierdzi, że jedynym powodem, dla którego Putin wszedł do Syrii, było dążenie do odwrócenia uwagi od Ukrainy i zmuszenia Europy do nowego układu z Rosją.

Myślę, że Europa w dużej mierze już porzuciła Ukrainę. Mój przyjaciel George Soros zaleca wielki plan Marshalla dla Ukrainy, ale Europa nie jest w stanie tego zrobić. I nie chodzi tylko o pieniądze. Michaił Gorbaczow – który zresztą wsparł Putina – albo car, albo Jelcyn w chwili trzeźwości, ktokolwiek by to był, próbowałyby zrobić w sprawie Ukrainy coś podobnego jak Putin. Na tym polega różnica między Rosją a Europą. Europejscy przywódcy nie biorą sprawy poważnie, podczas gdy dla Rosji było to wyzwanie egzystencjalne. Ich następnym celem nie było jednak zajęcie Ukrainy, ale jej permanentna destabilizacja, wykreowanie sytuacji zamrożonego konfliktu. Zgaduję, że w dłuższej perspektywie Putin gra o ustanowienie bardziej prorosyjskiego rządu w Kijowie. Musi tylko poczekać wystarczająco długo – 5, 10 lat...

To dużo czasu...

Ale to przewidywalny cel. A co byłoby ostatecznym celem w wypadku europejskiej interwencji? Zmuszenie Rosji do rezygnacji z Krymu? Dopóki Rosja nie zostanie sparaliżowana przez jakąś skrajną niemoc, żaden rosyjski przywódca tego nie zaakceptuje. Kolejna różnica między Rosją a Europą polega na tym, że podczas gdy Europa się rozbija, Rosja modernizuje armię.

Dlaczego więc wierzy pan w NATO, skoro nie wierzy pan w Europę?

Jeżeli NATO nie odpowiedziało na poważne militarne zagrożenie Polski lub państw bałtyckich, oznaczałoby to olbrzymią stratę o historycznym znaczeniu, co rozumie w Waszyngtonie nawet administracja prezydenta Obamy. Nikt więcej nie brałby USA poważnie. Następnego dnia przyniosłoby ogromną reakcję na całym świecie. Japonia zaczęłaby dążyć do zdobycia broni nuklearnej ze strachu, że USA nie obronią jej przed Chinami. Każde państwo uzależnione od Stanów czyniłoby wszystko, by stać się samowystarczalne, lub szukałoby innych sojuszy. To oznaczałoby wielki spadek znaczenia oraz siły Stanów Zjednoczonych w świecie. Świat mógłby wówczas naprawdę pograć się w coś podobnym do tego, co miało miejsce w latach 30. XX w.

To może brzmieć racjonalnie, ale w tym samym czasie najpopularniejsza teoria spiskowa w polityce międzynarodowej mówi, że Putin to geniusz, niepowstrzymany strateg, który wziął Krym, część wschodniej Ukrainy, a teraz wszedł do Syrii...

Cóż, jest geniuszem tylko w porównaniu z Zachodem [śmiej].

Czy Putin jest powszechnie postrzegany jako geniusz, ponieważ robi rzeczy, które wykraczają poza wyobraźnię Zachodu, czy dlatego, że to, co robi, naprawdę jest tak inteligentne?

Jest bystrym strategiem, ale pierwszy powód jest taki, że on sam, a także jego reżim pozostają dla Zachodu niezrozumiałe. Jest to taki reżim, którego dominująca tradycja

zachodniego myślenia akademickiego, ideologicznego, filozoficznego i politycznego nie tylko nie przewidziała, ale nawet nie uważała za możliwy. Zachodnie myślenie opiera się na idei, że autorytaryzm nie może być nowoczesny i trwać. To błąd.

Dlaczego Putin jest nowoczesny?

Po pierwsze jest w znacznie większym stopniu od tradycyjnych władców zależny od rosyjskiej opinii publicznej. Rosja jest bardzo zręczna w dezinformacji, bardzo dobra w wojnie w cyberprzestrzeni. Ale sądzę, że prawdziwy sens nowoczesności Putina leży w rozumieniu wojny jako zintegrowanej, totalnej, a także w sprawowaniu kontroli nad percepcją – w zdolności stwarzania wrażenia, że jest swego rodzaju geniuszem.

Niektórzy są przekonani, że jest on po prostu irracjonalny. Angela Merkel stwierdziła, że Putin może być szalony.

To całkowicie błędne, Putin jest wysoce racjonalny. Po prostu nie mamy tych samych celów. Jeżeli zastanowić się, które mocarstwo na świecie jest najbardziej racjonalne w europejskim rozumieniu racjonalizmu, będą to Chiny. W tym sensie, że są bardzo uważne i świadome wszystkiego, działają tylko z uwagi na rachunek własnych sił. Rosja jest słabsza od Chin. To drugorzędna siła, która próbuje odzyskać status wielkiej potęgi. Polityka Putina jest bardziej ostrożna, oportunistyczna i w pewnym sensie przypadkowa. Ale nie jest szalona.

Uznajemy za szalonych tych ludzi, których nie potrafimy zrozumieć. To potworna słabość postrzegania w wypadku Merkel, jeżeli naprawdę miała na myśli to, co

powiedziała. Jeżeli celem Putina jest odnowienie pozycji Rosji jako globalnego gracza, branego przez wszystkich poważnie, Syria będzie testem. Słyszałem ostatnio w telewizji przemówienie Johna Kerry'ego, w którym stwierdził, że naszym celem jest osiągnięcie tego, czego zawsze pragnęliśmy: demokratycznej, świeckiej, jednolitej Syrii. Taki tekst mógłby napisać Ionesco, tyle w nim absurdu.

Kerry okazuje się bardziej irracjonalny niż Putin?

Brzmi irracjonalnie, jeżeli naprawdę wierzy w to, co powiedział. Syria przestała istnieć jako państwo, podobnie jak Irak. Morderczy reżim Assada jest świecki. Alternatywy wobec niego są teokratyczne. Działa tam około 120 organizacji dżihadystycznych... Rosjanie dostrzegają, że państwo syryjskie odeszło na zawsze.

Jakie są zatem racjonalne cele Putina?

Po pierwsze ustabilizować władzę Assada, która wyglądała na słabą. Nie podbijać całości terytorium, bo nie jest w stanie tego zrobić. Jeżeli pojawi się faktyczna, umiarkowana opozycja wobec Assada – zneutralizować ją. Być może ustabilizować państwo, które się pojawi, z Assadem gwarantującym stabilność w części kraju, a w wypadku pozostałej części – kto wie? Byłby to realistyczny, osiągalny cel.

Twierdzenie, że Putin jest irracjonalny, jest więc zupełnie absurdalne. Odzwierciedla to niezdolność przywódców europejskich do zauważenia, że politycy oraz strategie polityczne mogą być racjonalne, lecz antyliberalne, a w pewnych aspektach nieludzkie. Merkel zakłada, że nikt nie może pożądać celu takiego, jak odrodzenie państwa jako światowego mocarstwa. Jeżeli pomyśleć

o tym, jak o klasycznej XIX-wiecznej geopolityce, cel taki staje się bardzo racjonalny.

Jaka powinna być zatem racjonalna odpowiedź Europy?

Europa nie może zrobić nic. Jest całkowicie bezsilna. Kto jest Europą w tym kontekście? Jedyna rzecz, której dokonała ostatnio Europa, była katastrofalna. Francja i Wielka Brytania – a swoją drogą nie Stany Zjednoczone – zniszczyły dyktaturę Kaddafiego w Libii i zmieniły to miejsce w dżihadystyczne piekło.

Z pańskiego opisu wynika, że logika sytuacji jest zdeterminowana. Rosja jest czynnikiem aktywnym, Europa jest pasywna i nic nie da się zrobić. Czy nie widzi pan żadnego sposobu, w który Europa mogłaby odmienić tak zdefiniowany los?

Putin może przeszarżować, coś innego może się wydarzyć, ale bardzo trudno sobie to teraz wyobrazić.

Co z sankcjami gospodarczymi?

Nie zadziałały. Mają znaczący szkodliwy wpływ na gospodarkę, ale nie zmniejszyły istotnie popularności Putina w Rosji. Nie wywołały i nie wywołają kryzysu reżimu. Putin poczeka więc po prostu, aż sankcje zostaną uchylone. Na podstawowym poziomie Europa wciąż polega na amerykańskiej ochronie i to jest ważne – nie to, co zrobi Europa.

Dla niektórych problemy takie jak kryzys migracyjny, Syria, Ukraina czy nierówności społeczne składają się z dwóch odrębnych pytań. Pierwsze z nich to pytanie

o moralność, drugie o praktyczne możliwości jej stosowania.

Nie powinno się ich postrzegać jako całkowicie oddzielnych. Zgodnie z poglądem Kanta, „powinno się” zakłada „móc”. To niebezpieczne mówić o wizjach moralnych, które są całkowicie nie do utrzymania w praktyce. Ludzie mogą powiedzieć: to znaczy, że jesteś gotów zaakceptować w Syrii ten potworny, zły, nikczemny reżim Assada, który używa brudnych bomb i torturuje tak wielu ludzi? Cóż, a co wy zrobicie? Dokonacie inwazji i spędzicie w Syrii 30, 40 lat? Cokolwiek myślicie o naszym kolonializmie czy imperializmie, czy jesteście naprawdę gotowi być tam dostatecznie długo? Teraz, gdy wycofujemy się z Afganistanu, powracają Talibowie. Wszyscy wiedzieli, że to nastąpi. Zatem powinniśmy robić tylko to, co wydaje się realistycznie osiągalne.

Jeżeli jesteś kimś w rodzaju utopijnego lewicowca, który twierdzi, że należy poszerzać pole tego, co możliwe i wyobrażalne, jest to dobra polityka na uniwersyteckie seminarium. Nic się nie stanie, jeśli wypijesz kawę 10 minut później niż planowałeś, ponieważ utknąłeś w dyskusji. Nie musisz się mierzyć z tym, że ludzie umierają, są mordowani, nie musisz się zmierzyć z anarchią i wzrostem ISIS.

Nie uważa pan jednak, że niezależnie od okoliczności powinniśmy po prostu stać z boku i się przyglądać. W stosunkach międzynarodowych jestem zwolennikiem etycznie ograniczonego realizmu. Realizm tego rodzaju generalnie preferuje pokój ponad wojnę. Czasami musisz toczyć wojnę, a czasem powinienes to czynić, nawet jeżeli wydaje się, że przegrasz. Uważam, że nawet jeżeli w 1940 r. bylibyśmy pewni porażki, lepiej było walczyć

i zostać podbitym, niż zdecydować się na zawstydzający, odrażający pokój. Ale to, czego nie powinniśmy robić w stosunkach międzynarodowych, to przyjmować wielkich konstruktów jak demokracja, prawa człowieka i tak dalej.

W polityce wewnętrznej jestem w przeważającej mierze staromodnym liberałem. Powiedziano mi, że jedno z moich porzekadeł było cytowane przez jakiegoś polskiego polityka, mam nadzieję, że nie z prawicy...

Myślę, że odwołuje się pan teraz do Donalda Tuska...
Och, to był on? [śmiech] Polityka to seria doraźnych działań w odpowiedzi na powracające zło – oto, w co wierzę.

Tusk wydaje się w to wierzyć także wtedy, gdy mówi o kryzysie migracyjnym.

Publiczne komentarze Tuska o kryzysie migracyjnym były najbardziej trzeźwe i użyteczne spośród wszystkich wygłoszonych przez polityków europejskich. Tusk jest bardzo realistyczny w swojej ocenie niebezpieczeństw związanych ze wzrostem skrajnej prawicy. Jeżeli chcemy być tak radykalnymi empirystami, jak to tylko możliwe, musimy też wypowiadać sądy wartościujące. W tym sensie możemy mieć coś w rodzaju światopoglądów, ale nie powinny być one zbyt spójne, jednolite albo sprawiać wrażenia, że są zbyt racjonalne. Powinny odznaczać się swego rodzaju elastycznością.

Niektórzy obawiają się, że takie podejście może uczynić z nas nihilistów.

Sądzę, że pewne wartości są nienegocjowalne i że powinniśmy być gotowi za nie zginąć. Zbrodnie związane

z „Charlie Hebdo” były dla mnie szczególnie okropne. Po pierwsze, ponieważ był to bezpośredni, najbardziej ekstremalny od II wojny światowej, atak na swobodę ekspresji. Drugim powodem był ich cel – zabicie Żydów. Ludzie stali w piekarni, nikt ich nie pytał, co sądzą o problemie Palestyny. Zostali zabici. Tego rodzaju rzeczy są nienegocjowalne, trzeba bronić ich niezależnie od konsekwencji.

Nie jestem jednak przekonany, że to takie proste, ponieważ wchodzi tu w grę owa bardzo bolesna trudność wyboru między różnymi formami straszego zła, a Zachód jest bardzo niechętny, by orzec, czy tę trudność akceptuje. Reżim Assada jest bardzo zły, ale czy gorszy niż ISIS? Czy Assad naprawdę zagraża Polsce? Nie sądzę. Jego reżim jest straszny w innych aspektach. Ale jeżeli jesteś druzem, chrześcijaninem albo alawitą, jesteś przekonany, że jeśli reżim upadnie, zostaniesz zabity.

To dlatego tak często mówimy w tym kontekście o racjonalności. Wielu powie, że gdybyśmy postępowali racjonalnie, nie zabijalibyśmy się z powodu przekonań. John M. Keynes wygłosił w 1938 r. cudowne przemówienie opublikowane jako „My Early Beliefs”. Wszyscy jego przyjaciele wierzyli przed I wojną światową, że ludzie mogą stać się lepsi dzięki rozumowi, nie szanowali religii, konwencji, tradycji. Jest tam wspaniały fragment o filozofie Bertrandzie Russellu. Bertie, mówi Keynes, wierzył w dwie komicznie sprzeczne rzeczy: że ludzka historia była jak dotąd kształtowana w najbardziej irracjonalny sposób, pełen katastrof, absurdów, zbrodni i okropności, oraz że rozwiązanie jest bardzo proste – powinniśmy tylko być bardziej rozsądni. Czy to nie piękne? Wiele osób myśli w ten sposób. Keynes podsumowuje to zabójczo:

taki pogląd zakłada, że ludzie są teraz zdolni do tego, by kierować się rozumem. Jaki jest na to dowód?

JOHN GRAY

filozof, wykładał m.in. w Oxfordzie, na Harvardzie oraz w London School of Economics. Autor licznych książek, ostatnio opublikował „The Soul of the Marionette. A Short Inquiry into Human Freedom”.

TOMASZ SAWCZUK

studiował prawo i filozofię, członek redakcji „Kultury Liberalnej”.

Z ROBERTEM COOPEREM
ROZMAWIA KAROLINA WIGURA

Pięć kryzysów Europy

„W języku japońskim i chińskim «kryzys» to wyraz utworzony z dwóch znaków, z których jeden oznacza «niebezpieczeństwo», a drugi «okazję»”, mówi słynny brytyjski dyplomata. Europa boryka się dziś z kilkoma poważnymi kryzysami – czy będzie umiała je wykorzystać?

Karolina Wigura: Europa mierzy się obecnie z co najmniej czterema poważnymi kryzysami – ukraińskim, migracyjnym, kryzysem strefy euro i kryzysem w Grecji. Czy te cztery wyzwania sprawiły, że Stary Kontynent jest dziś mniej bezpieczny niż kilka lat temu?

Robert Cooper: Myślę, że Europa jest dziś rzeczywiście mniej bezpieczna, ale przede wszystkim w sensie psychologicznym. Bo czy ktoś będzie chciał w najbliższym czasie dokonać inwazji na Europę? Wielu imigrantów próbuje się tu dostać, ale to co innego niż inwazja militarna. W rzeczywistości ci ludzie przyjeżdżają do Europy, bo wciąż postrzegają ją jako miejsce bezpieczne. Powinniśmy więc cieszyć się z tego, co mamy, i życzliwie potraktować tych, którzy to doceniają.

Co to dokładnie znaczy potraktować „życzliwie”?

To najtrudniejsze pytanie, ponieważ liczba osób, które chcą żyć w Europie, jest właściwie nieograniczona.

Uciekinierzy nie tylko chcą się tu dostać, ale też zamieszkać na stałe i być traktowani jak inni Europejczycy.

Nie mam nic przeciwko temu, ale rodzi się tu pytanie o naszą zdolność absorpcji tych ludzi. Europa musiała już nieraz stawić czoła tego rodzaju ruchom migracyjnym, na przykład tuż po II wojnie światowej, ale to były czasy, kiedy wszystkie kraje były zniszczone, ludzie nie mieli nic, a w związku z tym byli wobec siebie o wiele życzliwsi. Wraz ze wzrostem zamożności i poziomu życia ta życzliwość wobec obcych słabnie.

Na przestrzeni lat Europa czerpała z migracji korzyści, ale przychodzi moment, kiedy takie zmiany mogą być dla społeczeństwa przytłaczające, co z kolei niesie ryzyko gwałtownych reakcji politycznych. Musimy jednak pamiętać, że mimo swoich wad, w porównaniu z resztą świata Europa pozostaje bardzo bezpiecznym do życia miejscem, o którym wielu ludzi marzy.

Jedno z największych wyzwań, przed którym dziś stajemy, dotyczy praw człowieka – czy jesteśmy gotowi, aby stosować wobec nowych przybyszów te same normy, jakie stosujemy wobec Europejczyków, którzy już tu mieszkają?

Nie sądzę, żeby odpowiedź na to pytanie dało się wyrazić jedynie w odpowiednich przepisach lub ustawach. Taka odpowiedź musi mieć także wymiar praktyczny. Musimy brać pod uwagę koszty wpuszczenia tych ludzi, zapewnienia im

miejsca do życia, a także ich integracji społecznej i ekonomicznej. Trudność, jak już powiedziałem, polega na tym, że problem migracji zdaje się nie mieć granic. Wiele osób w wielu miejscach globu chciałoby się dostać tu, do tej małej części świata, jaką jest Europa. W pewnym stopniu jednak możemy za ten stan rzeczy winić jedynie siebie, bo znaczna część migracji ma swoje źródło w sytuacji na Bliskim Wschodzie, którą sami „pomogliśmy” stworzyć.

Co pan ma na myśli?

Trudno wskazać jakąkolwiek decyzję polityczną podjętą w ostatnich latach przez Zachód w relacjach z państwami Bliskiego Wschodu, która miałaby pozytywne konsekwencje. Dlatego musimy bardzo ostrożnie podejmować decyzje dotyczące tego, co dziś naprawdę chcemy osiągnąć. Wszystkie kryzysy, które wymieniła pani na początku, są różne, ale mają jedną cechę wspólną – każdy jest daleki od zakończenia. Kryzys migracyjny najprawdopodobniej będzie się nasilał. To samo dotyczy kryzysu na Ukrainie.

W komentarzu dla magazynu „Aspen Review” napisał pan, że ukraiński kryzys jest wyzwaniem dla stosunków Europy z Rosją i że rewizja tych stosunków to konieczność. Czy do tej rewizji już doszło?

Tak, to oczywiste. Nie sądzę, by w Europie wciąż było wielu poważnych ludzi, którzy nadal postulują tworzenie strategicznego partnerstwa z Rosją. Europejskie sankcje wobec Moskwy zostały przedłużone bez specjalnych głosów sprzeciwu. Stosunek do Rosji zmienił się diametralnie w ciągu ostatnich kilku lat. Kłopot w tym, że to nie rozwiązuje problemu, bo problem leży w zachowaniu Moskwy, a w rosyjskiej polityce nie widać żadnych oznak poprawy.

Prawdę mówiąc, tendencja jest raczej odwrotna – skazanie na karę wieloletniego więzienia ukraińskiego reżysera Olega Sencowa i funkcjonariusza straży granicznej porwanego z Estonii to tylko dwa ostatnie przykłady.

W wywiadzie udzielonym dziennikowi „Rzeczpospolita” przez Edwarda Luttwaka, ten słynny amerykański strateg wojskowy mówi, że jedyną szansą Polski na uzyskanie bezpieczeństwa wobec agresywnej polityki Rosji jest rozbudowa własnej armii i rezygnacja z oglądania się na NATO i Unię Europejską. Czy zgadza się pan z taką opinią?

Edward Luttwak lubi szokować i analizując jego wypowiedzi, powinniśmy o tym pamiętać. Myślę, że jest to dobry moment, by każde z państw przemyślało, co wnosi do tego grona, jakim jest Unia Europejska i NATO. Choć wierzę głęboko w sens działania obu tych organizacji, to – niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie – podstawową jednostką polityczną w Europie wciąż jest państwo narodowe. Dobrym rozwiązaniem w skali europejskiej byłoby jednak wspólne dokonywanie zakupów militarnych. Osobiście nie wierzę w ideę armii europejskiej, nie sądzę, byśmy już teraz byli gotowi na jej stworzenie, ale chciałbym bardzo zobaczyć europejski czołg lub europejski karabin. Nie muszą one zresztą być produkowane w Europie, możemy je importować, choćby z Chin. Ale jeśli kupujemy razem, wszyscy będziemy używali tego samego sprzętu, co bardzo ułatwi koordynację wspólnych działań, a przy okazji kupimy go w fantastycznie niskiej cenie.

Czy kryzysy dotyczące dziś Europę przynajmniej czegoś nas uczą? Czy z tego, co dzieje się na Ukrainie lub

w Grecji, płyną jakieś wnioski, które mogłyby zostać wdrożone w europejskiej polityce zagranicznej lub wewnętrznej?

W przypadku kryzysu greckiego stąpamy po nieznanym gruncie, podczas gdy w przypadku pozostałych wiemy, co najpewniej się wydarzy lub jakie zagrożenia się z tymi kryzysami wiążą – wszystkie wyglądają źle. Co się stanie z Grecją – nie wiem. Może na dłuższą metę uda się przeprowadzić reformy? Być może – dzięki drugiej szansie, jaką otrzymał ten kraj – Grecji uda się przetrwać i rozwijać? Zaleta tego kryzysu polega na tym, że jego wynik wciąż pozostaje otwarty.

Jaką rolę odgrywają Niemcy w greckim kryzysie? Sposób prowadzenia przez Angelę Merkel ostatniej rundy negocjacji z Aleksisem Tsiprasem został ostro skrytykowany przez znaczną część niemieckich elit. Jürgen Habermas napisał, że przyciskając Grecję do muru w kwestii dalszych oszczędności, Niemcy straciły kapitał polityczny gromadzony przez ostatnie dekady. Nie sądzę, że sytuacja jest tak prosta, ponieważ ta historia nie dobiegła jeszcze końca. Problem, który zawsze dostrzegałem w strefie euro, polega na tym, że błędem wydaje mi się wprowadzanie wspólnej waluty bez jednej teorii ekonomicznej. Potrzebny jest przynajmniej jakiś intelektualny konsensus, a nie wygląda na to, byśmy byli w stanie go osiągnąć.

Co zaleca pan w tym konkretnym przypadku?

Szczerze mówiąc, jestem zadowolony z tego, co się dzieje w Grecji, bo wciąż uważam, że jej wyjście ze strefy euro byłoby obecnie dużym błędem. Jestem raczej zwolennikiem

Keynesa niż miłośnikiem Hayeka, ale z drugiej strony pewne reformy po prostu muszą zostać wprowadzone przez rząd w Atenach. Kraj potrzebuje dogłębnej modernizacji politycznej. Grecja przez lata funkcjonowała w oparciu o relacje klientelistyczne, a każdy nowy rząd znaczną liczbę stanowisk w administracji publicznej rozdawał osobom „zaprzyjaźnionym”. W ten sposób nie da się rządzić nowoczesnym państwem.

Ale wiele działań, do jakich został zmuszony rząd w Atenach, wywołało gwałtowny opór w greckim społeczeństwie. Po decyzji o sprzedaży niektórych greckich lotnisk niemieckiej firmie Fraport pojawiły się komentarze mówiące, że Grecja stała się ofiarą niemieckiego neokolonializmu.

Lotnisko Heathrow w Londynie należy do hiszpańskiej firmy Ferrovial, która wcześniej miała również w posiadaniu wiele innych lotnisk, w tym Stansted i Gatwick. Nie sądzę, żeby był to przejaw neokolonializmu. To transakcje handlowe. Grecja sprzedała już połowę swojego portu w Pireusie Chińczykom, a wiele innych przedsiębiorstw na całym świecie należy do zagranicznych korporacji.

Kilka lat temu Niemcy były nazywane „niechętnym hegemonem”. Czy obecnie godzą się już ze swoją rolą lidera w Europie, czy nadal nie chcą jej przyjąć? Niemcy nie są europejskim hegemonem. Europejska polityka jest prowadzona z wykorzystaniem negocjacji, co było doskonale widać podczas ostatniej rundy rozmów z greckim rządem, kiedy to ważną rolę odegrali przedstawiciele Włoch i Francji. Nie powinniśmy się więc

w Europie martwić o niemieckie przywództwo, ale raczej o słabość poszczególnych polityków. To wielka szkoda, że żaden inny europejski polityk nie może się pod względem jakości przywództwa równać z kanclerz Niemiec.

Mówiliśmy do tej pory o czterech kryzysach dotyczących Europę, ale czy to już wszystkie? Amerykański historyk, Timothy Snyder, konsekwentnie przestrzega przed jeszcze jednym – odrodzeniem skrajnej prawicy w Europie.

To powolny kryzys dotyczący europejskich systemów politycznych.

Powolny kryzys, cichy kryzys?

Nie mogę wypowiadać się o wszystkich państwach europejskich, ale w Wielkiej Brytanii widzę wyraźnie, jak oddzielona od reszty społeczeństwa jest dziś klasa polityczna. Zdaję sobie sprawę, że alienacja władzy jest do pewnego stopnia nieunikniona, ale może być także bardzo niebezpieczna. Moim zdaniem powinniśmy trochę więcej czasu poświęcić dyskusjom na temat kondycji naszych demokracji. W większości krajów Europy Zachodniej poważne zmiany konstytucyjne wprowadzano po raz ostatni w latach 50. XX w. Od tego czasu prawie nic się nie zmieniło w strukturach politycznych, mimo że żyjemy w społeczeństwach diametralnie różnych od tych sprzed pół wieku. Tymczasem demokrację powinniśmy rozumieć jako ustrój, który nieustannie ewoluuje.

Co dokładnie ma pan na myśli? Postulat, by więcej myśleć o demokracji, brzmi pięknie i idealistycznie, ale co ma oznaczać w praktyce?

Sytuację każdego państwa należy rozpatrywać oddzielnie, a jedynym krajem, którego sytuację znam naprawdę dobrze, jest mój własny. Brytyjskiej klasie politycznej nie brakuje utalentowanych ludzi, ale społeczeństwo nie ma do niej zaufania i postrzega ją jako grupę troszczącą się wyłącznie o swoje interesy. Nie sądzę, by była to całkiem usprawiedliwiona ocena, ale tak właśnie jest. Nasz system polityczny ma problem sam ze sobą.

Czy dlatego premier postanowił odwołać się do demokracji bezpośredniej i zarządzić aż dwa ważne referenda – dotyczące niepodległości Szkocji i brytyjskiego członkostwa w UE?

Moim zdaniem referendum jest absolutnie niepoważnym sposobem podejmowania ważnych decyzji politycznych, takich jak ta dotycząca szkockiej niepodległości. Organizując danego dnia głosowanie i dając prawo głosu wszystkim osobom, które w tym konkretnym momencie mieszkają w Szkocji, niekoniecznie uzyskamy decyzję będącą wyrazem woli „ludu Szkocji”. A wystarczy uzyskać 50 proc. głosów plus jeden na rzecz niepodległości – i po wszystkim. To nie jest rozsądny sposób podejmowania decyzji. Ale dlaczego w ogóle organizuje się te referenda? To dowód braku zaufania do własnego systemu politycznego. To rodzaj odgórnego populizmu. Referendum jest metodą, z której korzystają rządy populistyczne.

Jak pan być może wie, z podobną sytuacją mamy do czynienia w Polsce. Możliwe, że w ciągu niespełna dwóch miesięcy będziemy mieli dwa referenda, które staną się elementami kampanii wyborczej przed

wyborami parlamentarnymi. Nieufność wobec państwa, o której pan mówi, jest widoczna także u nas. To nie tylko brytyjski problem.

Demokracja to nieustanny proces odnowy. Społeczeństwa zmieniają się i instytucje muszą zmieniać się wraz z nimi. W Wielkiej Brytanii mamy to szczęście, że nie obowiązuje u nas konstytucja w tradycyjnym sensie tego słowa, a prawa fundamentalne dla ustroju politycznego mogą być zmieniane w takim samym trybie, jak wszystkie inne przepisy – zwykłą większością głosów w dwóch izbach parlamentu. Powinniśmy wykorzystać tę sytuację, żeby prowadzić ciągłą debatę na temat podstaw naszego ustroju, na przykład reformy naszego systemu parlamentarnego. Wasze społeczeństwo także bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich 25 lat.

Ogromnie.

I dlatego powinniśmy potraktować politykę bardziej poważnie.

Każdy kryzys przynosi zmiany – czy to możliwe, że te cztery lub pięć kryzysów, o których mówimy, może przynieść zmiany pozytywne?

Osobiście zawsze jestem optymistą i są ku temu powody. Dokładnie analizując ostatnie 70 lat po wojnie, prawdopodobnie moglibyśmy stworzyć listę kilkuset takich kryzysów, o jakich teraz rozmawiamy. Całkiem sporo mieliście ich też w Polsce. A mimo to po tych kilku dekadach Europa jest w zdecydowanie lepszej kondycji. Mamy więc dobre historyczne powody do optymizmu, ale jednocześnie nie sądzę, by bycie optymistą było bardzo przydatne. Naszym zadaniem powinno być zidentyfikowanie

problemów, rozmowa o nich, a następnie znalezienie wyjścia z sytuacji. Jak pisał Antonio Gramsci, potrzeba nam pesymizmu intelektu i optymizmu woli. Wie pani, w języku japońskim i chińskim „kryzys” to wyraz utworzony z dwóch znaków, z których jeden oznacza „niebezpieczeństwo”, a drugi „okazję”.

ROBERT COOPER

brytyjski dyplomata, ekspert i publicysta w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Pracował w wielu brytyjskich ambasadach, m.in. w Tokio i Bonn; był specjalnym przedstawicielem Wielkiej Brytanii w Afganistanie oraz doradcą Tony’ego Blaira. Od 2002 r. pracował w strukturach Unii Europejskiej. Jest członkiem European Council for Foreign Relations (ECFR), think tanku ds. międzynarodowych. Autor licznych artykułów i publikacji, m.in. pozycji „The Breaking of Nations: Order and Chaos in the Twenty-First Century” (2003), za którą został uhonorowany brytyjską Nagrodą Orwella – jednym z najważniejszych wyróżnień przyznawanych osobom piszącym na tematy polityczne i społeczne.

KAROLINA WIGURA

historyczka idei, szefowa działu politycznego „Kultury Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”.

ULRIKE GUÉROT

Czy poststrukturalistyczny słownik już się zużył?

Czy nie straciliśmy przypadkiem poczucia tego, co tak naprawdę jest ważne, i czy nie bronimy już tylko naszej „strefy komfortu”? Niemiecka myślicielka polityczna Ulrike Guérot opisuje, w jaki sposób pojęcia „konfliktu” i „kryzysu” zastąpiły pojęcie „wojny”, i jak to prowadzi w ślełą uliczkę nowego pacyfizmu, który nie jest już wrażliwy na to, że bezpieczeństwo, wolność i pokój wzmacniają siebie nawzajem i nie mogą bez siebie w pełni rozkwitać.

Najwyższy czas przemyśleć na nowo, w jaki sposób Zachód radzi sobie z „konfliktami” i jak je ujmujemy w naszym politycznym słowniku. Chciałabym poddać pod rozwagę myśl, że być może potrzebujemy czegoś na kształt conceptualnego – a także semantycznego – przeformułowania, ponieważ w nowych konfliktowych sytuacjach powszechnie mamy do czynienia z niewłaściwymi – lub nieprecyzyjnymi – określeniami. W ten sposób narażamy się na utratę politycznej świadomości swoich niedostatków.

Nasz słownik w stosunkach międzynarodowych wciąż jest słownikiem z ubiegłego stulecia, w którym mówi się

o „granicach”, „mocarstwach” itd. A te pojęcia z jakiegoś powodu straciły w relacjach międzynarodowych pierwotne znaczenie. Mam na myśli to, że nie prowadzimy już dłużej „wojen” – bez względu na to, czy są one uprawnione, czy nie i czy są „dobrymi”, czy też „złymi wojnami”, wyrzuciliśmy ten wyraz z naszego słownika – mamy za to do czynienia z „konfliktami”. Jednak słowo „konflikt” jest moralnie neutralne, nie wyraża ani moralnego przekonania, ani moralnego sądu. Czy w przypadku „konfliktu” można wywnioskować, kogo można za niego obwinić, kto go rozpoczął, czy też mówiąc krótko – kto jest winny? Naszą polityczną odpowiedzią jest zatem stwierdzenie, że musimy „rozwiązać konflikt” – zazwyczaj za wszelką cenę. Pragniemy „pokoju”, ponieważ konflikty nam „przeszkadzają”. Naszym największym celem jest więc „unikanie kryzysów”, ich wygaszanie lub powstrzymanie ich rozwoju.

Na pierwszy rzut oka jest to cel uprawniony i oczywiście właściwy. Lecz czy naprawdę tak jest? Czy „łagodzenie konfliktów” jest samo w sobie rozwiązaniem, zwłaszcza gdy zawsze stwierdzamy, że „bronimy naszych wartości”? Być może znaleźliśmy się w czymś, co można by nazwać „poststrukturalistyczną pułapką”, ponieważ wydaje się, że utraciliśmy nasze pojęcie, nasze głębokie zrozumienie tego, czym jest władza, choć owo pojęcie jest powszechnie stosowane. Naszym największym celem jest „uniknięcie konfliktu”, który narusza naszą strefę komfortu. Pragniemy „bezpieczeństwa” w znaczeniu „braku konfliktu”. W tym sensie uważamy bezpieczeństwo (mogliśmy również powiedzieć „pokój”), zdefiniowane jako nieobecność (militarnego) konfliktu, za wartość absolutną. Czy jest to jednak w ostatecznym rozrachunku dobre?

Jest to w zasadzie to samo pytanie, które Joschka Fischer postawił niemieckim Zielonym, kiedy w podczas wojen bałkańskich w latach 90. wystąpił przeciwko pacyfistycznej retoryce, mówiąc: „Nauczyłem się nie tylko hasła «Nigdy więcej wojny», ale również «Nigdy więcej Auschwitz»”. Druga część tego zdania oznacza w kontekście absolutyzacji pojęcia „bezkonfliktowości” (albo „pokoju”), że możemy znaleźć się ostatecznie w państwowych strukturach lub okolicznościach, w których poczujemy się całkowicie bezpieczni i chronieni przed konfliktem, lecz niestety pozbawieni wolności. Przykładowo, wewnątrz NRD panował pokój i nie pozostawało ono z nikim w konflikcie. Nie było jednak krajem „wolnym”. To dlatego wszystkie klasyczne programy wszystkich zachodnich, liberalno-demokratycznych partii zawsze łączą bezpieczeństwo, pokój z wolnością. Innymi słowy, sam pokój lub samo bezpieczeństwo w znaczeniu „braku konfliktu” nie jest tym, czego naprawdę nam trzeba.

Sądzę, że w zachodnich społeczeństwach nasila się tendencja do mówienia o „kryzysie” najczęściej w znaczeniu wziętym z tego „poststrukturalistycznego” słownika, gdzie pojęcia takie jak „władza”, „uprawnione wojny”, „moralność” lub wola „rzeczywistej obrony wartości” (np. „wolności”) są swego rodzaju tabu. Nie chcemy już dłużej być zaangażowani – pragniemy pokoju, lecz w istocie szukamy komfortu, spokoju. Konflikty wydają się nam przeszkadzać. Pytanie o to, czy jesteśmy w stanie za coś umrzeć, np. za Krym, za wyzwolenie i wolność Aleppo lub za historyczne pozostałości Palmiry (nasze światowe kulturowe dziedzictwo, którego moglibyśmy chcieć bronić jako elementu naszej cywilizacji i wyrazu naszych wartości), wydaje się ponad nasze siły. Nie chcemy już dłużej za nic

umierać, ponieważ nasze życie stało się miłe i wygodne. Chciałabym zostać dobrze zrozumiana, bo dotykam tak drażliwego tematu, który trudno jest wyczerpać przy użyciu nawet tysiąca słów – to że nasze życie tak właśnie wygląda, jest oczywiście wielką zasługą naszych czasów. Jednak takie poczucie oddala nas od filozoficznych klasyków, takich jak Juwenalis, który pisał: „Nikczemnie jest przedkładać nagie życie ponad honor i po to, by pozostać żywym, stracić życia sens”. Na tym właśnie polega bycie słynnym Hegłowskim niewolnikiem i jest całkiem możliwe, że zachodnie społeczeństwa w tym sensie się nim stały – rodzajem zbiorowego niewolnika własnego poczucia komfortu.

Intelektualnym zadaniem tych społeczeństw może dziś zatem być ponowne wykształcenie w sobie czegoś na kształt „normatywnej zdolności” i niepoprzestawanie na „liberalnym” i koniec końców „arbitralnym” rozumieniu konfliktu jako czegoś samoistnie złego. Po niemiecku określa się to słowem *Beliebigkeit*. Strategia, która z unikania konfliktu czyni wartość absolutną, jest w tym właśnie sensie arbitralna (*beliebig*). Zmagamy się tu z olbrzymim problemem postmodernistycznego pojmowania liberalizmu, który Jean-Claude Michéa opisał w swojej błyskotliwej książce „L'Empire du moindre mal. Essai sur la civilisation liberale” („Imperium mniejszego zła. Esej o cywilizacji liberalnej”, 2007), zasługującej na polskie tłumaczenie.

Dziś jednym z największych problemów liberalizmu jest to, że zarówno lewica, jak i prawica mniemają, że mogą przyswoić sobie jedynie połowę tego, z czego składa się liberalizm. Lewica sądzi obecnie, że może sięgnąć jedynie po kosmopolityczne wartości liberalizmu – tolerancję wobec homoseksualistów lub uchodźców, a więc otwartość

pod względem wartości – bez sięgania do otwartości ekonomicznej czy też liberalizmu rynkowego. Jednocześnie prawica uważa, że może poprzestać na ekonomicznym i rynkowym liberalizmie (np. wolnym handlu), konkurencyjności itp. bez wzięcia pod uwagę aspektu kosmopolitycznego. Jednakże liberalizm jest zawsze „podwójnym pakietem” – żaden z tych dwóch liberalnych elementów nie występuje samodzielnie.

Michéa skarży się w ten sposób na to, że zachodnie społeczeństwa utraciły umiejętność rozróżniania, wykrywania tego, czym jest lewica, a czym jest prawica, i w konsekwencji – co jest „dobre”, a co „złe”. Dzieje się tak, ponieważ wszystkie te pojęcia są roztopione w arbitralnym pojęciu liberalizmu, który oznacza, że „wszystko jest dozwolone” z wyjątkiem społecznych moralnych sądów – jedyną rzeczą, na której nam zależy, jest nieobecność „konfliktu”.

By wyrazić to w jeszcze bardziej ostrzych słowach: wydaje się, że Europa, czy też zachodnie społeczeństwa, straciły pojęcie tego, czym jest heroizm³⁸. Przykładowo, nie chcemy być narażeni na atak terrorystyczny (lub nim niepokojeni?). Czy w tym przypadku bronimy naszego „pokoju” (rozumianego jako „brak konfliktu”), czy też bronimy wartości, co ogłaszamy, ruszając na wojnę z ISIS? Wiem, że stwierdzenie to jest prowokacyjne i jednocześnie całkowicie politycznie niepoprawne, ale wojownicy ISIS są gotowi umrzeć za swoje „wartości”, jakkolwiek szalone i irracjonalne by one nie były. Czy jesteśmy gotowi

³⁸ Por. Na przykład Tod Lindberg, „The Heroic Heart” lub Pankaj Mishra, „ISIS. Die Attraktion des Ressentiments und der bevorstehende Flächenbrand” [w:] „La Lettre International”, vol. 110, Herbst, 2015.

umrzeć za swoje? Przemoc, jak uczy nas socjologia, jest formą krytyki. Czy jesteśmy gotowi wysłuchać tej krytyki? Być może już najwyższa pora, by przynajmniej rozpocząć na ten temat dyskusję, do której ten bardzo krótki tekst w oczywisty sposób może stanowić tylko skromny wkład.

Thum. Piotr Kieżun

ULRIKE GUÉROT

jedna z założycielek i dyrektorka European Democracy Lab, think tanku zajmującego się przyszłością demokracji w Europie. W 2007 r. założyła berlińskie biuro European Council for Foreign Relations, którym zarządzała przez kolejne sześć lat. W 2013 r. wspólnie z Robertem Menassem opublikowała „Manifesto for a European Republic”, w którym zaapelowała o powołanie Republiki Europejskiej.

JAROSŁAW HRYCAK

Paradoks europejskich kryzysów

Jarosław Hrycak, ukraiński historyk, analizuje trójstronny charakter nieustającego „kryzysu europejskiego”, a także sytuację samej Ukrainy w tym kontekście, przechodząc od pozbawionego złudzeń oglądu aktualnej sytuacji politycznej do wyrażenia nadziei na zmianę, którą przyniósł nowy rodzaj rewolucji symbolizowany przez Euromajdan.

Zabawię się przez chwilę w adwokata diabła. Nie będę tylko krytykował Europy, zamierzam również jej bronić. Uważam, że Unia Europejska spełnia wiele zadań, do realizacji których została stworzona – i wiele z tych zadań odnosi się również w znacznym stopniu do Ukrainy. Po pierwsze, sądzę, że istnieje w Europie pewne minimum solidarności w kwestii Ukrainy. Z jednym bodaj wyjątkiem: Węgier. Nie licząc Węgier, ciężko znaleźć jakiegokolwiek europejski rząd, który byłby jednoznacznie prorosyjski lub proputinowski. Jeżeli uważacie, że to nie wystarcza, zastanówcie się jeszcze raz. Pamiętacie czasy, kiedy Schröder urzędował w Berlinie, a Putin wielokrotnie odwiedzał Rzym, w którym był przyjmowany przez

Berlusconi? Dodajmy do tego francuskie okręty wojenne typu Mistral, które mogły teraz patrolować ukraińskie wybrzeże jako część rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Jeśli uświadomimy sobie te okoliczności, to trudno zaprzeczyć, że coś jednak udało się Unii Europejskiej osiągnąć. Udało się jej zniweczyć nadzieje Rosji na to, że Europa będzie podzielona, słaba i niezdolna do sprzeciwienia się rosyjskiej agresji.

Po drugie, uważam, że europejski kryzys dowodzi, paradoksalnie, poprawnego funkcjonowania Unii Europejskiej. Czy ktoś słyszał, żeby na Kremlu mówiono o kryzysie rosyjskich interesów czy rosyjskich wartości? Albo że w Pekinie powszechnie dyskutuje się nad wyzwaniem, przed którym stoi Azja? Jest coś istotnie europejskiego w debacie o kryzysie. Fakt, że poddajemy Unię Europejską krytyce, dowodzi tylko, że nic fundamentalnego jej nie dolega.

Po trzecie, Europa bardzo przypomina Ukrainę. Od kiedy Ukraina odzyskała niepodległość, słyszałem wiele przepowiedni, że kraj ten nie przetrwa dłużej niż 2 lata, że błyskawicznie się rozpadnie i zniknie z mapy politycznej. Ciągłe słyszymy to samo o Unii Europejskiej – że jest skazana na porażkę, że jej polityka wielokulturowości zawiodła itp. Tymczasem Unia Europejska wciąż istnieje jako europejska wspólnota, jako swego rodzaju heterogeniczna jedność, która pozostaje względnie stabilna. Jeśli zsumujemy te trzy elementy, to dojdziemy do wniosku, że Unia Europejska działa i to działa całkiem dobrze.

POZA ABSOLUTNE MINIMUM

Dotychczasowe uwagi uważam jednak tylko za minimalne wymagania stabilności, które były wystarczające w spokojnych latach 90. Spodziewano się, że po upadku

komunizmu nadejdzie koniec historii i że świat będzie już prosty – snuto tego rodzaju osobliwe prognozy. Dziś wiemy, że historia potoczyła się dalej i inaczej. Sądziłem, że symbolem nowego świata stanie się upadek muru berlińskiego z 9 listopada 1989 r. – 11/9. Tymczasem nowym symbolem okazał się być 11 września 2001 r. – 9/11, dzień ataków terrorystycznych w Nowym Jorku. Żyjemy w nowym świecie, świecie kryzysu, w którym główną kwestią pozostaje bezpieczeństwo, w świecie bardzo zawilej obywatelskości.

Zarówno Unia Europejska, jak i Ukraina są częścią tego świata i tego kryzysu. Co czyni Ukrainę wyjątkową, to fakt, że była ona świadkiem najbliższego bramom Europy kryzysu – zapewne z jednym obecnie wyjątkiem: uchodźców z Syrii, którzy dosłownie wnieśli światowy kryzys do Unii. Jak wobec tego możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo? Na to pytanie nie znam odpowiedzi, ale musimy przynajmniej zacząć zadawać właściwe pytania. Jeszcze tego nie robimy, ponieważ przywykliśmy do myślenia w kategoriach minionego, bezpiecznego świata.

Wojna ukraińska będzie trwać. I będzie to długa wojna. Nie spodziewam się, że może to być taki kryzys, który zostanie rozwiązany w ciągu następnych kilku miesięcy czy nawet roku. Musimy być na to przygotowani. Jako Ukraińcy jesteśmy obecnie w sytuacji Libanu czy Izraela, ale nie jesteśmy na to gotowi psychicznie.

Obecny kryzys na Ukrainie ma źródło w naszych zbyt wysokich oczekiwaniach. Były one fałszywe, ponieważ z reguły wierzymy w opowieści i czasem w tej wierze bywamy zbyt naiwni. Powiedziano nam, że Unia Europejska jest wspólnotą wartości. Europa miała być zjednoczona wokół wspólnych wartości, do których należy

bezpieczeństwo i demokracja. Pięknie to brzmi, ale jest to wielkie złudzenie – to nie są moje słowa, lecz Tony’ego Judta. To mit w pejoratywnym znaczeniu, nie coś, co jednoczy, ale coś, co wprowadza w błąd.

ODDOLNA ZMIANA: NOWE REWOLUCJE WISZĄ W POWIETRZU?

Wspólnota Europejska powstała po II wojnie światowej jako element nowego powojennego ładu. Została zbudowana wokół interesów, a nie wartości. Nie wiedzieliśmy, że ta wspólnota się kruszy, a nie wiedzieliśmy tego, ponieważ okazuje się, że same interesy to za mało, a tych przemian nie udało się nam ani uchwycić, ani zrozumieć. W ciągu ostatnich 10 lat pojawiło się i zyskało nazwę nowe zjawisko: „prekariat”. Znam wiele artykułów napisanych po ukraińsku, po polsku, a także w innych językach, które potępiają to sformułowanie jako odnoszące się do czegoś wymyślonego, nierzeczywistego. Obecnie, po wyborach parlamentarnych w Polsce w 2015 r., w których wielu rozczarowanych młodych ludzi poparło Pawła Kukiza, trudno już znaleźć polskiego politologa krytykującego ten termin. To samo dotyczy Ukrainy.

Bez zrozumienia, czym jest prekariat, nie można pojąć różnicy pomiędzy Majdanem z 2004 r. a Euromajdanem z przełomu lat 2013–2014. Były to zupełnie inne rodzaje rewolucji. Przykładowo, pierwszy Majdan był emanacją społeczeństwa obywatelskiego, w którym dużą rolę odgrywali przywódcy. Przypomnijmy sobie Wiktora Juszczenkę i Julię Tymoszenko, którzy na tamtym Majdanie znaczyli bardzo wiele. Druga rewolucja miała zupełnie inny charakter, to masy społeczeństwa obywatelskiego odgrywały główną rolę, a przywództwo polityczne było tylko często

krytykowanym dodatkiem do tłumów. Oto zmiana pokoleniowa, tym właśnie jest polityczna siła prekariatu.

Jeśli potrzebujecie zgrabnego porównania, to najlepiej spojrzeć w kierunku ruchu Occupy Wall Street, protestów na stambulskim placu Taksim albo ostatnich demonstracji w Moskwie. Tego rodzaju zjawiska są zupełnie nowe i wciąż brak nam języka, by je dokładnie opisać. Rewolucja prekariatu spełnia wiele wymagań pozwalających uznać, że odzwierciedla ona wartości nowego rodzaju – wartości autoekspresji. Zasadniczym archetypem tego typu rewolucji nie jest żadna wielka rewolucja, która przybiera ogromne rozmiary i jest niezwykle krwawa, taka jak rewolucja francuska czy rosyjska. Korzenie nowych rewolucji sięgają Paryża 1968 r.

Stajemy obecnie wobec zupełnie bezprecedensowych zmian, z którymi nie umiemy sobie radzić. Jeśli rozmawiając o rewolucji, przywołujemy rok 1789 czy 1917, to pomijamy podstawową kwestię, istotę rewolucji tego nowego typu. Najważniejsze to pamiętać, że wartości należy traktować poważnie. Wartości mają znaczenie, nie są listkiem figowym, dlatego potrzebujemy nowej polityki wartości. Być może brzmi to utopijnie, lecz potrzebujemy również utopii. Leszek Kołakowski powiedział, że Europa jest w kryzysie, ponieważ brakuje nam nowej utopii, nowego mitu w pozytywnym sensie, nowej religii.

Pozostało jednak jeszcze trochę powodów do optymizmu, ponieważ sądzę, że to właśnie ta młoda rewolucja, młode pokolenie, które stanie się wkrótce podstawą społeczeństwa, może przynieść zmianę. Większość z tych wydarzeń miała miejsce na peryferiach Europy – w Turcji, Rosji, na Ukrainie. Sam prekariat też ma bardzo peryferyjny charakter, spotykamy się zatem z owocem podwójnej

peryferyjności, co czyni tę kombinację szczególnie wy-
dajną. Nie mam odpowiedzi na pytania o ukraiński i eu-
ropejski kryzys, ale wysuwam jeden postulat, dla mnie
osobiście zasadniczy: dopuście do siebie Ukrainę. Przyj-
mijcie nas, bo jak na ironię, Ukraina jest bodaj jedynym
lub ostatnim państwem w Europie, które wciąż poważnie
traktuje europejskie wartości. Do tego stopnia, że ludzie
są tutaj gotowi poświęcać za nie swoje życie. Jeśli chce-
my jakiejś zmiany, jeśli chcecie zwiększyć szanse na odno-
wienie Europy, przyjmijcie Ukrainę i jej nowe pokolenie.

Tłum. Adam Suwiński

JAROSŁAW HRYCAK

ukraiński historyk i publicysta, profesor Ukraińskiego
Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie i Uniwersytetu
Iwana Franki, redaktor naczelny czasopisma „Ukraina
Moderna”.

JAROSŁAW PIETRAS

Opieszałość czy konsolidacja przez kryzys?

O trudnościach, ale i zaletach mechanizmów decyzyjnych Unii Europejskiej, oraz o tym, że obecny kryzys – jak wiele poprzednich – może być dla Europy szansą, mówi dyplomata i ekonomista Jarosław Pietras.

Dwa wydarzenia, których byłem niedawno świadkiem, zainspirowały mnie do refleksji na temat europejskich „kryzysów”. Pierwsze to duża demonstracja około 7 czy 10 tys. rolników na traktorach w Brukseli, po raz pierwszy od jakichś 7–8 lat w takiej skali. Przejazd naprawdę dużych maszyn rolniczych, wywołujących wrażenie i respekt wśród innych uczestników ruchu na ulicach Brukseli, kierujących się w stronę placu Schumanna i otaczających budynki Rady Europejskiej i Komisji przywracał obrazy z lat wcześniejszych.

Ponieważ nie mogłem opuścić budynku Rady – bo wszystko było otoczone traktorami i kordonem policji – a na ulicy dało się odczuć pewne napięcie, a nawet doświadczyć elementów przemocy, przypomniałem sobie właśnie te wcześniejsze lata. Dla rolników Unia Europejska znowu jest ważna, bo przecież gdyby UE nie miała dla nich

znaczenia, to nie demonstrowaliby przed Komisją Europejską czy Radą. Nie demonstrowaliby, gdyby nie mieli jakiejś sprawy do załatwienia i gdyby w tych instytucjach nie podejmowano decyzji ważnych dla nich jako obywateli UE. A zatem jest to swego rodzaju uznanie, że z punktu widzenia tej grupy społecznej istotne jest, aby zademonstrować swe poglądy – nawet w tak radykalny sposób. Faktem jest, że gdy w końcu udało mi się wydostać z budynku, pasażem prowadzącym obok Parlamentu Europejskiego, gdzie było zupełnie pusto, cicho i spokojnie, to pomyślałem, że w czasach sporu o kompetencje instytucji europejskich demonstranci też dokonują oceny roli poszczególnych instytucji i pokazują, jaka z ich punktu widzenia jest waga instytucji w rozwiązywaniu ważnych dla nich problemów.

Drugie wydarzenie, które też niedawno miało miejsce, to spotkanie think tanku Bruegel, gdzie przemawiał przewodniczący Rady Europejskiej, Donald Tusk. Mówił, że w obliczu problemów, przed którymi stoi UE, powinniśmy być bardzo pragmatyczni, robić raczej to, co jest możliwe, niż nastawiać się na tworzenie nowych wielkich wizji, przeprowadzania rewolucyjnych zmian w traktatach. Jak sądzę, przede wszystkim myślał o kwestiach dotyczących finansów, bankowości, unii bankowej i tego rodzaju konkretnych sprawach, ale chodziło też o cały szerszy kontekst. Nie sądzę, że to jest tylko jego zdanie, ponieważ on jako organizator debaty politycznej w Radzie Europejskiej dobrze wyczuwa myśli również innych uczestników tego procesu i chłodno ocenia, co przywódcy wszystkich państw europejskich mogą chcieć zrobić, a na co nie będzie przyzwolenia.

Obecnie, a jest to czas silnych turbulencji, wskutek których UE przeżywa bardzo wiele trudności i zmagają się

z określeniem tego, w jaki sposób powinna reagować, Unia staje się bardziej introwertyczna. Uzgodnienie wspólnej odpowiedzi na nieoczekiwane problemy wewnętrzne zabiera tak dużo energii politycznej, że jest dużo trudniej o formułowanie spójnej polityki dalszego rozwoju, nowych celów i sposobów ich osiągnięcia. To wcale nie znaczy, że przy głębokości obecnych problemów Unia nagle traci zdolność do działania. Wręcz przeciwnie – przy większych problemach to, co było niemożliwe wcześniej do uzgodnienia, staje się konieczne. Przywódcy UE nigdy nie działali szczególnie spójnie i konsekwentnie, ale w obliczu kryzysu następuje swojego rodzaju konsolidacja i podejmowane są decyzje trudne, co do których wcześniej nie było zgody. Tak np. w okresie kryzysu bankowego UE podjęła kroki uprzednio niemożliwe do wypracowania, w odniesieniu do problemów Grecji też podjęła kroki, które nie znajdowały wcześniej praktycznie żadnego poparcia. Ku pewnemu zaskoczeniu nawet w sprawach zewnętrznych właściwie prawie wszystkie kraje UE (choć jedne mniej, a inne bardziej chętnie) dość jednoznacznie opowiedziały się za sankcjami wobec Rosji, mimo że interesy poszczególnych krajów członkowskich UE prowadzone z Rosją czy Ukrainą są bardzo zróżnicowane. Przykład ten pokazuje, że w sytuacjach kryzysowych wobec niektórych zasadniczych spraw Unia potrafi się odwołać do wartości i przyjąć wspólne działanie, nawet gdy nie jest to w pełni zgodne z interesem lub polityką poszczególnych państw członkowskich.

UNIA EUROPEJSKA – TEN DZIWNY I SKOMPLIKOWANY TWÓR

Kryzysy dynamizują dyskusje w Unii, chociaż szukając

rozwiązań swoich wewnętrznych problemów, Unia angażuje masę energii na to, żeby uzgodnić poglądy, które wewnątrz każdego państwa członkowskiego uzgadnia się bardzo szybko. Europa jest trochę jak wielkie pole minowe. Myślę, że jest to dość trafne zobrazowanie sytuacji, bo co prawda nie jest do końca jasne, jakie są potencjalnie problemy, gdzie są ulokowane, jaką mają siłę oddziaływania i na kogo oddziałują, ale wiemy, że istnieją i trzeba zachować ostrożność przy ich rozwiązywaniu. Dlatego Europa porusza się ostrożnie i jest tworem dużo mniej dynamicznym niż inne potęgi światowe. To jest zresztą przyczyną odbioru UE jako organizacji mającej spóźnione reakcje, przy dość rozpowszechnionych publicznych oczekiwaniach, że w odpowiedzi na tak trudne europejskie problemy działania będą szybkie i radykalne. Wynika to z kontrastu pomiędzy tempem działania rządów państw członkowskich a tempem działania UE. Wiele z oczekiwań, że na forum UE problemy zostaną szybko rozwiązane, a sporne kwestie rozstrzygnięte, jest jednak bezzasadnych, ponieważ państwa członkowskie mają wypracowane odmienne stanowiska, a UE nie jest tworem wszechwładnym, ignorującym opinie krajów członkowskich. UE składa się z 28 państw odpowiadających za sytuację na swoim terytorium, starających się działać wspólnie w strukturach wzajemnej współpracy. Nie jest jednak tworem jednolitym, takim jak państwo narodowe. Natomiast UE bardzo często postrzega się właśnie poprzez pryzmat tych samych pojęć, które odnoszą się do państw członkowskich i oczekuje się od UE działania tak samo skutecznego jak w przypadku konkretnego rządu, który jest wyposażony w dużo szerszą gamę instrumentów pozwalających na reagowanie w szybszy i bardziej spójny sposób. Oczekiwania, jakie stawiamy

przed UE, są nadmierne. Nie możemy oczekiwać, że Unia nagle rozwiąże problemy, do których rozwiązania nie jest przygotowana ani odpowiednio wyposażona.

Dopiero kiedy problemy urosną do tego stopnia, że wiele krajów jest zainteresowanych ich rozwiązaniem, UE jest wykorzystywana jako platforma, która pozwala znaleźć porozumienie między państwami członkowskimi. Jeżeli jest to problem jednego, dwóch czy trzech krajów, to reakcja UE jest również dużo bardziej ograniczona. UE zawsze potrzebuje więcej czasu, żeby uzgodnić rozbieżne poglądy wśród swych 28 członków.

Powyzsza cecha jest wyraźnie widoczna na różnych forach międzynarodowych, gdzie oczekuje się, że Unia będzie miała jednolity pogląd na daną sprawę. Jednak by tak się stało, najpierw muszą odbyć się, często organizowane od wczesnego rana, a czasami równoległe do posiedzeń, spotkania koordynacyjne przedstawicieli państw członkowskich UE, którzy uzgadniają, co właściwie może powiedzieć w ich imieniu przedstawiciel UE. Jest to w końcu wystąpienie w imieniu 28 państw i to, co zostało uzgodnione, jest często tak naładowane kompromisowymi formułami, że mało kto rozumie, co właściwie Unia jako całość chce powiedzieć. Dlatego bardzo często poza formalnym wystąpieniem przedstawiciela jest bardzo wiele rozmów kularowych, gdzie partnerzy próbują wyjaśniać stanowisko zarówno całej UE, jak i poszczególnych państw członkowskich w bardziej konkretnych sprawach. Być może właśnie w tym miejscu widać szczególnie wyraźnie, że Unia dochodzi do wypracowania stanowiska poprzez wewnętrzne negocjacje, a częścią negocjacji są kompromisy, które czasami są dla partnerów zewnętrznych dość trudne do zrozumienia.

WIĘCEJ EUROPY, MNIEJ PAŃSTW CZŁONKOWSKICH?

Dlatego zarówno w sprawach międzynarodowych, jak i wewnętrznych bardzo trudno jest UE działać w sposób klarowny i szybki. W bardzo wielu przypadkach, kiedy kraje członkowskie napotykają na jakiś problem – i to niezależnie od tego, czy jest to problem ekonomiczny, czy społeczny, zewnętrzny czy wewnętrzny – powstaje pytanie, w jaki sposób Unia ma się do niego odnieść. Kilka lat temu na publicznym spotkaniu w Brukseli ówczesny premier Włoch, Enrico Letta, prezentując stanowisko swojego kraju i wyjaśniając, czego oczekiwaby jako szef rządu wobec licznych problemów Włoch, powiedział, że chciałby więcej Europy, która mogłaby częściej decydować właśnie w tego typu sprawach. Zapytałem go wtedy, czy mówiąc „więcej Europy”, ma jednocześnie na myśli „mniej Włoch”? Przecież „więcej Europy” oznacza przekazanie większych kompetencji strukturom europejskim, a to oznacza, że kiedy jest problem we Włoszech, to ich premier musi powiedzieć swemu społeczeństwu, że nie jest kompetentny w danej sprawie – kompetentna jest Bruksela.

Otóż w tym domaganiu się, żeby Europa zrobiła coś więcej, szybciej, bardziej radykalnie, pomijamy fakt, że to się musi wiązać z przekazaniem części kompetencji państwa członkowskiego i że w rezultacie jednocześnie nie jest możliwe podjęcie decyzji w tej samej sprawie na poziomie narodowym. Problem polega więc na tym – i jest to wyzwanie naszych czasów – że obecnie większość polityków, oczekując od Europy większego zaangażowania, większej skuteczności, zwiększonej intensywności działania, stoi jednocześnie przed społeczeństwami, które w sytuacji kryzysu oczekują szybkich działań i skutecznych rozwiązań nie od bezosobowej Brukseli, ale

od najbliższego im, bo przez nich wybranego, rządu. Jeżeli rząd mówi: „Nie możemy działać, ponieważ reguły, decyzje europejskie nie pozwalają np. przekazać dotacji”, to wtedy społeczeństwa odpowiadają: „To znaczy, że Europa jest problemem, a nie rozwiązaniem. Wybieramy nasze krajowe władze po to, żeby rozwiązywały problemy, a nie zasłaniały się niezrozumiałymi regułami prawa europejskiego i decyzjami «bezdusznych brukselskich urzędników»”.

DOBRE STRONY KRYZYSU

Warto jednak podkreślić, że czasy głębokiego kryzysu, a w szczególności pewnego zagrożenia zewnętrznego, są czasami w najwyższym stopniu konsolidującymi wspólne działania. Jeśli popatrzymy na historię UE, to zaobserwujemy, że były w niej liczne momenty stagnacji, kiedy to Wspólnota nie rozwijała się, a poszczególne państwa przeżywały coś, co można by nazwać „eurosklerozą”. Dopiero kryzysy i zewnętrzne zagrożenia powodowały, że państwa członkowskie decydowały się na rozwiązania, których przez lata nie można było uzgodnić. Wspomniany wcześniej kryzys finansowy i sprawy unii bankowej, a nawet dyskusje o podatkach pokazują, że w czasach względnego spokoju były to tematy tabu. Niemocna decyzja została przełamana dopiero w reakcji na kryzys. Państwa członkowskie działające w ramach UE zawsze z dużo większą swobodą współpracują ze sobą w czasie, gdy są poddane swoistej presji.

I ostatnia uwaga, która odnosi się do relacji zewnętrznych Unii Europejskiej. UE ma ogromną siłę oddziaływania, lecz nie polega ona na sile wojskowej. Ma ogromną *softpower* – siłę oddziaływania poprzez przykład, poprzez

przekonywanie, poprzez standardy i poprzez to, że jest atrakcyjna również dla społeczeństw i państw ościen-nych. Dla Polski miało to ogromne znaczenie – to, że za osiągalny cel uważaliśmy przystąpienie do Unii Europejskiej, organizowało proces naszej transformacji, utrudniało prowadzenie polityki odsuwającej nas od Zachodu. Jednocześnie brak siły militarnej powoduje, że w przypadku UE bardziej wiarygodne jest przekonywanie przy pomocy przykładu. Tak rozumiem postulat, który sformułował Jarosław Hrycak, żeby pozwolić Ukrainie wstąpić do UE. To jest właściwie nie tylko kwestia samego pozwolenia, ale kwestia stworzenia wiarygodnej perspektywy ze strony Unii. Choć trzeba jednocześnie przyznać, że potrzebna jest także wiarygodna wola integracji z Unią ze strony Ukrainy. Dopiero wówczas porozumienie pomiędzy UE a Ukrainą może stać się czynnikiem sprawczym dla przemian w tym regionie. Jest to optymistyczny wariant rozwoju wydarzeń, w którym UE pozytywnie wpływa na to, co dzieje się na Ukrainie.

JAROSŁAW PIETRAS

polski urzędnik państwowy, dyplomata, ekonomista, były minister ds. europejskich, dyrektor w Sekretariacie Generalnym Rady Unii Europejskiej.

ZAPIS PIERWSZEGO PANELU KONFERENCJI

Jak sterować europejskim statkiem w czasie globalnego sztormu?

O politycznej strategii Władimira Putina, słabości Unii Europejskiej i oczekiwaniach Ukrainy rozmawiają Viola von Cramon, Jarosław Hrycak, Josef Joffe, Aleksander Smolar, Adam Daniel Rotfeld, Katja Gorczyńska i Karolina Wigura.

Karolina Wigura: Mówi się czasem, że kryzys jest twórczy. Robert Cooper wskazywał na to, że kryzys może być szansą. Czy jednak na pewno stać nas na taki optymizm w roku 2015, kiedy stajemy wobec tak dużego nagromadzenia kryzysów w Europie? Zdaje się, że do głosu na całym kontynencie zaczyna dochodzić nowe pokolenie – to które znamy z ruchu Occupy, ale też objawiające się raczej jako „młodzi wkurzeni” wyborcy Pawła Kukiza. To pokolenie odziedziczy Unię Europejską i unijny proces decyzyjny zupełnie dla laików i dla tego pokolenia niezrozumiały, tak powolny, tak bardzo pozbawiony sprawczości. Czy nie stoimy przed niebezpieczeństwem, że Unia rozpadnie się razem z odejściem pokolenia, które sprawuje dzisiaj w niej władzę? Jak powiązane są ze sobą europejskie

kryzysy? Na ile Unia i Europa są w stanie wytrzymać te napięcia?

Aleksander Smolar: Nie podzielam optymizmu Roberta Coopera, choć mogę pójść na kompromis i powiedzieć jak pewien wybitny polityk, że kryzys jest rzeczą zbyt cenną, żeby ją zmarnować. Można powiedzieć, że kryzys ma w sobie wartość pozytywną, zmusza do reakcji i do poszukiwania nowych odpowiedzi.

U jednego z analityków europejskich znalazłem wizję zagrożenia Europy przez „czterech jeźdźców apokalipsy”. Te cztery zagrożenia dla Europy to, po pierwsze, agresja Rosji na Ukrainę – podważenie zasad, na jakich budowano ład po wojnie, m.in. fundamentalnej zasady, potwierdzonej w 1975 r. w Helsinkach, że nie można zmieniać granic siłą. Drugie to kryzys ekonomiczny i finansowy, który doprowadził do niedawnego przesilenia w Grecji, choć nie sądzę, żeby to był koniec. Trzecie to zmiana charakteru eurogrupy i rozkruszanie Unii – niebezpieczeństwo wyjścia Grecji ze strefy euro i Wielkiej Brytanii z Unii w ogóle. To ostatnie zwiększa się dzięki czwartemu, najbardziej dramatycznemu kryzysowi, tzn. masowej imigracji. Te wszystkie kryzysy są ze sobą powiązane.

Karolina Wigura: A czy to nie jest tak, że mamy jeszcze piąte zagrożenie, którym jest kryzys przywództwa politycznego w Europie?

Aleksander Smolar: Oczywiście, że jest więcej problemów i słabości. Można by je mnożyć. Jest np. kryzys partii populistycznych, co przekłada się w dużym stopniu na szerszy kryzys demokracji europejskiej. Dodatkowo w prepychankach wokół problemu Grecji, kiedy naciski sektora bankowego na polityków stały się bardzo widoczne, zostały

zakwestionowane pewne elementarne zasady demokracji. Europa nie jest jednym państwem. Mamy tu zderzenie z jednej strony demokracji na poziomie krajów członkowskich, z drugiej strony – próby przenoszenia kompetencji i szukania rozwiązań na poziomie międzyrządowym i unijnym.

Kolejna sprawa to przeplatanie się tych wszystkich czynników. Kryzys imigracyjny ma także wymiar wewnętrzny, widzimy to w Polsce i w całym naszym regionie. Migracja wewnątrzunijna do Niemiec czy Wielkiej Brytanii też generuje napięcia. To właśnie w reakcji na nie podniosła się temperatura debaty w Wielkiej Brytanii. Cameron mówił o „polskich robotnikach”, nie uchodźcach. Innymi słowy tych wzajemnie powiązanych kryzysów jest bardzo dużo.

W związku z tą sytuacją nie wierzę w postawę, jaką przyjął np. Donald Tusk, który niedawno w Słowenii powtórzył to, co mówił i w Polsce, kiedy był premierem. Mówił, że nie potrzebujemy jakiejś wielkiej wizji, tylko musimy iść do przodu kroczonek po kroczonek. Niestety – nie. Przed nami są naprawdę dramatyczne problemy, które wymagają odpowiedzi i odwagi. Dzisiaj jedynym odważnym politykiem w Europie jest Angela Merkel. Jej postawa w sprawie kryzysu imigracyjnego jest godna podziwu. Podobnie jak zachowanie Niemców.

Karolina Wigura: Jedyną odpowiedzią, która jest odważna, jest „odpowiedź wartości”?

Aleksander Smolar: Problem kryzysu w najgłębszym sensie dotyczącego europejskich celów i wartości polega m.in. na tym, że tradycyjne cele się zużyły. Tymi celami było zapobieżenie wojnie europejskiej i totalitaryzmom – tych niebezpieczeństw dzisiaj nie ma. Obrona przed Związkiem Radzieckim? Związku Radzieckiego już nie ma i jak

na razie Rosja nie jest takim zagrożeniem. A rozwój gospodarczy, którego UE w ostatnich 15 latach nie była w stanie zapewnić? To jest poważne źródło problemów. Widzimy dzielenie się w Unii. Mamy dramatyczne podziały w Europie: Północ–Południe, kraje rozwinięte kontra mniej rozwinięte, zadłużone kraje i pożyczkodawcy, Niemcy *versus* reszta. Zastanawiam się więc, czy to, co dzisiaj obserwujemy, nie jest kryzysem znacznie głębszym, czy raczej – kryzysem wartości naprawdę bardzo głębokich.

Katja Gorczyńska: Ustaliliśmy, że Europa powstała w odpowiedzi na wyzwania, które w międzyczasie zniknęły, ale zarazem stoimy przed licznymi wyzwaniami, na które Europa nie jest przygotowana. Ten kryzys w gruncie rzeczy każe nam się zastanowić, jak powinniśmy poradzić sobie z tymi wyzwaniami. Czego więc potrzebuje Europa, by się z nimi zmierzyć?

Viola von Cremon: Unii Europejskiej udało się wytworzyć dużo *soft power*, przyciąga też ludzi. To oczywiste. Irytujące jest jednak, że choć unijni politycy powołują się na ten fakt, by dowieść siły Europy, to UE ignoruje tych, którzy się do niej garną z zewnątrz. To niebezpieczne, gdy wypracowujesz *soft power* i podtrzymujesz wizerunek – skądinąd prawdziwy – dobrego miejsca do życia, lecz brak ci konsekwencji, by uczynić dalsze kroki. Ukraina jest bardzo dobrym tego przykładem – wystarczy spojrzeć na rewolucję na Majdanie, „rewolucję godności”. Wielokrotnie byłam na Ukrainie, rozmawiałam z ludźmi, którzy tygodniami, miesiącami stali na Majdanie, których krewni i przyjaciele zginęli w starciach. I oczywiście pytali: po co to robili, skoro nie mają teraz żadnych perspektyw?

Póki ociągamy się przed otwartym wsparciem Ukrainy, potrafimy zrozumieć, dlaczego Ukraińcy mają serdecznie

dosyć Unii Europejskiej. Mają dosyć swojego byłego rządu. Obecnego też – bez dwóch zdań. Ale Ukraina jest dobrym przykładem przegapionej szansy. Oligarchia mogła zostać już wcześniej odsunięta od władzy. Jeśli śledzicie uważnie tamtejsze wydarzenia – są tam dziennikarze, którzy dokładnie wiedzą, co się dzieje. Można było przysłać unijnych ekspertów, połączyć siły z tamtejszymi niezależnymi dziennikarzami i zbadać korupcję i grabież mienia na poziomie administracji. Co więcej, należało położyć większy nacisk na reformy, zanim uruchomiono fundusze – na Ukrainie należało zastosować logikę warunkowości.

To byłoby dla niej prawdziwym wsparciem, nie wspominając o bardziej zdecydowanych działaniach w sprawie wojny na wschodzie kraju. Nadal ociągamy się przed wysłaniem Ukraińcom jasnego sygnału, pokazaniem Putinowi, że jest granica, której nie może przekroczyć, i zarazem naciskaniem na obecny ukraiński rząd. Przez cały zeszły rok nie zauważyłam, żeby podjęto te dość oczywiste działania, więc jestem absolutnie rozczarowana postępowaniem Unii Europejskiej. Nie potrafi wykorzystać swojego potencjału i stać się tym, czym mogłaby się stać. Znowu wracamy tu do wartości. Rozumiem rozczarowanie Ukraińców Europą. To poczucie, że niezależnie od tego, ile przeprowadzą reform, jak dobrze się zorganizują, jak bardzo polepszy się klimat do inwestycji, nadal nie ma szansy na to, żeby dołączyli do tego europejskiego kręgu.

Katja Gorceżyńska: W centrum ukraińskiego kryzysu jest Rosja, ale właściwie Rosja zamieszana jest w znacznie więcej kryzysów. Brała udział w kryzysie greckim, obecnie bierze udział w kryzysie uchodźczym – wszak

wspiera dyktatora, który zmusił tych ludzi do ucieczki. Sporo powiedzieliśmy już na temat roli Europy w tym kryzysie, ale niewiele o udziale w nim Rosji.

Roman Kuźniar: Myślę że ten kryzys niewiele nowego mówi o Rosji. To co Rosja robi wobec Ukrainy, to co zrobiła wobec UE w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, to są rzeczy przewidywalne. Nie są niespodzianką czy zaskoczeniem. Myślę, że dla samej Rosji zaskoczeniem jest to, jak to się rozwinęło, bo sądziła, że będzie łatwiej, niż to się dzieje w rzeczywistości. Ale sprawy nie idą tak łatwo nie tylko dlatego, że UE stawiała opór, tylko dlatego, że Rosja gorzej radzi sobie z Ukrainą, niż zakładała.

Ten kryzys o wiele więcej mówi nam jednak o Unii i nie jest to nic dobrego. Brak jakby do końca zrozumienia powagi sytuacji, a sytuacja jest bardzo poważna. Tak poważna, że na miejscu byłoby przywołanie jednego z ojców założycieli Wspólnoty Europejskiej, Jeana Monneta. Mówił on, że Europa powstanie pośród kryzysów i będzie sumą odpowiedzi na te kryzysy. Muszę powiedzieć, że po raz pierwszy mam wrażenie, że Europa nie udziela odpowiedzi na jej poziomie; że jej kryzysy ją przewyższają; że ona sobie z tymi kryzysami nie poradzi, dlatego że od 2009 r. mamy do czynienia z trzema kryzysami, które uderzają w trzy główne polityki UE: w Schengen, w euro oraz we wspólną politykę zagraniczną, bezpieczeństwa i obrony. W tym ostatnim wymiarze rzeczywiście Rosja odgrywa ważną rolę. Atak Rosji na Ukrainę odsłonił to, o czym mówiliśmy już od dawna – mianowicie, że UE porzuciła wspólną politykę zagraniczną, bezpieczeństwa i obrony, że właściwie UE abdykowała.

Mamy do czynienia z procesem renacjonalizacji polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Przykładem jest zwłaszcza

„wielka czwórka”. Włochy prowadzą politykę niepoważną, Brytyjczycy się wyłączyli, a dwa kraje – Francja i Niemcy – wzięły na siebie ciężar negocjowania, pozostawiając UE na boku. A więc nie ma tu miejsca ani dla Catherine Ashton, ani dla Federiki Mogherini. Jediną reakcją na atak Rosji na Ukrainę są właściwie tylko sankcje. Sankcje bojaźliwe, sankcje niewielkie i przypomnijmy – wymuszone zestrzeleniem przez Rosjan samolotu MH17. Gdyby do tego nie doszło, tych sankcji by nie było. Dlatego że do tego momentu UE robiła wszystko, żeby, broń Boże, nie zareagować w sposób bardziej radykalny. Później już się nie dało postępować w ten sposób. Reakcja UE nie była ani geopolityczna, ani z dziedziny bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo to jest NATO, a nie UE. My możemy wysłać przedszkolanki do Afryki w ramach wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony, ale nic więcej. Była to reakcja na poziomie ideałów, wartości, dlatego że w interesie większości państw UE było podtrzymanie interesów z Rosją. To była reakcja na poziomie wartości, chociaż rzeczywiście bardzo łękliwa.

Karolina Wigura: François Hollande mówi, że jeśli rozmowy w formacie mińskim będą kontynuowane i przyniosą efekt, Unia być może uchyli drzwi i sankcje wobec Rosji zostaną zniesione. Biorąc pod uwagę jeszcze obecność militarną Rosji w Syrii, te dwa kryzysy – kryzys ukraiński i kryzys uchodźców – zaczynają być ze sobą powiązane znacznie bardziej, niż byśmy się mogli spodziewać, a to z kolei przenosi nas w sfer wartości i hipokryzji.

Josef Joffe: Uważam, że Europa dysponuje wieloma wartościami, ma dużo *soft power* i możliwości perswazji,

ale brak jej *hard power* i – przede wszystkim – poczucia tożsamości strategicznej. Spójrzmy na Putina. Jest chyba najbystrzejszym obecnie strategiem na świecie. Z czego to wynika? Nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka, uważnie przygląda się temu, co Sowieci nazywali „korelacją sił”. Szuka okazji i wykorzystuje je, ale nie robi tego awanturniczo, jak to było w przypadku Chruszczowa. Gdybym ja był Putinem i obserwował Europę, najpewniej zachowywałbym się podobnie. Cóż bym bowiem zobaczył? Europa ma 500 mln mieszkańców i 5,1 mln mężczyzn i kobiet pod bronią, więcej niż USA, a jej PKB przekracza amerykański – ale jest zarazem niezdolna do działań strategicznych. Przyjrzałbym się także Stanom Zjednoczonym, które przez 60 lat rekompensowały europejską niechęć lub niemoc do działań strategicznych. Niemniej, jak wiadomo, z 300 tys. amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Europie Zachodniej w szczytowym momencie zimnej wojny zostały obecnie dwie brygady. Gdybyście byli Putinem i to zobaczyli, dlaczego mielibyście nie zrobić tego, co on? Dlaczego nie wykorzystać okazji? Dlaczego nie odzyskać Krymu? Dlaczego nie namieszać na południowym-wschodzie Europy, skoro układ sił taktycznych i strategicznych sprzyja, a przeciwnikiem są ludzie niezdolni do prowadzenia wspólnej polityki zagranicznej?

Karolina Wigura: Czyli nie zgodziłby się pan z Iwanem Krastewem i Stephenem Holmesem, którzy twierdzą, że Putin jest zdesperowany i wywołuje te wszystkie kryzysy, by umocnić swoją pozycję w Rosji?

Josef Joffe: Jedno nie musi wykluczać drugiego. Nawet gdyby był zdesperowany sytuacją na froncie domowym – a być nie musi – nie mógłby poczynić tych działań, gdyby

nie trafił na sprzyjającą okazję i zaburzenie równowagi sił. Nie obchodzą mnie problemy Putina w Rosji. Chcę odtworzenia takiej równowagi strategicznej, jaką cieszyliśmy się w Europie przez 70 lat. Równowagi, która pozwoliła nam przewyciężyć stare animozje – choćby francusko-brytyjskie czy francusko-niemieckie – bo nagle pojawił się ktoś silniejszy od nas wszystkich. Razem ze Stanami Zjednoczonymi, które wówczas broniły nas przed sobą nawzajem i przed Związkiem Radzieckim. Pytanie brzmi, czy Europa, z jej ogromnym potencjałem, potrafi samodzielnie odtworzyć równowagę sił. Mam co do tego wątpliwości, więc zastanawiam się, czy może ktoś z państwa przekona mnie, że to niepotrzebne, albo powie, jak mamy tego dokonać.

Katja Gorczyńska: Uznajmy, że Putin ma taktyczną i pozornie także strategiczną przewagę, którą wykorzystuje – ale co próbuje osiągnąć?

Josef Joffe: Rosja osiąga bardzo niewiele i to jest właśnie ciekawe. Zadała pani bardzo ciekawe pytanie. Rosja wyładowała teraz z częścią Ukrainy, a czytałem gdzieś, że Putin musiał wpompować w nią 7 mld dolarów tylko po to, by dalej funkcjonowała. Jest to więc z gospodarczego punktu widzenia dla Rosji strata netto. To nie jest tak, jak 300–400 lat temu, kiedy mogliśmy podbić prowincję, a następnie zbierać z niej plony. Dziś podbój oznacza ubytek netto w dobrobycie. To ważna zmiana. Po drugie, jeśli chodzi o Południowy-Wschód, dodatkowo Putin stracił wizerunkowo, w ten sposób trwoni szacunek, sympatię i skłonność do współpracy z Rosją. Ciekawe więc, dlaczego to robi...

Robert Cooper: I pan nazywa go najlepszym strategiem na Ziemi?

Josef Joffe: Jest obecnie najlepszym strategiem w Europie. Jeśli udaje się zdobyć taktyczną przewagę, nie wzbudzając większego oporu czy wrogości, nie prowokując kontrposunięcia, jest to strategiczny majstersztyk.

Robert Cooper: Czy taktyczny?

Josef Joffe: Zgoda, taktyczny. Na dłuższą metę jego zdobycze przyniosą mu straty. Przypomnijcie sobie putinowską strategię z 2008 r., gdy udało mu się pokonać Gruzję. Udało mu się odzyskać Krym, udało mu się oderwać część Ukrainy, której teraz szybko nie zwróci. Zaangażował się militarnie w Syrii. W kategoriach europejskich, unijnych, może się to wszystko wydawać szalone. Gdy zacznie się kalkulować koszty i zyski. Zwłaszcza w zakresie reputacji i dochodu. Bardzo sprawnie udało mu się odtworzyć części starego imperium radzieckiego, nie przejmuje się zbyt opozycją i raczej dalej będzie tak postępował. Czy ktokolwiek tutaj wierzy, że w obliczu swego rodzaju prawa weta, które Putin zdobył w Europie, UE kiedykolwiek jeszcze zaproponuje Ukrainie umowę stowarzyszeniową?

Katja Gorczyńska: Czyli mamy do czynienia z taktyczną wygraną, ale – potencjalnie – i strategiczną porażką.

Roman Kuźniar: Uważam, że cele Putina i Rosji są od samego początku bardzo jasne. Strategicznym celem jest odzyskanie statusu mocarstwowego i stanie się jedną z niewielu sił decydujących o Europie i świecie w ramach „koncertu mocarstw”. Dlatego jestem tak niezadowolony z tych wszystkich głosów, najgłośniejszych w państwach Zachodu, że musimy zaoferować Rosji nowy europejski porządek. Co to oznacza? Otóż to, że musimy nagrodzić Rosję za to, co zrobiła, i dać jej jeszcze więcej. Oznacza,

że w obliczu jej inwazji na Ukrainę powinniśmy przedstawić jej nowy porządek, co byłoby dla Moskwy znacznie większym sukcesem – a osiągniętym przez złamanie podstawowych zasad nie tylko Europy, ale całego porządku międzynarodowego.

Adam Daniel Rotfeld: Nie zgadzam się z tymi interpretacjami. Mnie Putin nie wydaje się strategiem. Jego strategia jest zorientowana wyłącznie na zachowanie władzy. Wie, że Rosja ma ograniczone możliwości wpływania na ład światowy. Nie może konkurować z USA, Unią Europejską, Chinami. Utrzymanie władzy jest dla niego problematyczne. Josef Joffe stwierdził, że Putin nie ma opozycji – to prawda, przez ostatnie 15 lat ograniczał jej działanie i udało mu się stworzyć system bez żadnych alternatyw. Ale teraz stał się zakładnikiem tego systemu. Rosjanie przechodzą bardzo poważny kryzys – nie tylko gospodarczy, ale także polityczny i szerzej – uniwersalny. Ale opozycji nie ma. Putin wytworzył sytuację, w której Rosjanie nie mają wyboru, a teraz dodatkowo próbuje wyeliminować opozycję, która mogłaby się potencjalnie pojawić w najbliższych latach. Według mnie główny kłopot polega na tym, że problemy powstają nie między państwami, lecz wewnątrz państw – w Rosji, ale także na Ukrainie. Z kolei te wewnętrzne problemy prowadzą do powstania nowej jakościowo sytuacji, z którą nie możemy sobie poradzić z braku instrumentów.

Jarosław Hrycak: Uważam, że Putin miał strategię, ale jego strategia zawiodła. Jego główną strategią było przywrócenie Rosji statusu supermocarstwa, nie w obrębie byłego Związku Radzieckiego, lecz w małym rosyjskim świecie – a Ukraina była w tym celu niezbędna. Zwrot Ukrainy na Zachód oznacza przegraną Putina.

Pominęliśmy w naszej debacie porażkę „rosyjskiej wiosny” z 2014 r. To była jego strategia, a wiem to od wielu ekspertów, którzy znają go lepiej niż ktokolwiek inny. Bardzo poważnie podchodził do koncepcji Noworosji. Użył jej skrawki, tzn. Krym i Donbas, ale na nich samych mu nie zależało. Zależało mu na wybrzeżu Morza Czarnego i przemysłowym zapleczu Ukrainy, czyli Dniepropietrowsku i Zaporozżu. Bardzo konsekwentnie realizował tę strategię. To były bardzo spójne działania.

Putin zawsze podkreślał wagę wartości. Nie dostrzegamy, w jakim zakresie wartości stały się centralnym elementem jego retoryki. Nie mówił o wartościach europejskich, lecz o wartościach „ruskiego miru”, świata rosyjskiego, który rzekomo był innym modelem cywilizacji. Mowa tu o wartościach fundamentalnych. Ta strategia zawiodła i dla Ukrainy dobrze, że tak się stało. Uważam, że jego potencjału nie należy postrzegać w kategoriach absolutnych, lecz wyłącznie w odniesieniu do kogoś, do czegoś. W kwestii relacji z Europą jawi się jako strateg, bo sama Europa nie ma strategii.

Nie uważam, żeby obłożenie Rosji sankcjami wynikało z polityki wartości – nadal chodzi tu o interesy państw. W podstawowym interesie Unii Europejskiej leży nienaruszalność granic. Putin złamał podstawową zasadę Helsinek, Europa musiała więc zareagować.

Całkowicie zgadzam się z przedmówcami, iż przede wszystkim Unia Europejska powinna wysłać jasny sygnał, że przed Ukrainą jest jakaś perspektywa europejska. To przekazywanie wartości oparte na polityce. Jestem historykiem i mógłbym tu zacytować oświadczenie francuskiego ministra z lat 60. ubiegłego wieku, że Wielka Brytania nigdy nie będzie gotowa na dołączenie do Wspólnoty

Europejskiej. Nikt chyba nigdy nie jest na to gotowy. Nie jest to więc kwestia gotowości, lecz politycznej woli lub jej braku. Europa nie miała politycznej woli dania tej szansy Ukrainie. Nie jesteśmy naiwni, nie oczekujemy, że zostaniemy członkiem UE za rok, dwa czy nawet 20 lat, ale liczy się dla nas jakaś perspektywa. Traciecie Ukrainę, bo stoicie beczynnienie. Jeśli macie zmysł strategiczny, powinniście traktować Ukrainę jako państwo przynajmniej równie ważne jak Grecja, a nawet bardziej, bo tu idzie o strategię. Grecja nie jest strategiczna. Ukraina jest.

Karolina Wigura: To przypomina nam, że w polityce nie chodzi tylko o wartości i interesy – ważna jest także obietnica zmiany. Projekt europejski zasadał się na tej obietnicy, więc kwestia tego, czy Putin ma strategię, czy nie, jest dla mnie w gruncie rzeczy marginesowa.
Josef Joffe: Według mnie strategia nie jest kwestią ani marginesową, ani symboliczną.

Karolina Wigura: Nie chodzi mi o strategię jako taką, lecz o rozważania o toku rozumowania Putina. Wydajemy się skupiać tu na swego rodzaju psychoanalizie.
Viola von Cramon: Ja jednak chciałabym powrócić do motywów Putina – według mnie jego pozycja jest słaba i z pewnością jest sfrustrowany sytuacją wewnętrzną w Rosji. Nowe pokolenie jest sfrustrowane, więc by utrzymać się przy władzy, Putin musi odzyskać popularność na wewnętrznym gruncie. Całkowicie zgadzam się w tej kwestii z Josefem Joffe – UE nie sformułowała żadnej konkretnej odpowiedzi na jego ataki z 2014 r.

Bardzo skutecznie tworzy zaplecze dla swojej polityki w Europie – dokarmiając delikatnie Le Pen, obiecując

milion euro na jej kampanię wyborczą, współpracując z Alternatywą dla Niemiec (AfD), Narodowodemokratyczną Partią Niemiec (NPD) i z wszystkimi radykalnie prawicowymi partiami UE, robiąc zamieszanie w Syrii, włączając dagestańskich bojowników do walki za Państwo Islamskie, a równocześnie wspierając Assada sprzętem wojskowym. Wykorzystuje pełen zakres niszczycielskiej siły, jaką dysponuje, ale nie ma w tym żadnej strategii. Nie, zdecydowanie w żadnym momencie nie pokazał, że chce stać się graczem konstruktywnym. Ze sceptycyzmem obserwuję naszą inercję i ostatnie dwa lata naszej polityki zagranicznej – w jej obliczu Rosja raczej nie zrezygnuje ze swojej dotychczasowej taktyki. Nadal będzie podsycać te wszystkie ogniska zapalne konfliktów i napięć, na które może wyrzucić jakiś wpływ, by możliwie poważnie zaszkodzić Zachodowi.

Katja Gorczyńska: Czy wobec tego Putin nie wyświadcza Europie przysługi? Daje nam kolejne okazje ponownego przemyślenia wielu rzeczy, włącznie ze strategią obronną, bo wyzwania stawiane przez Rosję bardzo różnią się od tradycyjnych wyzwań z zakresu bezpieczeństwa. Z kolei nowa fala migracji zmusza do przyjrzenia się Schengen.

Roman Kuźniar: Z początku myślałem podobnie jak pani. Pomyślałem, że to jest taka szansa dla Europy – *hic Rhodus, hic salta!* Ale UE nie chciała do tej wody skoczyć, mimo że obiecywaliśmy sobie wiele po europejskiej polityce zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony. Ona była budowana od czasów Maastricht, okazało się jednak, że reagujemy na kryzys ukraiński nie poprzez wspólną politykę zagraniczną, bezpieczeństwa i obrony, tylko tak naprawdę dwa

kraje biorą na siebie ciężar negocjacji – skutek pozostawię bez komentarza.

Tak jak już powiedziałem, nie byłoby sankcji, gdyby nie zestrzelenie przez Rosjan malezyjskiego samolotu. Pamiętamy bardzo dobrze, jak Unia robiła wszystko, żeby żadnych sankcji tak naprawdę na Rosję nie nałożyć, co ja uważałem za szansę. Pokaż, co potrafisz, Europo – budowałaś potencjał, tyle obiecywałaś, ciągle mówisz o tożsamości międzynarodowej, globalnej potędze itd. To wszystko w świetle tego, co zrobił Putin wzięło w łeb. W tym sensie jest to porażka Europy, ale korzenie tego stanu rzeczy sięgają znacznie wcześniejszego okresu. Chciałbym przypomnieć słowa Petera Sutherlanda, świetnego brytyjskiego komisarza, który po upadku Traktatu Konstytucyjnego powiedział znamienne słowa. Powiedział, że po tym katastrofalnym referendum we Francji Unia straciła poczucie kierunku oraz została uszkodzona w najbardziej fundamentalnym sensie – pod względem jej przeznaczenia, tego, czym Unia ma być. Napisał to w 2005 r. Kolejne kryzysy zaczęły wybuchać później, a jednak również one potwierdziły słowa Sutherlanda. Niestety, jeśli przyjmemy nawet, że Putin dał nam szansę, to nie potrafiliśmy z niej skorzystać.

Karolina Wigura: Zaczęliśmy od mówienia o wielu kryzysach, które się nawzajem przeplatają. My jednak sprowadzamy wszystko do Putina albo do relacji Putin–Merkel – jeśli uznać, że rzeczywiście Angela Merkel jest jedyną odważną polityczką w UE. Czy to znaczy, że tamte kryzysy są mniej istotne? Czy rzeczywiście zasadnicze jest pytanie o siłę i o nic więcej?

Aleksander Smolar: To bardzo charakterystyczne, że rozmawiamy o Putinie. Stalin nigdy nie był przedmiotem takiej analizy, w której rozważano jego psychologię i potencjalne zachowania. Za Stalinem stał cały system. Słabość putinowskiej Rosji polega na tym, że wszystko sprowadza się w niej do jednego człowieka. Rozmawiałem z jednym z jego bliskich współpracowników, który powiedział mi, że do samego końca nikt nie miał pojęcia, że Putin planuje inwazję na Krym. Nawiasem mówiąc, Gruzja nie została podporządkowana Rosji. To wyolbrzymienie naszej słabości przedstawione jako sukces przeciwnika, co nie do końca musi być prawdą. Genialny rosyjski analityk z otoczenia Putina, Fiodor Łukianow, człowiek w średnim wieku, stwierdził, że mamy do czynienia z dwoma problemami. Pierwszym jest to, jak Zachód traktował Rosję – Łukianow mówi tu o swego rodzaju kompleksie wersalskim, nie podchodzeniu do Moskwy z pozycji partnera. Jeszcze ciekawszy jest jednak drugi problem. Celem Rosji było dołączenie do Zachodu, modernizacja, ale to się nie udało. Putin jest reakcją na tę porażkę. Ale jak już zaznaczono, nie jest on siłą konstruktywną. Nie udało mu się przepchnąć projektu Noworosji. Robi to, co robił Związek Radziecki – demonstruje siłę negatywną, przy całkowitym braku siły pozytywnej, konstruktywnej. Reszta jest tylko złudzeniem ludzi z pewnego rodzaju masochistyczną tendencją postrzegania agresji jako siły.

Josef Joffe: Jak więc wyjaśnić tę agresję, jeśli nie naszą słabością? Dlaczego kryzys tego typu, który w przeszłości często jednoczył Europę, tym razem tego nie sprawił? Według mnie podłoża takiego stanu rzeczy są trzy – Putin, czyli czynnik militarny; euro, czyli czynnik gospodarczy; oraz imigracja, uchodźcy. Dotarliśmy do twardego rdzenia

suwerenności. Ostatnie dekady poświęcono w UE powolnemu zacieśnianiu integracji. Ale teraz dotarliśmy do dwóch rdzeni suwerenności – bezpieczeństwa i polityki zagranicznej. Rozwiązaniem dla Europy byłaby realna unia gospodarcza, której nie chcemy, ponieważ Francuzi i Niemcy mają bardzo różne podejścia do nadzoru gospodarczego i unii fiskalnej. Dlaczego nie potrafimy stawić czoła kryzysowi uchodźczemu? Bo dotyka samego sedna naszych polityk wewnętrznych. Nasze społeczeństwa boją się przyjąć zbyt wielu ludzi, boją się o swoją tożsamość narodową. Jeśli zaś chodzi o przeciwdziałanie ekspansjonistycznym zapędom Putina – to wymagałoby środków militarnych. Mamy je, lecz musiałyby być objęte wspólnym dowództwem, czego nie zrobimy, bo to oznaczałoby więcej Europy. A więcej Europy zawsze oznacza mniej Francji, mniej Niemiec, mniej Włoch, mniej Wielkiej Brytanii. Na każdym z tych pól dotarliśmy do twardego rdzenia suwerenności i dlatego właśnie według mnie ten kryzys nie pobudził nas do działania.

VIOLA VON CRAMON

doradczyni polityczna ds. Europy Wschodniej, członkini niemieckiej partii Związek 90/Zieloni. W parlamencie niemieckim pełniła funkcję rzeczniczki Zielonych ds. zagranicznych i Unii Europejskiej. Była odpowiedzialna za kwestie związane z Partnerstwem Wschodnim.

KATJA GORCZYŃSKA

dziennikarka śledcza Radia Wolna Europa/Radia Swoboda. Do niedawna zastępczyni redaktora naczelnego ukraińskiego anglojęzycznego tygodnika „Kyiv Post”. Publikowała także w „The Guardian”, „Wall Street Journal”, „Financial Times” i „The Economist”.

JAROSŁAW HRYCAK

ukraiński historyk i publicysta, profesor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie i Uniwersytetu Iwana Franki, redaktor naczelny czasopisma „Ukraina Moderna”.

JOSEF JOFFE

profesor nauk politycznych i stosunków międzynarodowych, związany z Uniwersytetem Harvarda i Uniwersytetem Stanforda. Redaktor niemieckiego tygodnika „Die Zeit”, wcześniej wieloletni pracownik „Süddeutsche Zeitung”. Współzałożyciel „The American Interest”.

ALEKSANDER SMOLAR

publicysta, politolog, prezes Fundacji im. Stefana Batorego.

KAROLINA WIGURA

historyczka idei, szefowa działu politycznego „Kultury Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”.

NOTA EDYTORSKA

Niniejsza publikacja stanowi pokłosie konferencji „Pękające granice, rosące mury. Europejczycy wobec kryzysu ukraińskiego”, która odbyła się 8 września 2015 r. w Warszawie.

Teksty „Jak sterować europejskim statkiem w czasie globalnego sztormu?” oraz „Europa, uchodźcy i światowy porządek” są skróconymi zapisami dwóch konferencyjnych paneli. Tekst „Kres starego porządku. Czy są nadzieje na nowy?” jest skróconym zapisem seminarium, w którym udział wzięli uczestnicy konferencji oraz zaproszeni goście. W książce znalazły się również wypowiedzi mówców, otwierające wydarzenie: „Dwie drogi do bezpieczeństwa” Roberta Coopera, „Czy poststrukturalistyczny słownik już się zużył?” Ulrike Guérot, „Paradoks europejskich kryzysów” Jarosława Hrycaka i „Opieszałość czy konsolidacja przez kryzys?” Jarosława Pietrasa.

Pozostałe teksty, z wyjątkiem eseju Kacpra Szuleckiego, który został napisany specjalnie na potrzeby niniejszej książki, opierają się na materiałach publikowanych na stronie www.kulturaliberalna.pl:

ŁUKASZ JASINA

Ukraina – początek końca światowego ładu?

w: „Kultura Liberalna”, nr 348 z dn. 8 września 2015 r.

ROZMOWA Z RICHARDEM PIPESEM

Ukraina jest jak Meksyk

w: „Kultura Liberalna”, nr 352 z dn. 6 października 2015 r.

ROZMOWA Z ADAMEM GARFINKLEM

Sterty gruzu wokół Rosji

w: „Kultura Liberalna”, nr 348 z dn. 8 września 2015 r.

ROZMOWA Z FIODOREM ŁUKIANOWEM

Zachód przecenia Putina

w: „Kultura Liberalna”, nr 348 z dn. 8 września 2015 r.

ROZMOWA Z MICHAELEM WALZEREM

Potrzebujemy globalnej policji

w: „Kultura Liberalna”, nr 356 z dn. 3 listopada 2015 r.

ROZMOWA Z EUGENIUSZEM SMOLAREM

USA nie jest już gwarantem wszelkiego bezpieczeństwa

w: „Kultura Liberalna”, nr 352 z dn. 6 października 2015 r.

ASLE TOJE

Czego Rosja szuka w Syrii?

w: „Kultura Liberalna,” nr 352 z dn. 6 października 2015 r.

KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA

Syryjskie psy ogrodnika

w: „Kultura Liberalna”, nr 352 z dn. 6 października 2015 r.

ROZMOWA Z JOHNEM GRAYEM

Niestety można być racjonalnym i antyliberalnym

w: „Kultura Liberalna”, nr 356 z dn. 3 listopada 2015 r.

ROZMOWA Z ROBERTEM COOPEREM

Pięć kryzysów Europy

w: „Kultura Liberalna”, nr 347 z dn. 1 września 2015 r.

Printed in Poland

Fundacja Kultura Liberalna

ul. Chmielna 15/9, 00-021 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@kulturaliberalna.pl

www.kulturaliberalna.pl

Druk i oprawa: Mazowieckie Centrum Poligrafii